

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 4/631**

**2000**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**K. WOLICKI: OGARY POSZYŁY W LAS**

**A. WYCZAŃSKI: SPRAWA UNII EUROPEJSKIEJ**

**K. CHYLIŃSKA: SOCJALDEMOKRACJA –  
KTÓRY NUMER DROGI?**

**E. MOŻEJKO: MOSKWA–KRYM. WRAŻENIA  
Z PODRÓŻY**

**A. POSPIESZALSKI: O REFORMĘ PAPIESTWA**

# SPIS RZECZY

Krzysztof Wolicki:	<i>Ogary poszły w las</i> .....	3
Andrzej Wyczański:	<i>Sprawa Unii Europejskiej – z perspektywy historyka</i> .....	12
Kamila Chylińska:	<i>Socjaldemokracja – który numer drogi?</i> .....	21
Edward Możejko:	<i>Moskwa–Krym. Wrażenia z podróży (I)</i> .....	42
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
M. Broński:	<i>Odwiłż w Iranie?</i> .....	52
Magdalena Rostron:	<i>Na marginesie uznania Czeczenii przez Talibanów</i> .....	58
Stefan Abner:	<i>Z nordyckiej perspektywy</i> .....	63
<b>WYWIADY „KULTURY”</b>		
Remigiusz Grzela:	<i>Polska jest granicą Wschodu. Rozmowa z Mieczysławem Pruszyńskim</i> ..	71
<b>O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA</b>		
Antoni Pospieszalski:	<i>O reformę papieżstwa</i> .....	78
Jan Paweł II:	<i>Nie ma czasu do stracenia!</i> .....	85
<b>KRAJ</b>		
Andrzej Koraszewski:	<i>Murowane środowisko człowieka</i> ..	87
SMECZ:	<i>Z ukosa</i> .....	97
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i> .....	111
<b>NOTATKI REDAKTORA</b> .....		
121		
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Marek Krawczyk:	<i>Andrzej Zakrzewski</i> .....	125
Tadeusz Chrzanowski:	<i>Ron</i> .....	127
Anna Frajlich:	<i>Zoja Juriewa</i> .....	130
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Leszek Szaruga:	<i>Samotnik z Wałbrzycha</i> .....	131
Leszek Szaruga:	<i>Między wierszami (I)</i> .....	135
Jarosław Kajdański:	<i>Maruda polska</i> .....	140
Andrzej Wajda:	<i>Dziękując za Oskara</i> .....	143
-	<i>Komunikat o stypendiach</i> .....	143
-	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i> ..	145
<b>KSIĄŻKI</b>		
Leopold Unger:	<i>„Lista Sugihary”</i> .....	147
Florian Śmieja:	<i>Don Pedro Calderon w polskim kontuszu</i> .....	151
●		
-	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	157
●		
Adam Nasielski:	<i>List do Redakcji</i> .....	160

# KULTURA

**Szkice • Opowiadania • Sprawozdania**

**PARYŻ Kwiecień/Avril 2000**

**INSTYTUT LITERACKI**





## WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Stanisław Alexandrowicz, Toruń (Polska) .....	F. 200,00
Caroline Barakoński, Sherman Oaks CA (USA) – po raz 30-ty – dol. 30,00 .....	F. 195,00
Aleksander Bragiński, Jülich (Niemcy) – po raz 50-ty .....	F. 600,00
Dla uczczenia pamięci ukochanej Hani – rodzice Bella i Samuel Sandler, Chevy Chase MD (USA) – dol. 100,00 .....	F. 650,00
Dla uczczenia pamięci zawsze wiernych przyjaciół Marii Żmi- grodzkiej i Stefana Treuguta – Bella i Samuel Sandler, Che- vy Chase MD (USA) – dol. 50,00 .....	F. 325,00
Hedinger Jerzy, Edmonton ALTA (Kanada) – dla uczczenia pa- mięci zaginionej załogi ORP „Orzeł” .....	F. 500,00
Leszek Bednarski, Halifax (Kanada) – po raz 2-gi .....	F. 400,00
Ewa Hoffman Jedruchowa, Summit NJ (USA) – w piątą rocznicę śmierci mojego Męża, doktora Jacka Jędrucha – dol. 100,00 .....	F. 650,00
Ewa Hoffman Jędruchowa, Summit NJ (USA) – w dwudziestą trzecią rocznicę śmierci mojej Matki, Zofii z Neuhoffów Hoffmanowej (1-o voto), Angermanowej (2-o voto), absol- wentki UJK we Lwowie, magistra prawa, zesłanej w 1940 r. na Syberię, ppulkownika PWSK, zmarłej w 1977 r. w Bue- nos Aires w Argentynie – dol. 100,00 .....	F. 650,00
Jan Krawiec, Evanston IL (USA) – dol. 100,00 .....	F. 650,00
Inż. Jerzy Łagocki, Buenos Aires – dol. 100,00. ....	F. 650,00
Ten dar otrzymaliśmy w grudniu 1999 r. Niestety z powodu kłopotów z bankiem i buchalterią nie został odnotowany – robimy to teraz, bardzo przepraszając p. Łagockiego za to niedopatrzenie (Redakcja). ....	
Pamięci Weroniki – Jacek Machniewicz, Paryż .....	F. 500,00
Halina, Marysia i Henryk Ratajczakowie, Paryż – in memoria Marca Beauvois, zmarłego 24 lutego 2000 r. Syna naszego przyjaciela .....	F. 300,00
Tymoteusz Snyder, Centerville IH (USA) – dol. 100,00 .....	F. 650,00
Irena Szwece, Palo Atlo CA (USA) – zamiast kwiatów na grób meego Męża, Jerzego Szwece, w pierwszą rocznicę jego śmierci – dol. 100,00 .....	F. 650,00
Zamiast kwiatów na grób Pauliny Plater-Zyberg zmarłej we Francji w lutym 2000 r. – Władysław Żeleński, Paryż ..	F. 300,00
Władysław Żeleński, Paryż – dla uczczenia pamięci Tadeusza Sołowija, zmarłego w Kanadzie, którego przyjaźń odziedziczyłem po śmierci mego brata Andrzeja .....	F. 500,00

DZIĘKUJEMY

## Ogary poszły w las

Kampania prezydencka rozpoczęła się w Polsce wcześniej niż zapowiadali obaj najważniejsi kandydaci na kandydatów, Krzaklewski i Kwaśniewski: nie z końcem kwietnia, ale z końcem lutego.

Krzaklewski chciał opóźnić bieg, żeby się móc rozeznąć w sytuacji. Sondáže były (i są) dla niego tak niesprzyjające, że przewodniczący „S” chciał dać sobie jak najwięcej czasu po to, by wreszcie coś drgnęło w górę, by na przykład reformy się trochę ułożyły i przestały drażnić ludzi lub bezrobocie zaczęło maleć. Krótko mówiąc, żeby zdarzyło się coś, co by kandydatowi „S” pozwoliło startować z jakąś rozsądną szansą. Lub, ewentualnie – honorowo zrezygnować z biegu. Bo właśnie jeśli wskazania sondáže i perspektywy koniunktury będą nadal fatalne, to Krzaklewski nie może uchylić się od walki, nie rezygnując w ogóle z polityki.

Urzędujący prezydent nie miał ze swej strony żadnego powodu do pośpiechu. Jest kandydatem „naturalnym” i nie grożą mu strzały z boku we własnym obozie, a nie trzeba się wystawiać zbyt wcześnie na ogień przeciwnika. Zresztą w jego sytuacji, faworyta sondáže, lepiej jest zabrać głos jak najpóźniej, odpowiadając konkurentom lub po prostu suwerennie lekceważąc zaczepki, niż wdawać się w polemiki czy wręcz pyskówki.

Zgodnie z konstytucją wybory powinny się odbyć pomiędzy połową września a początkiem października (100-75 dni przed końcem kadencji), a zatem na kampanię, i wstępną, i właściwą, byłoby od końca kwietnia aż nadto czasu.

Głównym powodem nieplanowanego przyspieszenia było, jak się zdaje, rosnące poczucie po obu stronach, że nie



zanosi się na walkę wyborczą, dzientelmenów. Przeciwnie – i wobec tego właściwą kampanię warto by poprzedzić długotrwałym ostrzałem tak, aby maksymalnie osłabić wiarygodność przeciwnika, nim jeszcze się odezwie.

Zaczęło się od ogólnego zaostrzania stosunków pomiędzy rządzącą koalicją i rządem a opozycją, na tle pogorszenia sytuacji socjalnej i gospodarczej, i niewydolności „czterech wielkich reform”, które miały być chlubą rządu. Do tego doszły niewczesne pomysły podatkowe Leszka Balcerowicza, którym koalicjant nie zdołał się przeciwstawić skutecznie, a które prezydent zawetował, choć mu ręka drżała i choć dość żałośnie próbował udawać, że wetuje kręactwa proceduralne posła Kręcika a nie idee żelaznego wicepremiera. No, ale zawetował. Już wtedy było widoczne, że uprawnienia prezydenckie znajdują zastosowanie w walce wyborczej, a rządowi, który nie zawsze ma większość we własnym obozie, wróży to wiele bólu.

Ale Kwaśniewskiemu nie chodzi jedynie o dokuczanie rządowi. W istocie stoi on wobec problemu, który jest wbudowany na stałe w polski system konstytucyjny. Mianowicie prezydent jest wybierany w głosowaniu powszechnym. Musi przeto przedstawić obywatelom swoje tytuły do ubiegania się o ich głosy. Jest w tym jednak różnorodnie skrupowany.

Przede wszystkim, nie ma żadnych wyraźnych kompetencji politycznego działania, dysponuje raczej pewnymi możliwościami „palikowania” pola gry politycznej, jak prawo obsadzania kilku ważnych stanowisk oraz właśnie prawo weta. To ostatnie jest zresztą osłabione w porównaniu z poprzednią, tzw. małą konstytucją (Sejm obala je już większością 3/5, a nie 2/3), podobnie jak uprawnienia prezydenta w razie kryzysu gabinetowego. Jak wiadomo, wspólną intencją twórców konstytucji było wzmocnienie roli premiera, któremu też zgodnie z tą tendencją dodano jeszcze w tzw. ustawie o działach, swobodę w kształtowaniu struktury rządu. Wprawdzie Jerzy Buzek jest premierem raczej marionetkowym i ze swoich prerogatyw korzystać nie chce i nie umie, ale prezydentowi możliwości działania z tego powodu nie przybywa. Odczuwa on natomiast ssanie pustki i stałą pokusę wchodzenia na nieuprawiane lub źle uprawiane poletka rządu. Urząd prezydencki zareagował wręcz brutalnie na próbę ze strony rządu ustawowej redukcji roli prezydenta w kształ-

towaniu strategii obronnej do czysto symbolicznej. Konstytucyjnie ta sprawa nie jest przesądzona, rozstrzygnięcie ustawowe będzie więc w obecnym stanie rzeczy funkcją próby sił, rządowy projekt jest teraz w sejmowej komisji obrony, której przewodniczący, Bronisław Komorowski zapowiada wolę „kompromisu”, ale kancelaria prezydenta w osobie Marka Siwca twierdzi, że nie ustąpi. Jeszcze gwałtowniejszy spór wybuchł po awanturze w Poznaniu. Doszło tam do naruszenia eksterytorialności konsulatu rosyjskiego przez obrońców Czeczenii z „Naszości”, organizacji zawodowych antykomunistów i rusozerców, przy zupełnej bierności policji. Prezydent oskarżył wprost rząd o dopuszczenie do całkowitego zamrożenia stosunków polsko-rosyjskich. Min. Geremek zareagował „bolesnym zdziwieniem”, przypominając przy okazji, że sam jest częstym gościem w pałacu prezydenckim i że Kwaśniewski jest szczegółowo informowany o przedsięwzięciach i planach MSZ. W komentarzach, które były już podporządkowane szablonowi kampanii wyborczej, podkreślano głównie publiczny konflikt wokół zagadnienia ze sfery polityki zagranicznej, przywołując słowa Geremka o tym, że sfera ta miała być wyłączona z polemik partyjnych jako należąca do racji stanu. Nie zauważono, że szef MSZ potwierdził też, przy okazji, kompetencje prezydenta w polityce zagranicznej... Otóż nie jest tajemnicą, że AWS-owska część rządu te kompetencje stara się przynajmniej bagatelizować. Minister Geremek wie zresztą bardzo dobrze, że awantura w Poznaniu była tylko punktem szczytowym kampanii antyrosyjskiej, której pierwszym akordem było upublicznienie i nagłośnienie sprawy szpiegów-dyplomatów i która pod pretekstem współczucia dla Czeczenii jest teraz prowadzona w Polsce nie tylko przez prasę pravicową. W TVP, korespondencje z Moskwy i z Kaukazu od miesięcy opisują męstwo bojowników i niedołęstwo Rosjan, którzy umieją tylko mordować z ładu i powietrza ludność cywilną, a wszystko po to, żeby Putin mógł gładko zdobyć prezydenturę. Zresztą... W stosunku do Rosji polska inteligencja, w ogóle gdyby sądzić po korespondencjach w prasie i mediach, krzepi się nicodmiennie *schadenfreude* we wszystkich smakach: nienawiścią, niechęcią, politykowaniem, pogardą... Może to pomaga psychoterapiom narodowym, ale na pewno nie polityce



zagranicznej. Co powiedziawszy, wypada więc przyznać rację Geremkowi, że prezydent wyłamał się z milczącego *consensusu* polityki zagranicznej... przy założeniu, że *consensus* ten „na kierunku wschodnim” w ogóle funkcjonował.

Drugą zasadniczą trudnością kampanii prezydenckiej o reelekcję jest brak wyrazistego programu politycznego. Startując po raz pierwszy Aleksander Kwaśniewski był kandydatem swojej formacji partyjnej, SLD. Teraz, niezależnie od poparcia tegoż SLD, chce być, zgodnie z piastowanym urzędem, „kandydatem wszystkich Polaków”, którzy wprawdzie wcale nie wszyscy na niego zagłosują, ale „mogliby”. To zaś znaczy, że kandydat do reelekcji powinien przedstawić propozycje i wizje polityczne, do których wszyscy mogliby się przyznać, nawet niezależnie od osobistych sympatii, w imię interesów ogólnonarodowych. Otóż, paradoksalnie, w r. 2000 o takie propozycje jest trudniej niż przy poprzednich wyborach prezydenckich. Podziały społeczne związane z utrwalonymi już nierównościami ekonomicznymi nowego systemu sprawiają, że coraz więcej elementów jakiegokolwiek programu wygląda dobrze lub źle, zależnie od tego, jaka jest pozycja socjalna patrzącego: uwidacznia się to szczególnie dobitnie w ocenie skutków, „czterech reform”. Jak daleko sięgają konsekwencje relatywizacji, pokazał np. artykuł ogłoszony w *Gazecie Wyborczej* (4-5 marca br.) przez Jerzego Osiatyńskiego, ekonomistę i b. ministra finansów z Unii Wolności. Nawołując do powrotu do hasła „społecznej gospodarki rynkowej” poseł Osiatyński pisze m.in.:

„Na krytykę, że rozwarstwienie dochodów postępuje w Polsce zbyt szybko i zbyt głęboko, Unia Wolności odpowiada niekiedy: ‘Jak będzie lepiej, to wszystkim będzie lepiej’. Odpowiedź ta nie tylko jest nieprawdziwa, ale wywołuje replikę, że realizacja naszych programów prowadzi do polaryzacji społeczeństwa: ‘Bogaci będą się dalej bogacić, a biedni – biednieć’. Choć to ostatnie twierdzenie jest demagogiczne, nie wolno lekceważyć groźby utrwalania się nierówności statusu materialnego i społecznego, czyli zamkniętego ‘cyklu biedy’.”

Znaczenie takich tekstów jak cytowany nie polega oczywiście na tym, co odkrywają, ale na tym, że te „odkrycia” przebijają się również do świadomości czempionów polskiego liberalizmu z Unii Wolności.

Relatywizacja przychodzi również z Zachodu – i nie mam na myśli słynnego upadku obyczajów, z którym walczą panowie i panie z AWS, ale sprawy poważne: zjednoczenie Europy i globalizację gospodarki, światowy rynek zupełnie wolny i światowe korporacje zupełnie suwerenne. W 1999 dymisja Komisji Europejskiej w „aureoli” korupcji, bitwa w Seattle zakończona odwrotem Światowej Organizacji Handlu były najgłośniejszymi sygnałami, że coś się psuje w wiecznym imperium Fukuyamy. Załamanie *la pensée unique* nie tylko we Francji jest już dziś powszechnie stwierdzonym faktem. W pewnym związku z pękaniem i relatywizacją tego korpusu myślowego pozostaje też zapewne kwestionowanie przywództwa amerykańskiego takiego jak obecnie realizowane i w szczególności wyłonienie się ponownie pytania: czy Unia Europejska ma być przekąźnikiem tego przywództwa i narzędziem globalizacji, czy też, odwrotnie, samodzielny podmiotem i puklerzem przed dziką globalizacją? Dla Polski, która aspiruje do Unii, te pytania mają zupełnie zasadniczy charakter. Wypadałoby, oczywiście, żeby kandydat do reelekcji miał na ten temat, podobnie jak na poprzedni (rozwarstwienia społeczne i zamkniętych cykli biedy) coś rzeczowego, programowego, do powiedzenia. Rzecz jasna, nie jest to łatwe, jest nawet bardzo trudne. Ale Kwaśniewski ma jeszcze czas do namysłu.

Tymczasem z upływem tygodni staje się coraz wyraźniejsze, że Krzaklewski nie może dłużej czekać z deklaracją kandydowania. Nie tylko dlatego, że poprawa nastrojów, która pozwalałaby mu decydować nie pod presją – nie nadchodzi i nawet się nie zapowiada. Również dlatego, że jego pozycja w sondażach ulega dodatkowej erozji wskutek pojawienia się bardziej wiarygodnych rywali w obozie centroprawicy. W sondażu OBOP-u z 19-21 lutego 61% respondentów popiera reelekcję Kwaśniewskiego, na ten wynik składa się (wg klasyfikacji OBOP) 88% spośród osób o poglądach lewicowych, 70% – centrolewicowych, 36% – centroprawicowych i ... aż 24% – prawicowych. Drugie miejsce po Kwaśniewskim zajmuje u ogółu respondentów Andrzej Olechowski (7%), a dopiero na trzecim i czwartym są *ex aequo* Wałęsa i Krzaklewski (po 4%). Co ciekawsze, prawicowcy, z których 24% popiera Kwaśniewskiego, również na drugim miejscu



stawiają Olechowskiego (18%) a dopiero na trzecim Krzaklewskiego (14%).

Marian Krzaklewski jest spychany do coraz głębszej defensywy przez własnych aliantów. Trzy partie sojusznicze „S”, to znaczy SKL, ZChN i i PPChD już zapowiedziały, że przeprowadzą w AWS wewnętrzne prawyборы kandydatów na prezydenta, nawet jeśli „S” i RSAWS nie zechcą wziąć w nich udziału. Krzaklewski określił ten pomysł jako „obrazoburstwo” i uzupełnił odpowiedź gorzkim żartem, gdy zapytano go (w Pr. III PR) co by powinien zlikwidować mistrz Copperfield, iluzjonista właśnie występujący w Polsce, słynny ze sztuczek ze znikaniem ludzi, posągów i nawet lokomotyw. – Nasze AWS-owskie partie – westchnął Krzaklewski.

Sojusznicze partie były wprawdzie ostatnio usilnie dokarmiane etatowo przez premiera Buzka: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego dla Kazimierza Michała Ujazdowskiego z SKL, Ministerstwo Łączności dla Tomasza Szyszki z ZChN, Ministerstwo Ochrony Środowiska dla Antoniego Tokarczuka z PPChD, przy czym druga i trzecia z tych nominacji zostały wprost „zarządzone” przez odpowiednie partie, którym przestali się podobać ich własni poprzedni nominaci (to *nb.* ilustracja żalostnej roli premiera). Nominacja Ujazdowskiego wywołała wściekłość Unii Wolności, która liczyła, że po śmierci Andrzeja Zakrzewskiego odzyska resort kultury i obsadzi go odpowiednio głośnym nazwiskiem (najchętniej wymieniano Wajdę), co by wprawdzie wcale nie gwarantowało dobrej pracy resortu, ale przywróciło nieco pożyty wytartej tarczy UW i ułatwiło bardzo jej potrzebne pojednanie ze środowiskiem intelektualnym.

Spolegliwość premiera wcale nie ułagodziła partyjnych bonzów. Zwłaszcza w SKL wrze. W sobotę, 18 marca, zbiera się kongres Stronnictwa, które wybierze nowego prezesa i zdecyduje o statusie formacji: czy SKL pozostaje członem AWS, czy się usamodzielnia, tworzy odrębny klub w Sejmie i z AWS będzie tylko w stosunkach sojusznicznych. Takie tendencje przypisuje się zwłaszcza Aleksandrowi Hallowi, najbardziej im przeciwny jest Jan Maria Rokita...

Politycy tacy jak Hall rozumieją, oczywiście, świetnie, że nie osoba Krzaklewskiego jest najistotniejszym obciążeniem sondaży, ale obawiają się, że wysunięcie tego kandydata i mo-

bilizacja całego AWS doprowadzą nie do porażki, ale do klęski. Znacznie bezpieczniejszy byłby kandydat mniej „angażujący”, którego niepowodzenie niewiele by znaczyło i zwłaszcza nie naruszało szans w rzeczywistości ważnych wyborach parlamentarnych w 2001 r.

Dość podobnie myśli już od dłuższego czasu Unia Wolności, której dwoje „zasłużonych”, Tadeusz Mazowiecki i Olga Krzyżanowska, odmówiło kandydowania.

Na takie rozumowanie liczy Andrzej Olechowski, którego zgłoszenie do wyścigu jest najbarwniejszym faktem do tychczasowej prekampanii. Olechowski wymyślił się sam (choć nie brak makiawelicznej wersji, że wymyślił go sztab Kwaśniewskiego, aby posiać zamęt u przeciwników). Z poparciem wystąpiła najpierw grupa *Tygodnika Powszechnego* z Krzysztofem Kozłowskim, inkrustowana Czesławem Miłoszem. Wkrótce potem zgłosiła się druga ekipa zwolenników złożona z aktorów, kabareciarzy i muzyków estradowych (Olechowski zaczynał karierę jako prezenter radiowy). Taki koktajl zwolenników zachwycił oczywiście media, zwłaszcza, że Olechowski jest bardzo przystojnym panem, *bon viveur*’em w średnim wieku i w kampanii telewizyjnej będzie nie do przebicia. Ma dwa mankamenty. Jeden powszechnie znany, który sam podkreśla (choć nie jako mankament), a mianowicie współpracę z wywiadem PRL w okresie pobytu w Genewie. Drugi, mniej rozpoznany, to jego głębokie uwikłanie w bankowość. Olechowski jest – nie licząc członkostwa w kilkunastu radach nadzorczych – prezesem rady nadzorczej Banku Handlowego. Jako taki znajduje się w oku cyklonu toczącej się afery z pożeraniem ostatnich polskich banków przez Deutsche Bank i City-bank. Olechowski wystąpił publicznie bardzo ostro przeciw poczynaniom min. Wąsacza (i pośrednio wiceprem. Balcerowicza), za co Wąsacz równie ostro mu replikował, natomiast w sukurs Olechowskiemu pospieszył... Wiesław Kaczmarek z SLD, a wszystko to na łamach *Gazety Wyborczej*. Ale w tę wojnę zaangażowane jest całe środowisko bankowców. Nie wiadomo, w konsekwencji, co może wyskoczyć z puszeki, kiedy już rozpocznie się właściwa kampania. Tymczasem, Olechowskiemu potrzebne jest, jak sam twierdzi, poparcie UW i SKL żeby wystartować (kandydat musi przedstawić 100 tys. podpisów).



Wspomniałem już, że nie zanosi się na kampanię dżentelmeńską.

Jadwiga Staniszkis w wywiadzie dla *Rzeczypospolitej* wyraziła opinię, że UOP wmiesza się do kampanii wyborczej jak to już zrobił w 1995 (afery z Oleksym). Z końcem lutego wybuchła afery z Jarkiem Dębskim, tracącym posadę szefem Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki (jego resort miał być rozparcelowany, a kultura fizyczna włączona do MEN), podopiecznym Janusza Tomaszewskiego lustrowanego b. wicepremiera. Dwa dni wcześniej Dębski zawiadomił prasę (wywiadem dla *Gazety Wyborczej*), że odwiedził go „ktoś wysoko postawiony z AWS” domagając się „kwitów na Kwaśniewskiego”. „Ty nie znajdziesz, to my znajdziemy na ciebie” – powiedział ów ktoś. Nazwisko ktosia Dębski ujawni „potem”, nazajutrz sprecyzował, że tylko Krzaklewskiemu, jeśli ten do niego zatelefonuje, ale Krzaklewski nie zatelefonował.

Zrobił się, oczywiście, szum, trochę ludzi straciło głowę, dementując rewelacje Dębskiego. Wyróżnił się Wiesław Walendziak, który najpierw powiedział, że Dębski otrzymując nominację, przed rokiem, sam oferował premierowi, że poszuka kwitów na Kwaśniewskiego w archiwach UKFiT (Kwaśniewski był do lutego 1990 szefem tej instytucji). Ostro kontrolowany przez obecnego szefa kancelarii premiera, Widzyka, Walendziak się poprawił, że mianowicie Dębski proponował, ale nie premierowi, tylko jemu, Walendziakowi, ówczesnemu szefowi kancelarii w gabinecie nieobecnego premiera. Na pytanie, dlaczego nie ostrzegł premiera – Walendziak zgłupiał: myślał, że to była taka fanfaronada... Wiemy więc przynajmniej, czym się zabawiają panowie z kancelarii.

W odsiecz premierowi i jego ludziom pospieszyła *Gazeta Polska* Piotra Wierzbickiego: Aleksander Kwaśniewski w okresie, kiedy kierował Urzędem Kultury Fizycznej i Turystyki, udzielał niskoprocentowanych pożyczek organizacjom młodzieżowym związanym z PZPR i spółkom nomenklaturowym, a na krótko przed odejściem z urzędu wiele kredytów umorzył. – To też trzeba zbadać – powiedział Marian Krzaklewski. Przykro powiedzieć, że sprawa ta była już u prokuratora i śledztwo zostało umorzone na jesieni 1992 za rządu Hanny Suchockiej. Próbowano raz jeszcze do tego wrócić w czasie kampanii wyborczej w 1995, bez skutku.

*Rzeczpospolita* odnotowuje, że „informacja czy też plotka o zaangażowaniu służb specjalnych w kampanię prezydencką funkcjonuje wśród polityków od wielu miesięcy”.

Nie zabrakło Jerzego Urbana i jego specjalisty od służb specjalnych, niegdyś współpracownika SB, Marka Barańskiego, który w artykule pt. „Kwachołapka” ogłosił rewelacje przekazane mu przez „Józefa Kowalskiego świeżo zwolnionego z UOP” (nazwisko zmyślone), który opowiedział, jak UOP szuka w Rosji „haków” na Kwaśniewskiego. Barański oferuje prokuraturze przekazanie zdobytego materiału i ujawnienie nazwisk.

Janusz Pałubicki w rozmowie z *Rzeczpospolitą* zaprzeczył stanowczo:

„Służby specjalne w czasie tej kadencji nie mieszają się do polityki”. Obawy SLD i Pałacu Prezydenckiego wynikają stąd, że „uwazają mnie za kogoś podobnego do siebie”.

Na uwagę, że jednak za zgodą kierownictwa UOP sprzed kadencji SLD-PSL specjalny zespół przez całe lata zajmował się zbieraniem materiałów o politykach, czy więc uważa pan to dzisiaj za niemożliwe, minister odrzekł: „Gdyby coś takiego się działo, powinienem odejść ja i całe kierownictwo UOP, ponieważ nie spełnilibyśmy należycie obowiązku kontroli nad służbami”.

SLD zażądał tymczasem od marszałka Sejmu zwołania specjalnego posiedzenia komisji do spraw służb specjalnych z udziałem ministra obrony narodowej, ministra koordynatora oraz szefów UOP i WSI. Według Jerzego Sznajdzińskiego „członkowie komisji powinni odebrać jednoznaczne oświadczenia od szefów służb specjalnych i osób konstytucyjnie ich nadzorujących, że służby specjalne nie angażują się i nie zaangażują w świadome fabrykowanie faktów przeciwko instytucjom demokratycznym i partiom politycznym, zwłaszcza podczas kampanii wyborczej”. Jeśli *Rzeczpospolita* przytoczyła wiernie słowa posła, to kierownictwo SLD chce widocznie, żeby marszałek wniosek odrzucił i żeby rejwach trwał. Tak więc – c.d.n.

Warszawa, 14 marca

Krzysztof WOLICKI



## Sprawa Unii Europejskiej – z perspektywy historyka

Normalnie rozumując powinniśmy zakładać, że w sprawach Unii Europejskiej i miejsca w niej Polski mają prawo się wypowiadać politycy, może też prawnicy, ekonomiści, politolodzy, ale nie historycy, których kompetencje obejmują dawniejsze czasy. Wprawdzie według tradycyjnych przekonań historia jest *magistra vitae*, ale nikt na szczęście w takie formułki nie wierzy, podobnie jak w zasadę cykliczności i powtarzalności zdarzeń. Natomiast wydaje się, że wymienieni wyżej specjaliści mają jedną wspólną słabość, a mianowicie widzą świat i jego problemy w czasie dzisiejszym, czasem nawet w niedalekiej przeszłości, ale bardzo rzadko mają skonkretyzowaną wizję przyszłości i koncepcję, jak do niej się przygotować. Historyk zaś jest przyzwyczajony do myślenia w kategoriach zmieniającego się czasu, do widzenia różnych sytuacji, przesuwających się po osi czasu wstecz i naprzód. Dlatego znajomość przeszłości może wzbudzać zainteresowanie także przyszłością, zainteresowanie pełne nadziei i obaw zarazem.

I drugie wyjaśnienie. Jeżeli w dalszych wywodach więcej będzie obaw na temat naszego miejsca w Unii Europejskiej, to nie dlatego, byśmy byli jej przeciwnikami, nie chcieli wejścia naszego kraju do tej struktury. Przeciwnie, uważamy, że poza Unią nie ma dla nas miejsca w Europie, że pozostanie poza strukturą Unii równałoby się bądź zupełnej marginalizacji naszego kraju, bądź narażeniu na powrót wpływów rosyjskich, nawet przy zachowaniu parasola NATO. Chodzi nam w tym wypadku o zastanowienie się nie tylko czy i w jaki sposób w Unii możemy się znaleźć, o czym się szeroko

dyskutuje, ale o wizję tego, co będziemy w obrębie Unii robić, jakie będzie nasze w niej miejsce i rola, bo od tego zależy nasza przyszłość w Unii, a może i szansa uzyskania w niej miejsca dla nas, naszego do niej wejścia.

Słuchając wypowiedzi polityków, ekonomistów, politologów, a przede wszystkim dziennikarzy, odnosi się wrażenie, że jeśli się do Unii dostaniemy, jeśli przejdziemy przez drzwi, szerzej czy wężiej dla nas uchylone, to wszystko będzie załatwione, niczym w tramwaju, gdy po wejściu i skasowaniu biletu, motorniczy się martwi jak i gdzie wieźć nas dalej. Wydaje nam się natomiast, że strona unijna może rozumować inaczej i że wolałaby wiedzieć zawczasu, jaki może z nas w obrębie Unii mieć pożytek, a jaki kłopot i jakie straty. Nie jesteśmy bowiem, mimo pewnego wzrostu gospodarczego, potęgą, która automatycznie wzmocni Unię, a możemy być źródłem kłopotów i kosztów, których pokrywać obywatele krajów Unii nie będą chcieli. Jeżeli bowiem liczymy, że wskaźniki produktu krajowego będą nam do Unii torowały drogę, to nie zapominajmy, że wskaźniki bezrobocia mogą ją skutecznie zahamować, a oba przejawiają tendencję wzrostu.

Wydaje się także, że występuje w tym wypadku inne jeszcze nieporozumienie. Sądźmy, że jeżeli Unia wymaga od nas podobnych struktur prawnych i ustrojowych, zbliżonych zasad w funkcjonowaniu społeczeństwa, w dostępie do oświaty i kultury, to znaczy, że na wszystkich odcinkach mamy być tacy sami, tylko może trochę mniejsi i słabsi, po nieudanym eksperymencie realnego socjalizmu. Po prostu stawiamy tu pytanie czy w naszym interesie i w interesie samej Unii jest pełne naśladownictwo, czy też w ramach wspólnych zasad cenniejsza byłaby funkcja w jakimś stopniu komplementarna, szczególnie w zakresie gospodarki. Po prostu idea takich samych przedsięwzięć tylko skromniejszych, takiej samej produkcji tylko mniejszej, takiej samej wymiany tylko słabszej, takiej samej oświaty zawodowej tylko płytszej, nie wiem czy dla nas jest rozwiązaniem optymalnym. Niesie ona za sobą ograniczenie, przynajmniej częściowe, produkcji, a nie ograniczenie bezrobocia, czyli tanich, licznych rąk roboczych szukających zatrudnienia, co na dalszą metę jest groźne nie tylko dla nas, ale i dla Unii.

A może rozumowanie nasze powinno być inne – ważne



jest nie naśladowanie i to w zmniejszonej skali, tego co robią inni, silniejsi od nas, a których łatwo nie dogonimy na tej drodze, lecz pójście w przeciwnym kierunku, w kierunku działań komplementarnych, uzupełniających w stosunku do tego, co kraje Unii już robią. Nie chodzi tu oczywiście o robienie czegoś zupełnie odmiennego, bo podstawowe potrzeby są analogiczne, ale o podjęcie i rozwijanie takich działań gospodarczych, produkcyjnych czy usługowych, jakie są mniej uprawiane w krajach Unii, a które my możemy wykonywać i być może nawet robić to trochę lepiej, niż inni. Chodziłoby więc o szukanie takich dziedzin w gospodarce, które mogłyby być naszą specjalnością i w których moglibyśmy być naprawdę dobrzy. Spróbujmy posłużyć się paroma przykładami.

Mówi się najczęściej, że głównym naszym hamulcem we wchodzeniu do Unii jest nasze rozdrobnione, zacofane i niewydajne rolnictwo. Z takiego stwierdzenia wyprowadza się wnioski o pilnej konieczności tworzenia, wzorem Zachodu, wielkoobszarowych, zmechanizowanych, nowoczesnych i wydajnych gospodarstw rolnych, gdzie wiele maszyn i niewielu ludzi wytwarzałoby masę żywności na potrzeby o wiele liczniejszej ludności, zatrudnionej w przemyśle, handlu, administracji i usługach. I nawet próby tworzenia takich gospodarstw się pojawiły, prowadząc najczęściej do bankructwa. Natomiast przy tak określanych perspektywach, większość ludności na wsi nie widzi przed sobą szans rozwojowych, nie widzi sensu intensywnej pracy i inwestowania, nie widzi szerszych możliwości zatrudnienia poza rolnictwem. W tej sytuacji obietnice zasiłków, ceł zaporowych na żywność, masowego zatrudnienia i stałych subwencji, są przyjmowane przez rolników z dużą rezerwą, jeśli nie nawet jako oczywiste mydlenie oczu ze strony polityków. Tym bardziej, że rolnicy szybciej aniżeli politycy dochodzą do wniosku, że jeżeli duże gospodarstwa na Zachodzie wymagają ogromnych inwestycji, a dają głównie oszczędność kosztownej siły roboczej, to w naszej sytuacji, przy względnie taniej robociźnie a wysokich kosztach kredytów, podobne rozwiązania nie mają sensu, nawet w wypadku znacznego subwencjonowania rolnictwa. Niewykluczone, że starsi pamiętają dawniejsze hałaśliwe pochwały owych fabryk zboża, zwanych potocznie kołchozami. Z takim zaś rozumowaniem, niepozbawionym logiki, należy się chyba liczyć.

Z obserwacji tego, co się dzieje na szerokim świecie, wynikałoby raczej wniosek, że istnieje i będzie wzrastało zapotrzebowanie na produkty tzw. rolnictwa ekologicznego, to jest uzyskiwane bez chemii, bez ryzykownych mutacji genetycznych, bez użycia konserwantów do przechowywania produktów itd. Takich zaś produktów wielkoobszarowe gospodarstwa zmechanizowane nie są w stanie wytwarzać, natomiast małe i średnie gospodarstwa, o znacznych zasobach siły roboczej, potrafiłyby łatwiej opanować tego rodzaju zasady produkcji. Przy tym istniałaby większa łatwość manewru i dostosowania się do potrzeb rynku europejskiego, podobnie jak wybór specjalizacji w zakresie produkcji roślinnej, od zbóż po warzywa i sadownictwo, czy zwierzęcej, od drobiu do bydła, wreszcie nabiału, łatwość manewru który w wypadku wielkich gospodarstw nie jest możliwy. Trudno w tej chwili doradzać kierunek takiej specjalizacji, bo trzeba przy tym uwzględnić tak możliwości glebowe i wyposażenie gospodarstwa, jak rozeznanie rynku, a przede wszystkim kwalifikacje gospodarza i jego pomocników.

Oczywiście takie ustawienie gospodarki rolnej nie jest ani łatwe, ani szybkie, ale można chyba powiedzieć, że zmarnowaliśmy 10 lat praktycznie nic nie robiąc w tym zakresie. Gdyby zaś zdecydować się na podobne rozwiązanie, to pracy byłoby dużo i to nie dla „niewidzialnej ręki rynku”, ale dla konkretnych ludzi, którzy odpowiadają za rolnictwo i chcą żyć z niego. Po pierwsze, należałoby nauczyć ludzi, samych rolników, na czym polega tzw. rolnictwo ekologiczne i jakie zasady postępowania przy tym obowiązują. Po drugie, stworzyć sieć kontrolną, tak, by produkowana u nas żywność ekologiczna cieszyła się atestem i była w pełni konkurencyjna na rynkach światowych. Po trzecie, wprowadzić osobną sieć skupu, przechowywania i sprzedaży takiej żywności, w czym zapewne mogłyby pomóc istniejące w Europie wyspecjalizowane przedsiębiorstwa. Wreszcie ułatwić kredytowanie tego rodzaju produkcji, by zachęcić rolników do jej podejmowania i zagwarantować minimalny chociażby stopień jej opłacalności. Zresztą podobnych warunków byłoby sporo, ale to już nie jest przedmiotem tego artykułu – lepiej mogą je określić sami rolnicy i naukowcy – zajmujący się tą dziedziną wiedzy.

Pozostaje teraz pytanie, a mianowicie, co może przynieść rozwijanie naszego rolnictwa w tym właśnie kierunku. Po



pierwsze, wydaje się, że mogłoby dać szansę istnienia, a nawet rozwoju dla mniejszych i średnich gospodarstw wiejskich, a w konsekwencji zatrzymać na wsi oraz dać pracę i zapewnić dochody rolnikom, którzy bez tego są skazani na wegetację, a być może nędzę, ewentualnie na życie bezrobotnego z podatków płaconych przez resztę społeczeństwa. Jest to zaś problem paru milionów ludzi. Po drugie, stalibyśmy się konkurencyjni na rynku europejskich produktów żywnościowych i w wypadku napotykanym utrudnień można by liczyć na oparcie w różnego rodzaju organizacjach i stronnictwach tzw. zielonych, którzy mają sporo do powiedzenia w wielu krajach Unii. Wreszcie rolnictwo po paru latach mogłoby stać się dochodowe i rozwojowe, nie wymagając ciągłych subwencji i ochrony. Oczywiście byłaby to praca niemała i bardzo odpowiedzialna, gdyż na takiej specjalizacji można dużo zyskać, można też stracić, jeśli się zrobi to w sposób niekompetentny i nieodpowiedzialny, a także bez pomocy i kontroli zaplecza badawczego.

Od kilku lat politycy i ekonomiści łamią sobie głowy, jak zlikwidować dużą część kopalń węgla i ograniczyć, zgodnie z żądaniami Unii Europejskiej, wydobycie węgla, a nie doprowadzić do strajków i konfrontacji społecznej z górnikiem. Trzeba przy tym ze smutkiem stwierdzić, że niewiele się poświęca uwagi na ich przekwalifikowanie zawodowe i tworzenie nowych miejsc pracy dla zwalnianych górników, a więcej na ucieszenie ich żądań przy pomocy doraźnych kwot pieniężnych, wydobytych z kieszeni podatnika. Nie jest to żadne długofalowe i trwałe rozwiązanie, a można spodziewać się raczej eskalacji podobnych żądań, co przecież nie rozwiąże problemu strukturalnego bezrobocia, które istnieje.

W tym wypadku chodzi nam jednak nie o problem samych górników, lecz kopalń, które ulegają zamknięciu. O ile się orientuję, to zamknięcie kopalni, wyłączenie pracy pomp, równa się najczęściej jej bezpowrotnemu zniszczeniu. Nawet w wypadku jej nierentowności i nieracjonalnego zatrudnienia jest to zniszczenie jakiejś części majątku narodowego, na który ciężko musieliśmy zapracować, chcąc nie chcąc, w czasach PRL. Pamiętam też, że niemiecka machina wojenna w czasie drugiej wojny światowej, bardzo rozbudowana i bardzo zmotoryzowana, bazowała na przeróbce chemicznej węgla, który jej dostarczał niezbędnej benzyny. Oczywiście wiemy

dobrze, że byłby to obecnie zabieg nierentowny z racji rozbudowy wydobycia ropy naftowej na świecie, ale międzynarodowe monopole działające w tej dziedzinie czynią tę nierentowność coraz skromniejszą.

W tej sytuacji jednak wydaje się, że warto pomyśleć na temat innych sposobów spożytkowania marnowanego pod ziemią węgla i to być może bez jego wydobywania na powierzchnię. Mamy tu na myśli tzw. zgazowanie węgla, technologię od dawna znaną, ale chyba nie opracowywaną od nowa, w ramach współczesnych możliwości naukowych i technicznych. To co było z pewnością nieopłacalne lat temu kilkadziesiąt, nie musi być nieopłacalne teraz, pod warunkiem nowego opracowania i samego procesu chemicznego i technologii uzyskiwania produktu. Gaz jest bowiem surowcem poszukiwanym, którego brakuje w Europie, i dla celów chemicznego przetwarzania, i dla ogrzewania. Jest przy tym przez ekologów łatwiejszy do zaakceptowania i jego dodatkowa produkcja, gdyby się okazała możliwa, nie wzbudzałaby chyba sprzeciwów. Z naszej strony nie jest to oczywiście propozycja gotowych rozwiązań, ale po prostu zapytanie, czy w ostatnich latach były prowadzone u nas intensywne badania nad nowymi technikami i opłacalnością zgazowania węgla, dokonywanego w naszych warunkach geologicznych, technicznych i kadrowych. Znając obojętny stosunek większości naszych decydentów do badań naukowych obawiam się, że odpowiedź będzie negatywna.

Od dziesięciu lat mówi się u nas i pisze sporo o budowie autostrad i choć odpowiednie urzędy istnieją, pieniądze są wydawane, nie robi się niemal nic. Powodem są rzekomo bardzo wysokie koszty oraz protesty ekologów. Szczególne zdziwienie wzbudzają te ostatnie, gdyż w moim pojęciu właśnie fundusze na ochronę środowiska winny być w jakimś stopniu poświęcone na budowę autostrad. Po pierwsze, walka z samochodami, tworzenie utrudnień komunikacyjnych, nic nie da poza zwiększeniem śmiertelności na naszych, niedostosowanych do zwiększającego się ruchu, drogach. Górujemy nad innymi krajami nie ilością wypadków, lecz ich śmiertelnością, jako że na wąskich, dwukierunkowych drogach zdarzenia czołowe są nagminne. Po drugie, skanalizowanie intensywnego ruchu, w szczególności ciężkich pojazdów, na autostradach, jest najlepszą ochroną przed zatruciem i zajeżdże-



niem całego kraju. Tylko wtedy intensywny ruch pojazdów jest skupiony na określonych pasmach, a emisja spalin jest wielokrotnie niższa przy jednolitej szybkości, bez zatrzymywania, korków i przeciskania strumienia pojazdów przez gęstą zabudowę mieszkalną. I proszę nie opowiadać bajek o transportowaniu ciężarówek pociągami, bo nigdzie to nie zdało egzaminu, a wymagałoby inwestycji, które niczego nie rozwiązują. Z drugiej strony, tłumaczenie się brakiem funduszy również nikogo nie usprawiedliwia. Polska leży na głównym skrzyżowaniu dróg europejskich wschód-zachód oraz północ-południe i na tym można zarobić, a nie stracić. Sieć międzynarodowych dróg to nie tylko wydatki, to również duże dochody i to nie tylko w postaci opłat za przejazd autostradą. To również zatrudnienie przy samych inwestycjach, to obsługa podróży – wyżywienie, noclegi – to wreszcie dostawa paliwa, a pamiętajmy że z każdego litra benzyny prawie 60-70% idzie do skarbu państwa. W sumie sieć odpowiednich dróg w Polsce może być nie tyle kosztowna, co bardzo opłacalna, bezpośrednio i pośrednio, może też podnieść zatrudnienie przy drogach i na zapleczu, a fundusze na ich budowę znajdują się w kraju i za granicą, jeśli się ich będzie rzeczywiście szukać. Jeżeli zaś będziemy dalej niefrasobliwie sprawę odwlekać, zrobią to za nas inni i inne kraje będą na transporcie zarabiać, a u nas będą mnożyć się groby ofiar ciężkich wypadków samochodowych, bo żadne starania policji przed tym nas nie uchronią. A warto może dodać, że społeczeństwo też potrzebuje dobrych dróg, większość rodzin posiada samochód i chce z wolności poruszania się, jaką daje samochód, korzystać. Jest to zjawisko, z którym każdy inteligentny polityk powinien się liczyć, bo czasy elitarniej, urzędowej motoryzacji, dawno już minęły.

W zasadzie można by dużo pisać o przemyśle, który w małym stopniu się rozwija, a w dużym tkwi w permanentnym kryzysie. Jego prywatyzacja jest w zasadzie usprawiedliwiona pod warunkiem, że prowadzi do doinwestowania i modernizacji zakładów, a nie ich zamykania, jako niepotrzebnej konkurencji. Jednakże nie chodzi nam o ocenę samego procesu prywatyzacji, na ile jest on racjonalnie i przejrzysto prowadzony, ale o odczucia społeczne, które się z tym wiążą. Nie-wielka chyba część społeczeństwa głęboko wierzy w zasadę,

nie tyle ekonomiczną, co ideologiczną, że każde przedsiębiorstwo państwowe jest nierentowne i należy je zamknąć, a przy najmniej pierwszemu lepszemu sprzedać. Doktrynalne podejście do problemu własności państwowej przedsiębiorstw nie jest powszechne i nie wiem czy społeczeństwo nie wolałoby widzieć podziału na dobrze pracujące, w tym również państwowe, i na złe przedsiębiorstwa. W tym zaś ostatnim wypadku pragnęłoby chyba doprowadzić do ich reorganizacji i urentownienia, a nie likwidacji, czy sprzedaży za bezcen. Własność państwowa to jednak w rozumieniu normalnych ludzi własność społeczna, a nie prywatna własność rządu, który może z nią robić co chce, nie pytając społeczeństwa o zdanie. Nie oznacza to oczywiście, że należy unikać prywatyzacji, ale wprowadzając ją w sposób racjonalny, a nie doktrynalny, czy przypadkowy, by zatkać dziury w budżecie. Ponadto ludzie wiedzą, że w dobrze rozwiniętych państwach kapitalistycznych istnieje tzw. sektor państwowy, dotyczący energetyki, kolejnictwa, niektórych działów bankowości czy mediów, wreszcie szkolnictwa i nauki. W każdym razie spotyka się opinie o rabunkowej wyprzedaży majątku narodowego i nieraz trudno je w pełni obalić, nawet kiedy się z tym nie zgadzamy. A to już jest fakt społeczny, z którym należy się liczyć.

W naszym wypadku zjawiskiem, najwyraźniej świadczącym o rezygnacji z zabiegów o racjonalny rozwój naszego przemysłu i innych zresztą dziedzin życia, jest stosunek większości naszych decydentów do badań naukowych. Stanowisko wyrażające się w wypowiedzi, że na naukę będą pieniądze, jak gospodarka się rozwine, a kraj wzbogaci, może być traktowane jako bezmyślny frazes, a może jako dowód ignorancji i nieodpowiedzialności. Po prostu na świecie sądzi się odwrotnie, że nie ma rozwoju bez nowoczesnych technologii, a nowoczesnych technologii bez badań naukowych i można jedynie się zastanawiać nad proporcjami poszczególnych wydatków. Rezygnowanie z racjonalnego finansowania badań u nas, gdzie nauka nie była i nie jest dotąd zła, równa się rezygnacji z chęci rozwijania naszej gospodarki i na dziś i na jutro. Zapóźnienia bowiem na odcinku możliwości badawczych są najtrudniejsze do nadrobienia, naukowiec kształci się wiele lat i nie zawsze skutecznie.



Nie należy się przy tym zaślaniać stwierdzeniem, że w innych krajach sama gospodarka, przede wszystkim przemysł, badania prowadzi i sam je finansuje. Jest to prawda jedynie częściowa, gdyż odnosi się tylko do wielkich, międzynarodowych koncernów, które badań w Polsce podejmowanych nie mają powodu wspierać, bo prowadzą je dla własnych potrzeb u siebie. Nasz przemysł natomiast, skazany na prywatyzację, czy vegetujący często na krawędzi bankructwa, nieprędko zdecydował się na inwestowanie w przyszłość i finansowanie badań naukowych, choć często zdaje sobie sprawę, że bez badań i nowych technologii nie stanie się nowoczesny i konkurencyjny. Należałoby patrzeć na sytuację trzeźwo. Międzynarodowy kapitał przejmując nasze zakłady przemysłowe, pragnie uzyskać określone korzyści, do czego ma prawo, ale z pewnością nie kupuje ich po to, by dzielić się swymi technologiami z ewentualną konkurencją i popierać jej wzrost.

Można się wreszcie zastanawiać nad ograniczeniem fatalnego bilansu handlowego poprzez intensyfikację eksportu, szczególnie na Wschód, co dotąd było mało doceniane, czy poprzez rozwój usług, w szczególności turystyki, co oczywiście wymagałoby znacznych inwestycji. Są to jednak sprawy mniej związane z wizją naszego miejsca w Unii. Ważne jest, że nasz udział w Unii Europejskiej nie powinien przybierać roli naśladowcy lecz pełnoprawnego partnera, bo nie byłoby to ani w naszym interesie, ani Unii. Wysłunięte wyżej obawy i sugestie nie wyczerpują oczywiście zagadnienia – ich funkcją jest wywołanie dyskusji i być może nowych pomysłów. Czas bowiem szybko ucieka i wiele go już straciliśmy.

W tej sytuacji powraca znowu pytanie, czym chcemy rzeczywiście być w ramach Unii Europejskiej – pełnoprawnym jej członkiem, uczestnikiem, który jest w stanie czymś własnym wzbogacić zasoby Unii, czy też mamy być rezerwaną siłą roboczą, której Unia wcale nie pragnie i ubogim krewnym, którego trzeba stale wpierać finansowo bez poważniejszej szansy na wzajemność. Nasuwa się też dodatkowe pytanie – dlaczego zaniedbujemy naukę i kulturę, które od dawna mają status partnerski w krajach Unii Europejskiej, a mogą nam pomóc uzyskać podobny dla innych dziedzin naszego życia i działania.

Andrzej WYCZAŃSKI

## Socjaldemokracja – który numer drogi?

Pamiętam dobrze pewne reakcje sprzed kilkunastu miesięcy. Komuś, kto przybywał do Niemiec nagle, nie orientując się zbyt dokładnie w tutejszej sytuacji po przejęciu władzy przez SPD i Zielonych<sup>1</sup>, wydawało się wtedy, że świat stanął na głowie. Tak bardzo przemieszały się (pozornie) sojusze, fronty, porozumienia i przeciwieństwa. Oto obie chadeckie partie opozycyjne, CDU i bawarska CSU, występowały głośno i z impetem w obronie warstw gospodarczo słabych, atakując krzywdzący je nowy rząd. Co więcej, popierając także w innych kręgach społecznych różne akcje protestacyjne i rewindykacyjne, sięgały do argumentów wyraźnie „klasowych”. Odwrócenie ról następowało więc poprzez wejście opozycyjnej chadecji na teren programowy „czerwonozielonego”, czyli umiarkowanie lewicowego rządu.

Na oko, między tutejszą chadecją a tutejszą socjaldemokracją różnic programowych, utrwalonych dźwiękami, nie ma znów aż tak dużo. W swoich publikacjach i w swojej retoryce obie partie chadeckie proklamują i zawsze proklamowały obronę warstw średnich – drobnych i średnich przedsiębiorców, rzemieślników, kupców i różnych kategorii pracowni-

1. SPD (Socjaldemokratyczna Partia Niemiec) i Die Grünen (Zieloni), przy władzy od 27-go września 1998 r. – po 16-letnim okresie sprawowania władzy przez koalicję CDU-CSU i FDP (Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna i połączona z nią we wspólnej frakcji parlamentarnej Unia Chrześcijańsko-Socjalna), obie w koalicji z liberalną FDP (Wolna Partia Demokratyczna) pod przewodnictwem kanclerza Kohla.



ków. Toteż od wielu lat narastało między CDU i CSU a socjaldemokracją współzawodnictwo o zdobywanie na tej własnej przestrzeni społecznej wpływów i głosów.

A jednak każdy, nieco głębiej obserwujący obywatel Republiki Federalnej wie dobrze, że z grubsza biorąc – przy całej chwiejności społecznego „środka” – partie chadeckie reprezentują w praktyce interesy sfer raczej zasobnych, posiadających, interesy wielkich przedsiębiorstw i kół finansowych – socjaldemokracja natomiast działa w obronie warstw pracowniczych, drobniejszych raczej, a więc i materialnie słabszych przedsiębiorstw czy placówek handlowych i wreszcie w obronie najsłabszych<sup>2</sup>. Niemniej w okresach szczególnych napięć, przedwyborczych, wyborczych i innych, przemieszczają się akcenty, a oczywiście o własne wpływy także w owych warstwach słabszych partie chadeckie usilnie dbają. Tak więc wciąż jeszcze, w półtora roku po ukonstytuowaniu się koalicji SPD i Zielonych, zaskakiwanie rządu od lewa pozostaje ulubioną metodą chadeckiej opozycji.

W chwili gdy to piszę, CDU ma inne, rosące z każdym dniem kłopoty: tak zwaną (z początku) aferę Kohla, czyli sprawę czarnych kont, nieujawnionych w partyjnej księgowości wielomilionowych, anonimowych dotacji, którymi finansowano nawet kampanie wyborcze w landach. Wszystko to, wraz z rolą byłego kanclerza, prowadzi do dramatów indywidualnych wśród członków tej partii i do jej głębokiego, zapewne długotrwałego kryzysu.

Wróćmy jednak do owych ulubionych metod CDU i CSU zaskakiwania nowego rządu od lewa. Żeby je uchwycić dokładnie, trzeba spojrzeć wstecz. I tak np. opozycja chadecka sprzeciwiała się, i to z wielkim krzykiem, rządowemu projektowi zmiany w dorocznej podwyżce rent, która ma być – przejściowo przez dwa lata – obliczana według stopnia inflacji, a nie jak uprzednio, według wzrostu płac pracowniczych netto. Było to zresztą tylko posunięcie fragmentaryczne, przedwstępne, gdyż gruntowne przekształcenie całego w ogóle systemu rent (konieczne ze względów demograficznych), ma

2. Już w programie Godesberskim z r. 1959, SPD podkreślając swoją przynależność do systemu wartości socjalizmu demokratycznego, rozszerza też wyraźnie swoją platformę: Nie jest już wyłącznie partią robotniczą, lecz także partią warstw średnich.

się dokonać dopiero na podstawie wspólnie przez rząd i opozycję wypracowanego planu. Plan ten z kolei mieści się w ramach szerokiego programu oszczędności dla oddłużenia budżetu państwowego. (Trzeba tu dodać, że w walce wyborczej SPD i Zielonych na temat zamysłu takiego programu nie padło ani jedno słowo). Skądinąd sprawa owego przedwstępnego wyrównywania rent doczekała się późnej niespodziewanej pointy. Okazało się przy bliższym wejrzeniu, że w rzeczywistości od lat już doroczne podwyżki rent nie dosięgły wzrostu płac, a w 16-letnim okresie kanclerstwa Kohla cztery razy (niektórzy twierdzą, że aż osiem razy) sytuowały się nawet poniżej stopnia inflacji. Jednak raz pobudzona podejrzliwość nie wygasa tak szybko, toteż cała ta rentowa kołomyjka spotkała się wśród ludności z gwałtowną dezaprobatą. Opozycja rozpoznała w tym sygnał na swoją korzyść, toteż nadal zzywała się, oburzała, groziła, że nie dopuści... itd.

W populistycznym ustawieniu swojej propagandy opozycja korzystała ze słabości nowego rządu, a mówiąc ściślej, z powszechnego rozczarowania w społeczeństwie jego początkową działalnością. Wprawdzie rząd podjął prawie od razu szereg uchwał korzystnych dla pracowników i ich rodzin: podwyższył dodatki na dzieci, unieważnił uchwałę poprzedniego rządu o wstrzymaniu płacy pracownikom w ciągu kilku pierwszych dni choroby, zaostriżył warunki wypowiedzania pracy, umożliwił przedsiębiorstwom tworzenie miejsc szkolenia zawodowego dla bezrobotnej młodzieży, czy wreszcie przywrócił zasadę wypłaty zarobku robotnikom budowlanym w wypadku złej pogody.

Ale wszystkie te posunięcia zostały jak gdyby niezauważone, a w każdym razie nie rozwiały poczucia przypadkowości i wręcz dyletantyzmu w decyzjach rządu, to obwieszczanych, to znów wycofywanych. Przede wszystkim nie pozwoliły zapomnieć o nieszczęsnej i niedokładnej zapowiedzi w sprawie podwyżek rentowych, odebranej jako policzek dla słabych i najsłabszych, a w dodatku jako oszustwo – gdyż w kampanii wyborczej kandydat SPD na kanclerza przyrzekał solennie, że w obliczaniu tych podwyżek nic się nie zmieni. Wszechogarniająca atmosfera rozczarowania miała później spowodować serię strat, czasem wręcz dramatycznych klęsk obu partii



rządowych w kolejnych wyborach do czterech parlamentów w landach, także w wyborach komunalnych na kluczowym dla SPD, lokalnie i centralnie, terenie pfn. Nadrenii-Westfalii, i wreszcie w wyborach do parlamentu europejskiego<sup>3</sup>.

Czy jednak wszystko, co dotąd wyliczyłam, tłumaczy dostatecznie dlaczego tak się stało, dlaczego w ciągu jednego roku nastąpiła tak radykalna, tak jednokierunkowa zmiana w nastrojach?

Dla zrozumienia tego procesu trzeba się cofnąć jeszcze bardziej wstecz. Kampania wyborcza SPD i Zielonych do Bundestagu w r. 1998 odbywała się w okresie stagnacji, w warunkach ustabilizowanej bezradności kolejnych ekip, rządzących przez szesnaście lat pod kierownictwem kanclerza Kohla. Wszystkie reformy w najważniejszych dziedzinach, decydujących o sprawności państwa opiekuńczego w obecnych warunkach (podatków, rent, opieki społecznej i zdrowotnej, szkolnictwa i kształcenia na wszystkich poziomach) narzucające się jako konieczność teraz, były nagląco potrzebne już wtedy. Ale nawet jeśli poprzednie rządy rozpoznawały ich potrzebę, nie miały odwagi ani siły (również ze względu na wysokie zadłużenie państwa), by zmierzyć się z nimi rzeczywiście. Problemy wynikające ze zjednoczenia kraju, różnice materialne między Wschodem a Zachodem Niemiec, wiązały wysiłki i spychały wszystko inne na dalekie plany. Słaby wzrost gospodarczy, bezrobocie, sięgające 10-ciu procent, a jeśli drgające w dół, to tylko sezonowo, coraz szersza wśród pracujących świadomość zagrożenia bezrobociem, w konsekwencji wreszcie znudzenie tymi samymi wciąż twarzami „na górze” – wszystko to razem tworzyło grunt podatny dla wystąpienia innych sił, od dawna „na górze” nieobecnych i proponujących inne priorytety polityczne.

Rozbudzały się więc nadzieje, po czym kampania wyborcza scaliła je w jeden, wyłączny właściwie nurt: w oczekiwaniu ulepszeń od góry. Usprawnienie, a zatem pewne ograniczenie

3. W niektórych landach SPD otrzymała nawet mniej głosów niż postkomunistyczna PDS. We wszystkich tych wyborach notowano bardzo niską frekwencję wyborczą, czasem poniżej 50 procent – to również zagrało na korzyść opozycji. – Następne wybory mają się odbyć z końcem lutego w Szlezwiku-Holsztynie, a w maju – w Północnej Nadrenii-Westfalii.

funkcji państwa opiekuńczego? Zachęcenie obywateli do wzięcia częściowej bodaj odpowiedzialności za swój los? O tym wszystkim, co przecież miało być grane zaraz po wyborach, milczał w swych wyborczych wystąpieniach kandydat SPD na kanclerza. Milczał, pomimo że jeszcze w jesieni 1997 ujawniał przy innych okazjach swoje poglądy na ten temat. Wymodelował sobie teraz jako adresata swych zapewnień „obywatela-odbiorcę” przyszłych, sprawliwych i szlachetnych przemian w polityce i w gospodarce. Nie podejmował natomiast rozmowy z obywatelem-podmiotem, pomijał jego zapotrzebowanie na realne informacje o współczesnych możliwościach i niemożliwościach. Brnąc w obietnice, pomijając potrzebę przygotowania społeczeństwa do reorientacji w obliczu nowych zjawisk w aktualnym rozwoju gospodarczym i społecznym krajów wysoko rozwiniętych. Globalizacja, uważana przez jednych za największą dziś groźbę, przez innych, mniej licznych, za szansę, ale w każdym wypadku wymagająca zmian w ogólnej organizacji gospodarczej i w nastawieniu człowieka, nie była przedmiotem szczególnej uwagi. Zarzucano często kampanii kanclerskiej świadome unikanie konkretów – ale, o ironio! – najbardziej konkretna z obietnic Schrödera okazała się fatalnym błędem: właśnie owo kategoryczne, z emfazą powtarzane przyrzeczenie, że nic się nie zmieni w systemie podwyżek rentowych.

Po tej niespodziance zaczęły padać, szybko po wyborach, kolejne gromy z jasnego nieba. W atmosferze powszechnego niepokoju nic już nie wydawało się pewne, nawet świadczenia dla najślabszych, nawet zasiłki dla bezrobotnych czy stawki pomocy socjalnej. Jedna pogłoska goniła drugą, jedno *dementi* przeczyło drugiemu, wzrastało poczucie krzywdy. A równocześnie po odejściu Lafontaine'a ów, jak pisałam, nie wspomniany wcale w walce wyborczej radykalny program oszczędności w państwowym projekcie budżetowym, wysuwał się powoli na pierwsze miejsce starań rządowych. Ponadto, zmierzając w tym samym oszczędnościowym kierunku, rząd obciążył podatkami i potrąceniami wolne od nich przedtem najniższe płace (630 marek miesięcznie), typowe przy konieczności uzupełniającego zarobku. Było to potężne uderzenie i bardzo często powód do rezygnacji z dodatkowego zajęcia, które przestało się opłacać. Zważywszy, że



równocześnie rząd przygotowuje, zgodnie tym razem z zapowiedzią przedwyborczą, reformę obniżającą wymiary podatkowe dla przedsiębiorstw, reformę potrzebną, ale (znowu) niewyjaśnioną, nastąpił wśród członków SPD i jej klienteli wyborczej istny szok. Iluz to nasłuchałam się i naczytałam komentarzy: „Znowu nas oszukali”, „Rząd nadziei dla słabszych stał się rządem przeciw nim”... I wreszcie: „Ci na górze dzielą ludzi na równych i równiejszych”.

Jednak mimo wszystko, wbrew wybuchom rozgoryczenia, oszczędnościowy program rządu zaczynał żyć życiem własnym i to trochę... nieoczekiwanym. Inicjatywa oszczędnościowa, podejmowana na taką skalę (jej ogłoszony cel: zaoszczędzenie 30-tu miliardów marek w ciągu roku) jest w historii Republiki Federalnej premierą. Odpierając groźbę bankructwa państwowego w przyszłości, obiecuje ona tym samym przynajmniej ograniczyć obciążenia materialne przyszłych generacji. W tym sensie więc przygotowywana reforma mogła się jawić jako konieczność, nie budząc oczywiście entuzjazmu, ale budząc jakąś ostrożną wiarę w solidność całej imprezy. Z drugiej strony projekt zaczynał funkcjonować jako wyczyn sam w sobie, może i wart jakiegoś tam uznania, ale przecież aktualnie nie owocujący i jeszcze w oczach ludności niesprecyzowany. Niemniej w okresie tak ostrego rozdrażnienia i tak głębokiego kryzysu zaufania do rządzących, trzeba zanotować jako pierwszy, mały sukces już to chociażby, że ważna inicjatywa nowego rządu dawała się oglądać z kilku stron, a nie tylko z jednej, beznadziejnej.

Kryzys zaufania wciąż jednak dominował, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz SPD, i to od dołu do góry. Już nagła rezygnacja Lafontaine'a z funkcji ministra finansów i przewodniczącego partii w marcu ubiegłego roku wskazywała, że coś nieprzewidzianego dzieje się na samej górze nowego aparatu władzy. Trzeba przypomnieć, że Oskar Lafontaine nie podał od razu przyczyn swego ustąpienia. Ale już przed tym ustąpieniem i długo przed ukazaniem się jego książki zaczęły się dzielić poglądy. Jeśli w pewnych środowiskach socjaldemokracji uważano, że „naprawdę to Oskar a nie kanclerz” identyfikuje się z interesami robotniczymi czy pracowniczymi, że „za Oskara wolno jeszcze było mówić o interesach robotników” – to w innych kręgach SPD przeważała opinia, że

sposób działania Lafontaine'a nie zawsze świadczył o poczuciu rzeczywistości.

W książce „Serce bije po lewej”<sup>4</sup> Lafontaine zarzuca kanclerzowi zmianę kursu w stosunku do pierwotnej platformy, ustanowionej wspólnie przed wyborami. Przypomina, że według programu wyborczego zadaniem przyszłego rządu miało być stworzenie politycznych warunków dla „mądrej, pragmatycznej kombinacji elementów podaży i popytu” w ramach społecznej gospodarki rynkowej. Taka właśnie polityka miała zapewniać wzrost gospodarczy i umożliwiać powstawanie nowych miejsc pracy. (Tym samym autor broni się przed zarzutami, że popiera jednostronnie metodę Keynes'a). Tymczasem rząd Schrödera przystosowuje się jak najgorliwiej do „ducha czasu”, faworyzując neoliberalizm w gospodarce. W ten sposób, dowodzi Lafontaine, popiera się przeciw „dziki” kapitalizm, który nie zna żadnych ograniczeń, który podważa albo wręcz burzy ochronę społeczną pracowników. Przebieg konfliktu jest w książce szczegółowo wyłożony, równoległe z procesem dojrzewania autora do ucieczki w życie prywatne.

Książka Lafontaine'a stała się bestsellerem. Nie tyle, jak sądzę, ze względu na kierunek polityczny (nie tak znów obcy wielu zainteresowanym czytelnikom), ile ze względu na fakt jej publikacji. Sama metoda milczącego odejścia jednej z czołowych figur rządowych i partyjnych, i po wielu miesiącach dopiero ujawniania w druku motywów takiej decyzji, wystarczy przecież by zaciekawić tysiące czytelników.

Ale ciekawość nie oznacza aprobaty. Niektórzy krytycy zarzucają więc autorowi wybujały egotyzm, przepuszczanie każdego poglądu i zdarzenia przez filtr osobistej ambicji lub wrażliwości, zranionej w konflikcie z orientacją Schrödera. Stąd już, twierdzą krytycy, niedaleko do prania brudnej bielizny. Inni przypuszczają, że książka maskuje tylko rzeczywiste przyczyny owego odejścia, które nie wynikały z różnic programowych, ale w ogóle z niewiary w możliwość reformowania kapitalizmu wśród bezlitosnego, globalizacyjnego impetu. Publicysta tygodnika *Die Zeit* Werner A. Perger gani mentorskie zacięcie książki, wykazując, że Lafontaine dzieli zwo-

4. Oskar Lafontaine: „Das Herz schlägt links”, Econ-Verlag 1999.



lenników socjaldemokracji na takich, którzy myślą podobnie jak on i rozumieją „co jest dziś lewicowe i socjaldemokratyczne” – oraz na pozostałą resztę, kapitulującą przed neoliberalizmem.

Można stąd śmiało wywnioskować, że ani ustąpienie, ani książka Lafontaine'a, prowokując oczywiście do myślenia i pytania, nie spowodowały kolejnego (po pierwszych krokach obecnego rządu) szoku dla socjaldemokratów. Cios w samo serce wielu działaczy SPD, (a potem bazy członkowskiej i pozaczłonkowskiej) miał paść z innej strony. Mowa o tezach, ogłoszonych wspólnie przez premiera brytyjskiego Blaira i kanclerza Schrödera w czerwcu ubiegłego roku. Ponieważ przekonałam się nie raz jeden, że zbiorcze nazwanie tych tez „trzecią drogą” bardziej wryło się w pamięć niż ich treść – więc przytaczam najkrócej główne punkty dokumentu (manifestu?) pt. „Droga w przyszłość socjaldemokracji europejskiej”.

Rozumienie tego, co dziś jest lewicowe, nie powinno ulegać ideologicznemu zawężeniu. Proces przystosowywania się do współczesnych warunków nie stoi w sprzeczności do zachowania najkonieczniejszych norm zabezpieczenia społecznego; państwo opiekuńcze trzeba bowiem zmodernizować, a nie zlikwidować. Socjaldemokracja – zapewniają zwolennicy „trzeciej drogi” i „nowego środka”<sup>5</sup> – nie wyrzeknie się swoich podstawowych dążeń: wolności, równości (szans, nie dochodów), solidarności z tymi, którzy potrzebują pomocy – przy jednoczesnym zachowaniu lojalności wobec tych, którzy za to płacą. Niemniej jednak wychowanie obywatela powinno zmierzać do wykształcenia jego własnej odpowiedzialności za swój byt tak, by nie żądał od państwa pełnego zabezpieczenia. Celem socjaldemokracji jest przewyciężenie pozornej sprzeczności między prymatem podaży a prymatem popytu. Zadaniem zmodernizowanego, nie biurokratycznego państwa, będzie zatem zredukowanie swych zadań kontrolnych, a zarazem wzmożone pobudzanie obywateli do wysiłków i przedsiębiorczości w każdej dziedzinie. W ściśle określonych

5. „Nowy środek” nie jest aż tak nową kreacją. Już program Godesberski SPD odzwierciedlał jego istnienie. Zob. przypis 2.

sytuacjach, np. podczas cyklicznego zastoju, zadłużenie państwa może nawet przez jakiś czas odgrywać pozytywną rolę, pod warunkiem, że wydatkuje ono fundusze pochodzące z własnego budżetu, a nie z pożyczek.

Wymiary podatkowe wymagają nowego zbalansowania i znacznego obniżenia, zwłaszcza gdy idzie o przedsiębiorstwa, a także o wykonawców szczególnie ciężkich prac. W ten sposób zapobiega się ucieczce kapitałów i umożliwia inwestycje w kraju, a tym samym tworzenie nowych miejsc pracy. Jednym z priorytetów współczesnego państwa – dowodzą autorzy dokumentu – są prosperujące warstwy średnie. Należy zatem obniżyć dodatkowe koszty pracy, by ułatwić drobnym i średnim przedsiębiorstwom zatrudnianie nowych pracowników.

Spróbuję wyjaśnić, dlaczego tezy Blaira i Schrödera spotkały się w socjaldemokracji niemieckiej, ściślej: wśród jej większości, z tak ostrą reakcją: od niechęci, poprzez nieartykułowany i artykułowany opór, aż po gniewną odmowę. Mówiąc najogólniej dlatego, że wcisnęły konieczne porozumienie między kontrahentami społecznymi o różnych interesach (czyli między pracodawcami a pracownikami) w ramy statycznego porządku, pozbawiając je wszelkiej racjonalnie pomyślanej dynamiki wewnętrznej. Nie uwzględniając konfliktów, wymagających kompromisowych rozwiązań, zapraszały raczej kontrahentów na wspólną, sielankową przechadzkę. Nakazem tego dokumentu, pomimo zapewnień o honorowaniu podstawowych dążeń socjaldemokracji, jest według tutejszych poglądów akceptacja, a nie łagodzenie społecznych nierówności. Jego autorzy uważają za stosowne zastrzec się, że „współcześni socjaldemokraci nie są neoliberalami” – jednakże jasno wynika z przedstawionego programu, że uważają oni rozwój neoliberalizmu za nieomal raz na zawsze dany i niemożliwy do ograniczenia czy do przewyciężenia. Wreszcie w opinii tutejszych przeciwników „trzeciej drogi” cykl rozumowania, uważany za pewnik: zysk przedsiębiorstwa – nowe inwestycje, nowe miejsca pracy – wymaga dopiero dokładnych badań i obwarowania go szeregiem dodatkowych warunków; nie może natomiast uchodzić w każdej sytuacji za wszechskuteczne lekarstwo przeciw bezrobociu. – Tak oto program Blaira i Schrödera został zanalizo-



wany w tutejszej socjaldemokracji i w wielu jej kręgach.

W powszechniejszym, popularnym odbiorze, treść dokumentu sprowadzała się do kilku prostych zaleceń: „Bardziej wart ochrony ma być przedsiębiorca, nie pracownik”. „Państwo ma gospodarkę popierać, a nie wtrącać się i regulować”. „Sprawiedliwość społeczna była dobra na wczoraj – ‘trzecia droga’ jest dobra na dziś”. Powtarzano z goryczą – i odrzucano.

Można chyba przyjąć, że wspólnie z Blairem sformułowana teoria miała uchodzić w zamierzeniu Schrödera za spóźnioną wykładnię jego własnego kursu wewnętrznego. Sposób, w jaki rząd jego działał początkowo, wyglądał bowiem raczej na załatwianie spraw bieżących („jak leci”), niż na zaprogramowany kurs polityczny. Obraz sylwetki politycznej, jaki obecny kanclerz wyrobił sobie uprzednio w roli premiera Dolnej Saksonii, przystawał nawet w jakiejś mierze do kryteriów ogłoszonego dokumentu: aktywny, energiczny działacz, zdolny pragmatyk w oczach pracodawców i pracowników, zręczny w kontaktach z jednymi i drugimi, odwracający wzrok od sprzeczności interesów, ale zarazem, jako premier landu, dbający skutecznie o ich wygładzanie. W granicach landu metody jego na ogół działały, w obrębie całego kraju, podbudowane teraz nową teorią i obwieszczone jako drogowskaz – zawiodły.

Po ogłoszeniu tez o „trzeciej drodze” podniósł się więc tutaj gwałtowny prawie sprzeciw: nie tylko wewnątrz SPD, ale w związkach zawodowych, w warstwach pracowniczych i robotniczych, w najbardziej poczytnych czasopismach. Także bowiem tutejsza socjaldemokracja, wraz z całym swoim zorganizowanym i niezorganizowanym zapleczem, od dawna przyuczana do nieodzownych kompromisów, mniej zapalczywa niż np. francuska, o wiele trudniejsza do wyprowadzania na ulicę – nie wyrzekła się, wbrew wszelkim wewnętrznym podziałom, jednego: tęsknoty do sprawiedliwości społecznej, pojmowanej jako daleki cel u końca dalekiej drogi. Ten cel, wyzbyty dziś cech absolutnych i patetycznych, widziany raczej odcinkowo, „od do”, nie wiadomo kiedy osiągalny, nie wiadomo... czy osiągalny, nie podzielił, mimo wszystko, tu jak i gdzie indziej, losu wyświechtanych frazesów. I znów poprawka: Także i on, zwłaszcza podawany w namaszczonej

formie, mógł czasem i może nadal brzmieć banalnie. Ale kto zechce go ominąć czy wykreślić – spotka się z odmową.

Trudno dziś określić dokładnie, w jakim momencie obecny rząd zaczął odbijać się od dna. Sądzę, że jednak sposób, w jaki przyjęto tu „trzecią drogę”, stawał się stopniowo jednym z czynników przebudzenia. Z początku zaostrzyły się zawsze zresztą istniejące podziały wewnątrz SPD. Chodziło teraz o nową odmianę podziału, o niefortunnie tu nazwany spór między „tradycjonalistami”, a więc krytykami „trzeciej drogi”, a mniej licznymi „reformatorami”, częściowo ją akceptującymi. Odezwały się głosy przestrogi przed rozłamem partii. Przestrogi chyba przesadne – ale jednak pewien spontaniczny nastrój wspólnoty na zjeździe socjaldemokratów w grudniu ubiegłego roku wyrażał potrzebę konsolidacji. Prawie naocznie powstawało „atmosferyczne” zbliżenie między kierownictwem a zebranymi. Wyglądało na to, że kierownictwo przystało już wcześniej na korektę kursu. Pierwotna rachuba kanclerza, że trzeba naprzód spodobać się na górze, czyli w kierowniczych sferach gospodarczych, gdyż „środek” i tzw. doły są i tak przekonane, że rząd socjaldemokratów i Zielonych działa w ich interesie, okazała się zawodna: pierwszy rok nowej władzy wykazał, że nie ma nic załatwionego ani wytłumaczonego raz na zawsze. Trzon społeczeństwa chce i musi być przekonywany codziennie. Toteż reformy, zapowiedziane na grudniowym zjeździe SPD, były wynikiem starań o wyraźnie szczęśliwsze niż dotąd proporcje między wysiłkami na rzecz gospodarczej „góry” a zaspokajaniem na codzień życiowo ważnych potrzeb społecznych.

W skrócie najważniejsze postanowienia tego zjazdu: zmierzając, jak napisano na transparenecie, do „innowacji i sprawiedliwości społecznej” przypomniał on dokonane już w polityce podatkowej zmiany na korzyść pracowników i rodzin o niskich dochodach. Obecnie nastąpić ma obniżenie podatków dla przedsiębiorstw w celu odciążenia gospodarki w ogóle, a średniej wytwórczości w szczególności. Ponieważ wielkie majątki powinny się przyczyniać do finansowania przyszłych zadań państwa i społeczeństwa, podatki od dziedziczenia wielkich nieruchomości mają zostać podwyższone. Zwolnieni od podwyżki będą spadkobiercy małych domków jednorodzinnych. W dziedzinie rent projektuje się reformę,



wprowadzającą częściowo prywatny udział własny w ubezpieczeniu na starość. Jeśli idzie o nadrzędne zadanie walki z bezrobociem, SPD widzi szansę na nowe miejsca pracy poprzez redukcję wymiaru godzin w obrębie określonych zajęć. Pomoc finansowa państwa dla studentów uniwersytetów i szkół wyższych ma zostać podwyższona, a jej organizacja zmieniona tak, by nikt nie musiał ze względów materialnych przerywać, względnie rezygnować ze studiów. Termin likwidacji elektrowni atomowych (ok. 30 lat) jest przedmiotem bezpośrednich pertraktacji z ich kierownictwami i powinien zostać przyjęty za obopólnym porozumieniem. W przeciwnym razie potrzebne będzie rozwiązanie ustawowe. Wymiar pomocy na rzecz Niemiec Wschodnich (tzw. pakt solidarności) ustalony do r. 2004, wymagać będzie ponownego określenia przed upływem tego terminu.

Ta zapowiedź projektowanych (a częściowo już rozpoczętych) reform na zjeździe SPD była właściwie pierwszym tu od zmiany władzy, czyli od półtora roku, systematycznym, a nie przedstawianym „na wrywki” zarysem programu rządowego. Porównując ostatnie miesiące z chaotyczną fazą początkową nowej władzy można było wreszcie dojrzeć sygnały pozytywne. Koalicja rządowa zracjonalizowała swoją pracę, opierając ją na znacznie bardziej konkretnym niż przedtem planowaniu. Zmieniły się, jak wyżej, proporcje, zmienił się ton dialogu między władzą a różnie usytuowanymi w społeczeństwie warstwami i grupami. Tymczasowy bilans tego ostatniego okresu w odbiorze społeczeństwa: opadły w pewnej mierze niepokoje, adresaci starań rządowych na różnych poziomach poczuli się jak gdyby sprawiedliwiej wobec siebie rozmieszczeni. (Poprawiły się też w sondażach opinii publicznej oceny działań rządowych).

Niektórzy twierdzą, że SPD i Zielonym pomaga w tej chwili fatalna ze względu na wciąż rozszerzające się afery finansowe, sytuacja CDU. Choć w pierwszej reakcji trudno odeprzeć takie logiczno-cyniczne orzeczenie, to już w drugim momencie głębsi, doświadczeni obserwatorzy polityczni ostrzegają: Rządzenie przy tak jak teraz zdesperowanej i rozbitej opozycji nie jest szczęściem – jest natomiast zagrożeniem dla demokracji. Wymaga się więc od rządzących wzmożonej ostrożności.

W większości krajów Unii Europejskiej są dziś przy władzy, sami albo w koalicji, socjaldemokraci. Do tej mojej, dość szczegółowej relacji o ich tutejszych trudnościach, skłoniła mnie nie tylko waga Niemiec w Europie. Sądzę, że warte bliższego przedstawienia były tutejsze okoliczności szczególne, czyli burzliwe, prawie dramatyczne „wejście w rządzenie” niemieckich socjaldemokratów i Zielonych po 16-tu latach władzy konserwatystów. Gdzie indziej w Europie procesy osadzania się alternatywnych sił w rządach, przebiegały, pomimo wielu komplikacji, łagodniej. Tu myślano chwilami, że te siły doprowadzą do roztrwonienia całego kapitału zaufania, jaki zdołały przedtem nagromadzić. Wydaje się teraz, że droga (już nie ta trzecia, wytyczona w Londynie) idzie w górę – co nie znaczy wcale, że będzie łatwa.

#### A co słyszeć u sąsiadów?

Myślę, że w Anglii, choć wygląda to na paradoks, „egzegeza trzeciej drogi” należy raczej do przeszłości. Z tym bowiem, co zaskoczyło w manifeście Blaira i Schrödera, nieprzygotowanych do tego zupełnie socjaldemokratów niemieckich, labourzyści zapoznawali się od dawna, stopniowo i szczegółowo. Tony Blair miał dość czasu, żeby jeszcze za rządów pani Thatcher przekonywać ich i ich środowiska wyborcze o konieczności reorientacji. Zaangażował się w tę akcję perswazyjną z całą właściwą mu werwą. Patrząc na to z odległości nie wolno zapominać, że jeżeli „trzecia droga” i jako analiza, i jako program, nastęrcza podstawowe wątpliwości – to równocześnie jest jasne, że sposób dialogu dawnej Partii Pracy ze społeczeństwem, sposób jej konfrontacji z rzeczywistością, wymagał gruntownego odnowienia. W wyjaśnianiu tego Tony Blair zaprezentował swój wielki talent polityczny.

Czy przerobienie Old Labour na New Labour udało mu się bez reszty – to inna sprawa. Elementarny niedosyt starej Labour w dziedzinie sprawiedliwości społecznej (właśnie!) daje głośno znać o sobie i nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć, że nie da się go stłumić. Raz po raz odzywa się wrażliwość na ogromną czasem rozpiętość płac w sektorze



prywatnym, a także i publicznym. Jeszcze dziś padają zarzuty, że Tony Blair w gruncie rzeczy „nie lubi partii”, że jest niechętny środowiskowym cechom, niesionym przez stuletni ruch labourzystowski. W prasie (centrowej, nie tylko lewicowej) pojawiają się napomnienia, by premier nie lekcewał wartości, wyznawanych w dawnej partii, czy też w związkach zawodowych, które z kolei boją się, że osłabił ich wpływ na politykę rządu. Oczywiście o powrocie do najbardziej kontraproduktywnych układów (jeśli idzie np. o działalność związków zawodowych) nie ma mowy, ale wewnątrz partii, wciągniętej w nową strategię, nie wygasło przywiązanie do dawnych celów.

Chcąc wziąć wiatr w żagle, Tony Blair twierdzi przy różnych okazjach, że w nowej Labour tradycyjna wartość współczucia dla pokrzywdzonych łączy się z ekonomiczną kompetencją. „Wojna klasowa minęła, ale walka o prawdziwą równość dopiero się zaczyna” – zapewnia premier brytyjski. W tym samym czasie, ale samoczynnie, (co jest naturalne po dwóch i pół latach działań nowego rządu), dokonano się pewne przesunięcie w reakcjach społeczeństwa. „Trzecia droga” nie pełni już funkcji odkrywczej teorii. Rząd Blaira osądza się dziś pragmatycznie, przede wszystkim według zgodności z przyrzeczeniami wyborczymi, a nie według posłuszeństwa teoretycznym diagnozom. U niektórych publicystów i dziennikarzy spoza Anglii trwa do tej pory „zaurczenie” Blairem. W Anglii jednak, nawet przy optymistycznym wymierzaniu jego szans w następnych wyborach, i co więcej, nawet wśród jego zwolenników, poglądy zaczęły się różnicować. Zdolny, inteligentny, dynamiczny, wytrwały polityk – tak. Ale wszechmogący zwiastun jakiejś nowej epoki – już nie.

Przy tym sytuacja gospodarcza Anglii przedstawia się na ogół korzystnie. Inflacja zbliża się do zera, procent bankowy utrzymuje się na niskim poziomie, bezrobocie jest również niskie i dalej spada. Kanclerz skarbu, Gordon Brown, mówi nawet o niedalekich możliwościach pełnego zatrudnienia, jeśli zarówno pracodawcy, jak i pracownicy zastosują się do dyscypliny organizacyjnej, jeśli pracodawcy będą inwestować, a pracownicy wstrzymają się od żądania zbyt wysokich płac.

Ale – jakże mogłoby być inaczej – nie brak kalców w

tym bukiecie róż. Nietrudno wcale odkryć całe „wyspy” społecznego niezadowolenia. Skarżą się więc, zwłaszcza w wielkich przedsiębiorstwach, właściciele i menadżerowie, na rozrastającą się biurokrację. Skarżą się farmerzy na zbyt niską, szczególnie od chwili, gdy zaczęły się kłopoty z eksportem wołowiny, pomoc państwa. A wszyscy razem (nie chodzi już więc o „wyspy”, chodzi o zgodny chór społeczeństwa) skarżą się na niedoinwestowaną infrastrukturę i w związku z tym na złe, czasem fatalne funkcjonowanie urzędów i ośrodków użyteczności publicznej.

Opieka zdrowotna, szkolnictwo, transport – oto trzy najważniejsze dziedziny, jakie wymieni tu każdy, zapytany o najdotkliwsze bolączki w życiu codziennym. Ograniczę się tu do kilku przykładów właśnie z dziedziny opieki zdrowotnej, gdyż jest to najboleśniej chyba troska społeczna. Otóż w ciągu ostatnich miesięcy, podczas epidemii ciężkiej grypy, zmarło szereg osób z powodu braku łóżek w szpitalach. Okresy czekania na wizytę u specjalisty bywają tak długie, że np. pacjentom chorym na raka grożą niebezpieczeństwa przerzutów. Kilka wymownych porównań statystycznych: kobiety przed 65-tym rokiem życia, u których stwierdzono raka piersi, mają jedną z najniższych w Europie Zachodniej szans przeżycia. Jeśli idzie o liczbę lekarzy na tysiąc pacjentów, W. Brytania zajmuje ostatnie miejsce wśród krajów Unii Europejskiej. Liczba łóżek w szpitalach wynosi dwa razy mniej niż we Francji i w Niemczech.

Tony Blair znajduje się od pewnego czasu pod ostrzałem krytyki ze strony opinii publicznej, w Izbie Gmin, w mediach. Podczas tradycyjnej w połowie legislatury debaty w Izbie Gmin, zagrały namiętności. Spory o brak czy zastój reform w obrębie najbardziej bolesnych i drastycznych niedoborów nasiliły się do tego stopnia, że mówiono i pisano o „najgorszym tygodniu” dla Blaira od powstania jego rządu w 1997. Równocześnie rządowy projekt obniżenia wymiarów podatkowych odbija się rykoszetem w gabinecie ministrów i wśród posłów Labouru – skąd bowiem wziąć w takim razie pieniądze na reformę opieki zdrowotnej? Z kolei zapowiedź tej reformy budzi następne niepokoje, że mianowicie uszczupli ona wydatki na szkolnictwo, na transport, na walkę z przestępczością.



Ten bilans niedoborów nie jest winą labourzystowskiego rządu. Jest spuścizną, jak przypomina część prasy brytyjskiej, po 18-tu latach władzy konserwatystów, którzy nad obecnym stanem rzeczy biadają i „wylewają krokodyle łzy”. Jednak Blair miał tę sytuację zmienić, dzięki obiecwanym zmianom wygrał przeciętne wybory. Tymczasem według panującej opinii, pomimo boom'u gospodarczego, w zakresie długotrwałych trosk i doraźnych w życiu codziennym utrapień nic się do tej pory nie zaczęło zmieniać.

I wreszcie... euro. Także w tej dziedzinie czekanie trwa, a opinia jest podzielona. Ostatnie sondaże wykazują, że 63 proc. zapytanych wypowiada się przeciw. Duża część wielkich przedsiębiorstw uważa, że W. Brytania w ogóle euro nie potrzebuje, gdyż może się wykazać korzystniejszym rozwojem gospodarczym niż zachodnie kraje na kontynencie, ma niższe podatki i niższe bezrobocie niż „sklerotyczna” Europa itd. Jednocześnie inna część opinii publicznej przyłącza się do wielkiej części mediów – i upomina, ponagla, przestrzega... Nie rozwodzę się nad tym, gdyż rzecz jest dobrze znana, a niezależnie od wskaźników gospodarczych, została już dawno wciągnięta na listę subtelnych różnic psychologicznych między mentalnością wyspiarską a kontynentalną.

Ale teraz ostrzeżenie przed pomyłką. Przy wszystkich wybuchach gwałtownej krytyki nie pozbawiono rządu Blaira kredytu zaufania. Burza w połowie legislatury nie oznaczała kryzysu, była raczej sygnałem wzywającym do konkretnego pośpiechu w konkretnych zakresach. Zarzuca się Blairowi, gdy idzie właśnie o prezentację zamiarów, dowolną i kwiecistą retorykę, niezgodną z rzeczywistymi możliwościami. Zarzuca mu się dalej brak praktycznego konceptu, nie postanowił bowiem dotąd, z której strony zabrać się do zapowiedzianej naprawy. Ale nie odmawia mu się zdolności działania. Przy tym wśród jego uczciwych krytyków nikt nie jest aż tak naiwny, by sądzić, że gruntowne zmiany w najbardziej zaniedbanych dziedzinach mogą się dokonać z dnia na dzień. Już od pewnego czasu zaczęto więc mówić o przyszłej kadencji. „Przyszłość wciąż jeszcze należy do Blaira” – czytamy w dzienniku *The Independent* z końca stycznia. „On sam musi rozstrzygnąć, co dalej robić”.

Wygląda więc na to, że drugą część kadencji obecnego

rządu wypełnią trudy modernizacji tragicznie czasem przestających urzędów, systemów itd.

● Przy porównywaniu rezonansu „trzeciej drogi” jako propozycji modelowej w trzech wpływowych krajach nasuwa się już teraz spostrzeżenie: W Anglii, a więc w miejscu powstania tej propozycji, minęła ona, jak pisałam, swój zenit, ustępując miejsca troskom praktycznym. W Niemczech kanclerz Schröder miał dużą ochotę na wypróbowanie modelu, ale pod naciskiem swojej partii i środowisk objętych jej wpływami od tego odstąpił. Jeśli zdarza mu się jednak do niego sięgnąć, to nie jako do ogólnej, zamkniętej metody, ale tylko fragmentarycznie i raczej... bez fanfar. Najwyższą i stosunkowo długotrwałą dyskusję wywołała „trzecia droga” we Francji. Została przez socjalistów francuskich i w ogóle przez lewicę oceniona negatywnie, ale w końcu zadziałała pozytywnie, służąc jako instrument samookreślenia i krystalizacji poglądów. Przy tym można tu zauważyć – okoliczność nawet zabawna – jak niejednoznaczne bywają obiegowe pojęcia polityczne, gdy stają się trafaretami. W wywiadzie dla kwartalnika *La Revue Socialiste* premier francuski, Lionel Jospin, przywoździł tę niedokładność:

„Nie umiałbym dobrze określić, co to jest ‘trzecia droga’. Jeśli sytuuje się ona między komunizmem a kapitalizmem, to jest to tylko nowa, użyta przez Brytyjczyków nazwa socjalizmu demokratycznego, co nie znaczy zresztą, że we Francji myślimy identycznie. Jeżeli natomiast ‘trzecia droga’ chce się wcisnąć między socjaldemokrację a liberalizm, to nie wchodzi ona dla mnie w rachubę. Żadne ‘między’ nie jest tu potrzebne”.

Innymi słowy, w kraju Kartezjusza definiowanie „trzeciej drogi” nie zachwyliło precyzją.

Podstawa programowa „wielorakiej lewicy” (*la gauche plurielle* – socjaliści, komuniści, Zieloni i inni) w rządzie francuskim uchodzi – głównie poza Francją – za raczej



tradycyjną, czasem nawet przestarzałą, a w każdym razie nie dość współczesną propozycję polityczną. Sądzę, że prawidłowa ocena jest znacznie trudniejsza, gdyż często przeszkadza jej różnica między retorycznym formułowaniem a spokojniejszą później praktyką realizacji. W angielskim projekcie górują polecenia adaptacji do liberalno-gospodarczej rzeczywistości. Natomiast socjaliści francuscy i inni członkowie koalicji rządowej wierzą w możliwość skutecznego oporu (środkami pokojowymi – socjalizm umarł, miejmy nadzieję, nawet dla komunistów) przeciw agresji współczesnego kapitalizmu, a także – jak wyraził się niedawno Jospin (ku zdziwieniu jednych, a przerażeniu innych) w możliwość przejścia do stopniowego przekształcania aż do okiełznania go i zreformowania. Dążenie do okiełznania nie otwiera drogi żadnej rewolucji, gdyż także w koncepcji Jospina kapitalizm jest ustrojem trwałym, który jednakże trzeba regulować i „cywilizować”: im więcej globalizacji, tym więcej regulacji i reformy. Szeroko rozpowszechniona maksyma Jospina „Gospodarka rynkowa – tak, społeczeństwo rynkowe – nie” ma oznaczać człowieka przed „agresywnym nacieraniem rynku” na jego życie codzienne, a także przed logiką zysku jako najważniejszego drogowskazu życiowego. Społeczeństwo – według optyki socjalistów francuskich – nie rozwija się bezkonfliktowo, a interesy pracodawców nie są identyczne z interesami pracowników. W aktualnym uwarstwieniu społecznym nastąpiło, w stosunku do dawnych podziałów, dodatkowe zróżnicowanie: obok klasy najbardziej uprzywilejowanych materialnie można dziś wyróżnić klasę robotników i pracowników, klasę średnią i klasę tzw. wykluczonych (*les exclus* – bezrobotnych, zatrudnianych przygodnie i najniżej płatnych, narkomanów itd.). Ale w projekcie socjalistów francuskich konflikty wynikające z tych wszystkich podziałów mają być opanowywane kompromisowo. Zmieniło się bowiem, podobnie zresztą jak w Anglii i w Niemczech, psychologiczne „ustawienie stron”: kapitalista przestał być dla pracowników wrogiem – jest kontrahentem.

Francja znajduje się w tej chwili w dobrej sytuacji gospodarczej, o czym świadczą publikowane wskaźniki, a także sondaże popularności prezydenta i premiera. Obaj otrzymują 60 do 70-ciu procent pozytywnych ocen, co oczywiście

odzwierciedla zadowolenie ludności nie tylko z ich współpracą (pomimo różnej przynależności partyjnej) – ale przede wszystkim z własnego położenia materialnego.

Od objęcia władzy przez nowy rząd wzrosły wpływy państwa z podatków, spadło zadłużenie, wzrost gospodarczy wynosi rocznie 2,5 do 3 proc. (przy bardzo niskiej inflacji i niskim procencie bankowym). Wzrosła też siła nabywczą i wzrosła liczba zagranicznych inwestorów. Oczywiście największą plagą pozostaje bezrobocie, chociaż spadło z 12,3 na 11 proc. a rocznie powstaje około 300 tysięcy nowych miejsc pracy. To wszystko jest jednak za mało i nie wystarczy, by zlikwidować masowe bezrobocie. Rząd stara się różnymi sposobami poprawić sytuację na rynku pracy. Zamierza się np. w ciągu pięciu lat stworzyć 350 tysięcy miejsc pracy w sektorze publicznym dla bezrobotnej młodzieży. Powstają też inne, obszerniejsze i bardziej szczegółowe programy zatrudnienia. Również 35-godzinny tydzień pracy, który – po wielu sporach i ostrej krytyce ze wszystkich stron (także ze strony pracowników) – wszedł ustawowo w życie od początku tego roku<sup>6</sup> – pomyślany był jako środek redukcji bezrobocia. Przyszłość dopiero potwierdzi lub zdementuje te nadzieje.

Z bilansami należy być ostrożnym – bardzo trudno jest ocenić, czy wszystko co pozytywne należy przypisać działalności obecnego rządu. Konserwatywna opozycja twierdzi, że to dzięki rygorystycznym oszczędnościom budżetowym za czasu jej rządów przygotowano podstawy dla obecnego rozwoju. Ale nawet jeśli „prawda leży pośrodku”, z różnych ocen z prasy francuskiej i pozafrancuskiej wynika, że „wiarogodność i pewna solidność rządu Jospina” wpłynęła na poprawę klimatu w gospodarce francuskiej.

Na zakończenie ostrożna próba odpowiedzi na pytanie, jakie wnioski wysnuć można aktualnie z problemów i dyle-

6. Ustawowo – nie znaczy od razu. Praktyczny, zależny od lokalnych warunków przedsiębiorstwa, nowy rozkład pracy ma być przedmiotem szczegółowych pertraktacji między kierownictwem a pracownikami. Jeśli w ciągu dwóch lat porozumienie nie zostanie osiągnięte, wtedy dopiero ma wejść w życie ustawa.



matów rządzącej lub współrządzącej socjaldemokracji w krajach rozwiniętych.

Od razu nasuwa się spostrzeżenie, że nie ma dziś nakazowych czyli normatywnych definicji. Nikt nie porywa się na ogólnie obowiązujące określanie „co np. jest, a co nie jest socjaldemokratyczne albo lewicowe”. Rozwiązania i kompromisy wynikają z sytuacji w danym miejscu i czasie.

Wspólna pozostaje natomiast nienaruszona emocjonalnie wierność określonym wartościom. Wartości te – wolność, solidarność, sprawiedliwość – wynikają jednak z najrozmaitszych motywacji, a nie z jakiegoś jedynie ważnego systemu poglądów. W Niemczech np. już program Godesberski w r. 1959 uprawomocnił wielość motywacji, od świeckich po religijne, a tym samym przypieczętował definitywnie odejście od światopoglądowych monopoli. Aktualne działania rządzących partii socjaldemokratycznych jednoznacznie potwierdzają ten odwrót.

Zachwiało się również pojęcie modelu. Nie tak dawno jeszcze uważano by, (a niektórzy uważają tak do dziś), że np. z postaciami pewnych polityków wiążą się konsekwentne modele socjaldemokratycznych sposobów rządzenia. Tymczasem okazuje się, że politycy, uchodzący za protagonistów tych modeli, sami je w pewnych wypadkach przekształcają. Gdy Schröder po proklamowaniu wspólnego manifestu z Blairem na temat „trzeciej drogi” spotyka się z silnym oporem we własnej partii – zmienia w swej polityce akcenty, a może i priorytety. Gdy Jospin oburza się z jednej strony na koncern Michelin’a, (który ogłaszając swoje ogromne zyski, zwalnia jednocześnie tysiące pracowników), ale oświadcza z drugiej strony, że nic na to nie może poradzić – to przeczy własnej zasadzie, że da się regulować kapitalizm. Można to uznać za taktykę, ale także za pragmatyzm, który czasem oznacza tylko chwilową zmianę kierunku działania, a czasem rezygnację. I wszyscy o tym wiedzą.

Socjaldemokratyczne propozycje i programy stały się skromniejsze. Nie obiecują rajy na ziemi, którego także nikt nie oczekuje. Trwałe, dziedziczone wartości – wolność, solidarność, sprawiedliwość – są żywe, ale względne, możliwe do realizacji tylko w pewnym stopniu. I wszyscy o tym wiedzą. Ideom formułowanym przez socjaldemokrację, nawet,

podkreślam, odbieranym przez ich zwolenników z wyraźną aprobatą, towarzyszy dziś nieuchronnie podtekst sceptycyzmu. Sceptycyzmu, który nie niszczy – ale jest.

Równocześnie coraz częściej słyszymy alarmy, coraz więcej czytamy artykułów i książek, przestrzegających wręcz rozpaczliwie przed kapitalizmem, coraz bardziej w dobie globalizacji drapieżnym, brutalnym, bezwzględnym dla człowieka, nie pozwalającym się poskromić przez politykę, obecnym już dziś, a wszechobecnym jutro.

Niestety, żadna z ponumerowanych dróg nie prowadzi na razie do odpowiedzi – co wtedy?

15 lutego 2000

Kamila CHYLIŃSKA

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30



## Moskwa-Krym. Wrażenia z podróży (II)

Zacznę od krótkiego wspomnienia. Kiedy zimą 1942 r. Niemcy wywozili nas z Witebska w bydłych wagonach na roboty do Niemiec, nie sądzę, aby ktokolwiek z mojej rodziny myślał wówczas o powrocie lub powrotu takiego pragnął. Za nami pozostawało bowiem stworzone rękami człowieka nowoczesne piekło: głód, choroby, sterczące wśród spalonych domów kikuty kominów, ruiny miasta, a wśród nich tu i ówdzie wciąż niepochowane jeszcze, zwęglone szkielety ludzkich ciał, i zakrzepłej w trzaskającym mrozie, przyprószonej śniegiem zwierzęcej padliny. Mimo, że jechaliśmy w niepewne, a ze sposobu w jaki nas traktowali Niemcy nic nie zapowiadało lepszej przyszłości – opuszczaliśmy Witebsk z uczuciem ulgi. W tym wyludnionym, zniszczonym mieście nie dało się już dalej egzystować.

Po wojnie znaleźliśmy się w Polsce nielegalnie\*. Choć byliśmy Polakami, jako obywatele sowieccy powinniśmy byli wrócić do „wielkiego kraju rad”, co oczywiście groziło rozstrzelaniem lub w najlepszym wypadku długoletnim czy nawet dożywotnim zesłaniem. Wykręciliśmy się podrobionymi papierami. Zachowując nazwisko, ojciec zmienił dane personalne. Mieszkając już w „wolnej niewoli” (określenie Cwietajewej po jej powrocie do Rosji sowieckiej) Polski Ludowej, nigdy nie przejawiałem chęci odwiedzenia Związku Sowieckiego.

\* Zob. mój autobiograficzny esej „Wierność i cierpienie: o Polakach w Związku Sowieckim przed 1939 r.” *Zeszyty Historyczne*, 1992, nr 100, s. 3-22.

go. Kiedy pytano mnie „czy już tam byłem” zmyślałem rozmaite powody, które miały usprawiedliwić moją opieszałość w staraniach o wyjazd na Wschód, a powód był właściwie tylko jeden: obawiałem się, że jeśli „złożę” papiery o wyjazd do Związku Sowieckiego, to „oni” mogą się dogrzebać do mojego prawdziwego pochodzenia. Po wyjeździe na Zachód, perspektywa odwiedzenia Rosji jeszcze bardziej się oddaliła.

Przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych przyniósł gwałtowną, choć nie dokonaną środkami rewolucyjnymi, zmianę: po pięćdziesięciu latach od chwili naszego wyjazdu z Witebska nastąpił szybki rozpad „niezwyciężonego kraju socjalizmu”. Zrozumiałem, że powstała szansa, aby przezwyciężyć obawy czy uprzedzenia zrodzone z osobistych doświadczeń przeszłości i wybrać się do Rosji. Zamiar odwiedzenia byłego (cóż to za wspaniałe słowo w tym kontekście) Związku Sowieckiego zbiegł się z otrzymaniem dużego grantu z Kanadyjskiej Rady do Badań Nauk Społecznych i Humanistycznych w Ottawie (tzw. SSHRCC). Po raz pierwszy znalazłem się w Moskwie w maju 1994 r. Nie będę tu zatrzymywać się na szczegółach oddzielnych podróży i potraktuję je tutaj jako obserwacje i wrażenia wyniesione z pewnej całości, tzn. z pięciu podróży, łącznie z ostatnią na Krym (październik-listopad, 1999).

Szeremietiewo. Słynne międzynarodowe lotnisko w Moskwie przytłacza przybysza swym ponurym wnętrzem. Mam tu głównie na myśli tę część, gdzie odbywa się kontrola paszportowa i celna. W stosunku do rozmiarów lotniska jako całości pomieszczenie to razi swą ciasnotą, przygnębiam szarością, którą potęguje przyćmione światło. Podróżni z kilku międzynarodowych lotów stoją stłoczeni i cierpliwie czekają na swoją kolejkę. Przy okienku kontrolnym czeka podejrzliwe oko oficera straży granicznej. Odprawa paszportowa zabrała ponad godzinę czasu! A trzeba jeszcze przejść przez kontrolę celną. Podobnie jak inni, zaczynam niepokoić się o swój bagaż. Przecież samolot dawno już wylądował. W komorze odprawy celnej rozpaczliwie rozglądam się za swoimi walizkami i nie mogę ich znaleźć – wreszcie dostrzegam; zdjęte już z taśmy bagażowej leżą w kącie, ale jednej brakuje. Zgłaszam się do urzędnika. Spotyka mnie leniwe, obojętne



spojrzenie. Wydaje mi się, że mu przeszkadzam, jestem intruzem, który zakłóca jego spokój, co natychmiast wywołuje we mnie jakieś niejasne skojarzenia literackie (niestety skrzywienie zawodowe). Czyżby współczesna obłomowszczyzna? Dostrzegam od razu kontrast z tym do czego już od dawna przyzwyczaiłem się na Zachodzie: wszystko odbywa się tutaj w powolnym tempie, tak jak to widzimy niekiedy w zwolnionych kadrach filmowych. Prowadząc bez przerwy konwersację z kolegą, urzędnik powoli spisuje wygląd walizki, jej zawartość. Po spełnieniu wszystkich formalności wychodzę wreszcie po dwóch godzinach do sali przylotów, niepewny czy moi znajomi wciąż jeszcze na mnie czekają. Są i od razu ruszamy do miasta. Następnego dnia przywieziono mi zaginioną walizkę; wszyscy się dziwią i przypisują to pomyślnie zakończenie, tę „uczciwość” temu, że przyleciałem do Moskwy niemiecką Lufthansą.

Moje pierwsze i bardzo osobiste reakcje odnoszą się do języka. Nagle znalazłem się w otoczeniu śpiewnej, melodyjnej mowy rosyjskiej. Ale ten piękny język wywołuje we mnie poczucie zagrożenia, czuję się niezbyt swojo w jego otoczeniu. Czyż jest to język tych, którzy dokonali kiedyś rewizji w moim domu i uprowadzili mojego wujka? Po przeszło czterdziestu latach odległe przeżycia z czasów dzieciństwa w Witebsku odbijają się jakimś wewnętrznym niepokojem w zupełnie odmiennej sytuacji. Postanawiam to uczucie nieufności stłumić, przezwyciężyć, aby nie przeszkadzało w kontaktach z ludźmi i to mi się udaje. Stopniowo język mi się „rozwiązuje”, zaczynam posługiwać się nim biegle, bez trudności, a moi rozmówcy prawią mi komplementy, że rozmawiam jak moskwicz, nic oczywiście nie wiedząc o mojej przeszłości.

Pierwsze spotkanie z Moskwą nie należało do przyjemnych. Brudne, zakurzone ulice, niekoszone trawniki, sznury samochodów produkcji z doby sowieckiej, przetykane drogimi wozami z Zachodu, podziurawione, zniszczone chodniki, obdrapane fasady „komunałek” czyli zbudowanych jeszcze za „rozkwitu” władzy sowieckiej bloków mieszkalnych, tu i ówdzie obskurne neony reklamowe. Rzuca się właśnie w oczy całkowita nieumiejętność reklamowania sklepów, instytucji czy towarów. Po przeszło siedemdziesięciu latach so-

wieckiej drętwości, szarzyzny, niszczenia ludzkiej inicjatywy i pomysłowości, nowe struktury gospodarcze i handlowe nie potrafią jeszcze sprostać potrzebom rynku, tzn. odpowiednio uplastyczyć, zaprezentować swoich wyrobów lub produkcji. Na Wzgórzach Leninowskich (obecnie przemianowane znów na „Wzgórze Worobjowy”), położone są główne gmachy Uniwersytetu Moskiewskiego im. Łomonosowa. Monumentalne budynki architektury socrealizmu ze strzelistymi igłami przypominającymi Pałac Kultury w Warszawie kontrastują z zaniedbanymi trawnikami, wyschniętymi fontannami, zwiędłymi, wyniszczonymi kwiatami klombów. Wszędzie widać zaniedbanie spowodowane brakiem pieniędzy. Moja gospodyni, która oprowadza mnie po terenie Uniwersytetu ubolewa nad rozmiarami takiego zniszczenia: „Kiedyś było tu tak ładnie – powiada, – przecież to był istny ogród, wszystko tonęło w kwiatach, tryskały fontanny, oświetlone chodniki, pełno młodzieży, a teraz – wszystko zmarnowane”. Nie sądzi jednak, aby należało żałować zmian jakie nastąpiły po rozpadzie Związku Sowieckiego.

Opisuję tutaj wrażenia z mojej pierwszej wizyty. Chciałbym podkreślić, że za każdym przyjazdem do stolicy Rosji dostrzegalem pozytywne zmiany na lepsze. Miasto stawało się bardziej schludne, znikaly częściowo symbole starego systemu (wcześniej już np. zaniechano wystawiania warty honorowej przed Mauzoleum Lenina), gwiazdy zastępowano stopniowo dwugłowymi orłami, cerkwie odzyskiwały swój dawny przepych i blask, co najbardziej ilustrowała złota kopuła odbudowanego soboru Chrystusa Zbawiciela, wysadzonego w powietrze na rozkaz Stalina w 1936 r. Restauracje i kawiarnie nęciły bardziej zachęcającym, atrakcyjnym wnętrzem, ale nadal odstraszały swą drożyzną, która czyni je niedostępnymi dla przeciętnych mieszkańców stolicy. Wyraźnie poprawiało się zaopatrzenie sklepów, choć rynek pozostawał i pozostaje do dziś zalany zachodnią tandetą.

Osobliwością Moskwy są wielkie bazy, które uznać można za część składową jej kultury czy podkultury. Świadczą one chyba najbardziej o współczesnej Rosji jako spadkobierczyni wielonarodowego państwa jakim był Związek Sowiecki. Bazy to miejsce spotkań narodów byłego imperium. Codziennie rano zjeżdżają się tutaj latem tysiące handlarzy ze



wszystkich zakątków byłego Związku Sowieckiego: Ukraińcy, Białorusini, Uzbegy, Ormianie, Gruzini itd., no i oczywiście sami Rosjanie – przeważnie z podmiejskich kołchozów i pobliskich miast. Moskwa jest atrakcyjnym rynkiem zbytu. Przeciętna zarobków jej mieszkańców jest znacznie wyższa niż gdzie indziej, dlatego istnieje tu większa szansa zarobku. Handluje się tu dosłownie wszystkim – produktami rolnymi, konfekcją, alkoholem, jedzeniem, i podejrzewam, narkotykami. Te spotkania nie zawsze są przyjazne. Dochodzi niekiedy do bójek, a nawet strzelaniny bo każda grupa etniczna dąży do zajęcia jak najlepszego punktu handlowego, a niekiedy i przejścia całego bazaru. Etniczne mafie mają tu szerokie pole do działania. U Uzbeka z Taszkientu zamawiam szaszłyk. Wywiązuje się między nami przyjazna rozmowa. Pytam czy mu się opłaca przyjeżdżać do Moskwy aż z Taszkientu. W domu pozostała żona i dwoje dzieci, ale bez wahania odpowiada twierdząco. Zwykle przyjeżdża na miesiące letnie. Nawet mimo wymuszanego przez mafie „haraczu”, wraca z pewnym zyskiem, który pozwala mu na utrzymanie rodziny. Nasz dialog przedłuża się. Z pobliskiego namiotu wychyla się nieprzyjemna twarz jakiegoś osobnika. Wnioskuje, że to „opiekun”. Czas kończyć rozmowę. Przy pożegnaniu mówię sprzedawcy szaszłyku, że pochodzę z Uzbekistanu, że urodziłem się w Samarkandzie. Jego twarz opromienia uśmiech. „Przyjeżdżajcie, powiada, przyjeżdżajcie koniecznie odwiedzić ojczyznę!”

Są jednak i tacy, którzy szukając schronienia osiedlają się tu na stałe. W Rosyjskim Państwowym Uniwersytecie Humanistyki, uczelni założonej już w ciągu postępującego rozkładu Związku Sowieckiego, spotykam Ormiankę; miała, jak powiada, w Jerewanu wszystkiego już dosyć – wojny z Azerbejdżanem, nędzy („ludzie rąbali zimą piękne stare meble, aby ogrzewać mieszkania”), bezrobocia, głodu, a reszty dopełniło tragiczne trzęsienie ziemi. Przeniosła się do Moskwy i pracuje w dziekanacie jako sekretarka. Powyższe obserwacje nasuwają pewne wnioski, które wymagają komentarza. Otóż wydawałoby się, że długoletnia niewola narzucona przez system sowiecki małym narodom mogła tylko zrodzić wrogość czy nienawiść w stosunku do centrum. Tymczasem przeszło siedemdziesiąt lat współzycia w jednym państwie

stworzyło też poczucie pewnej wspólnoty, więzów między-ludzkich, co przejawia się chociażby we wspólnocie języka. Nie rokuję wielkiej przyszłości politycznej Wspólnocie Niepodległych Państw, ale namiastka jakiegoś rosyjskiego *commonwealth*’u z pewnością przetrwa. Jeśli przybysze ubolewają nad rozpadem Związku Sowieckiego, to czynią to głównie ze względów praktycznych (np. utrudnienia w handlu) raczej niż sentymentalnych. Zachowanie Rosjan natomiast da się określić jako paradoksalne: z jednej strony żałują upadku potężnego państwa bo skurczył się niewątpliwie świat, którego byli przecież główną i uprzywilejowaną siłą napędową, z drugiej zaś cechuje ich zachowanie wyrażna, granicząca niekiedy z rasizmem niechęć do „czarnych” (tego właśnie terminu używają) czyli Azjatów i ludzi z Kaukazu. Oto co pisze pewna pracowniczka wyższej uczelni w odpowiedzi na artykuły niektórych gazet, próbujące złagodzić ksenofobię wymierzoną głównie przeciwko byłym współobywatelom z Azji Środkowej i republik kaukaskich: „Moskwa musi być oczyszczona z plugastwa. Jako kobieta i nauczyciel z uniwersyteckim wykształceniem, docent uczelni, wołam – zamknijcie się! Nie kałajcie papieru rozczulającą obroną tych azjatyckich bestii”. Władze od czasu do czasu odpowiadają obławami, tzn. milicja zatrzymuje na ulicach i stacjach metra mężczyzn przeważnie o następującym rysopisie: krępy brunet o ciemnej cerze, z wąsikami, niskiego wzrostu. Zacytowany przed chwilą *vox populi* usprawiedliwia oczywiście takie akcje, ale mówi się coraz częściej i o tym, że rząd zręcznie manipuluje podobnymi sentymentami dla celów politycznych i pod płaszczykiem walki z przestępczością, terroryzmem, przemytem narkotyków, stara się zdławić tendencje odśrodkowe w republikach autonomicznych wchodzących w skład Federacji Rosyjskiej. Im bardziej jakiś okręg czy republika autonomiczna domaga się samodzielności, tym bardziej rosną oskarżenia Moskwy, że ich mieszkańcy uwikłani są w działalność przestępczą. Czy taka współzależność rzeczywiście istnieje, trudno z całą pewnością powiedzieć, ale przykład Czeczenii zdawałby się za tym przemawiać.

Przebywając w Moskwie rozumiałem też skąd wyływa, przynajmniej częściowo, zachodni rusocentryzm. Kiedy widzi się moskiewskie bazy, mimo woli przypominają się załad-



nione przez Arabów dzielnice Paryża czy też weekendowe, barwne przez swą egzotykę, wieloetniczne targowiska Brukseli. Chociaż analogie mogą być pod wieloma względami mylące i powierzchowne, to przecież wskazują one na to samo zjawisko, świadczą o tych samych procesach rozkładu imperiów i przekleństwo postkolonialnej rzeczywistości. Zachód widzi w ruchach demograficznych współczesnej Rosji (przy- wpływ obcego etnicznie elementu i ucieczka Rosjan z byłych republik sowieckich do Rosji) swoje odbicie i skłonny jest traktować Rosjan jak pobratymców w nieszczęściu, bowiem znaleźli się oni w podobnej sytuacji, stoją w obliczu podobnych konfliktów i dylematów, tzn. chcieliby pozbyć się intruzów, ale historia przytłacza ciężarem tradycji i powstrzymuje od radykalnych rozwiązań.

Zmiany jakie zachodzą w Rosji widać jednak najjas- krawiej w sferze kultury. Sowiecką drętwość ideologiczną, za- stąpiły żywe i ciekawe dyskusje, polemiki i śmiało formuło- wane opinie. Ruch wydawniczy jest imponujący choć jakoś papieru i opraw pozostawia często wiele do życzenia. Szczególną różnorodność i bogactwo tematyczne cechuje publiko- wanie nowych periodyków kulturalnych i literackich. Obok starych czasopism takich jak *Nowyj Mir*, *Zvezda*, *Oktjabr* itd., istnieją od niedawna – *P.S.*, *Wiestnik nowoj literatury*, *Lepta*, almanach *Strielec*, ciekawie redagowany, ale nieregularnie ukazujący się *Kukart* (poświęcony sztuce teatru kukiel- kowego). Za najbardziej poważne czasopismo uznać jednak należy *Nowoje literaturnoje obozrenije*. Należy ono niewątpliwie do najciekawszych tzw. „tołstych żurnalów”, otwarte na autorów nie tylko rosyjskich, ale i zagranicznych. Tytuł *Nowoje literaturnoje obozrenije* nie ogranicza się wyłącznie do czasopisma. Jest to właściwie instytucja wydawnicza: finansowane ze źródeł prywatnych, drukuje też całą serię książek oraz organizuje doroczne letnie sympozja pod nazwą „bannije cztienija” z udziałem literaturoznawców z całego świata. Wydawnictwem o wyjątkowym znaczeniu dla kultury polskiej w Rosji jest „WAHAZAR”, nazwa wskazująca od razu na powiązania ze St.I. Witkiewiczem i jego sztuką „Gyubal Wahazar”. Wydawnictwo powstałe na fali przemian przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych istnieje od 1991 roku i wydaje kolekcję dzieł literatury polskiej. Jego dyrektora

i wielkiego miłośnika literatury polskiej pana Andrieja Bazilewskiego spotkałem w Instytucie Literatury Światowej im. A.M. Gorkiego. Przy tym pierwszym spotkaniu zaskoczył mnie swoją znajomością współczesnych poetów polskich, nawet tych żyjących poza krajem, na emigracji, m.in. w Kanadzie; orientuje się doskonale w ruchu wydawniczym Polonii amerykańskiej. Zapoznał mnie również ze swoją działalnością translatorską i wydawniczą. Jego dorobek w tym zakresie jest imponujący, a z przelotnego spotkania na XII Międzynarodowym Kongresie Słowistów w Krakowie w 1998 r. wnioskuję, że jego entuzjazm dla kultury polskiej nie słabnie. W wydawnictwie „Wahazar” ukazały się dotychczas utwory wielu znanych poetów i pisarzy polskich, Cz. Miłosza, K. Wojtyły, J. Rybowicza, trzy tomy antologii polskiej itd. W Polsce p. A. Bazilewskij jest oczywiście osobą znaną, ale nie jestem pewien czy w pełni docenia się znaczenie jego działalności i czy udziela mu się należytej pomocy. Niedawno otrzymałem od pana Bazilewskiego tom zatytułowany „Diubal Wahazar” (1999). Zawiera on jego tłumaczenia siedmiu sztuk Witkacego, m.in. tytułowy „Gyubal Wahazar”, „Kurka wodna”, „Szewcy” i inne. Jest to pierwszy tom Utworów zebranych Witkiewicza wydawanych pod auspicjami Komisji Federacji Rosyjskiej i Polskiej Komisji Narodowej do spraw UNESCO. Celem całej polskiej serii „Wahazar”, jedynej tego rodzaju w Rosji, jest popularyzacja tych pisarzy, którzy ignorowani byli w okresie sowieckim. A więc chodzi o nadrobienie zaległości.

Podobną tendencję przeżywa zresztą cały rosyjski ruch wydawniczy. Stoiska z książkami znajdują się na każdej większej ulicy i z łatwością można dostrzec z jaką intensywnością odrabia się zaległości, a więc publikuje się dzieła zbiorowe pisarzy emigracyjnych nigdy w Związku Sowieckim nie wydawanych (np. Jew. Zamiatin, B. Zajcew) lub poddawanych ostrej cenzurze i ograniczeniom, (O. Mandelsztam, B. Pasternak). Ukazują się książki napisane niegdyś „do szuflady”, jak np. powieść W. Iwanowa U. Istny triumf wydawniczy przeżywają pisarze, do których przylgnęła nazwa „dysydent”, a więc A. Sołżenicyn, W. Aksjonow, J. Brodski, E. Limonow, A. Zinowjew itd. Warto wspomnieć, że dwaj ostatni przeszli zdumiewającą, wręcz niepojętą metamorfozę,



dokonali zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, a Zinowjew przeszedł na pozycje, których mogliby mu pozazdrościć staliniści. Ubolewając nad przegraną Ziuganowa w wyborach prezydenckich 1996 r., Zinowjew oświadczył w wywiadzie dla *Prawdy* (10.07.1996r.): „Teraz zrozumiałem jak nigdy, że ludzie Zachodu, poza rzadkimi wyjątkami, są żołnierzami armii wrogów Rosji. Okrutni, bezlitośni, gotowi na wszystko. Są oni współuczestnikami klęski Rosji”. W konkluzji swoich wywodów Zinowjew dochodzi do wniosku, że aby uratować Rosję należy odbudować komunizm „wolny od dogmatyzmu i utopijnych iluzji”. Niestety Zinowjew nie jest odosobniony w posługiwaniu się nacjonalistyczną demagogią. Jeśli autor „Świetlanej przyszłości” propaguje ją z lewa, to jej skrajnym przykładem z prawa jest Aleksander Prochanow („jeśli faszyzm jest ceną jaką trzeba zapłacić za stworzenie wielkiego państwa rosyjskiego ... to niech będzie faszyzm”). Prochanow jest autorem niskiego lotu, gorzej, że pozycję bliską jego poglądom zajmują pisarze znani i wybitni, tacy np. jak Walentin Rasputin czy nawet A. Sołżenicyn. Wydaje się, że trudno byłoby dziś kusić się o ustalenia zmierzające do określenia tendencji rozwojowych w literaturze rosyjskiej, ale jeden nurt wyraźnie zdominował dyskusje, a mianowicie postmodernizm. Szuka on wyraźnie związków z Zachodem i stanowi przeciwwagę wobec retoryki szowinistycznej. Głównym jego teoretykiem, zwanym niekiedy „papieżem rosyjskiego postmodernizmu” jest Wiaczesław Kuricyn. Rozpatruje on postmodernizm nie tylko jako nowy eksperyment formalny, lecz jako wyraz nieograniczonej wolności, jako zrozumienie jej istoty i zarazem dążenie do jej urzeczywistnienia. Dyskusje o postmodernizmie zatoczyły dosyć szerokie kręgi i dotknęły nawet cerkwi w pracy zatytułowanej „Postmodernizm i prawosławie”. Poważne dyskusje przeplatają się oczywiście z literaturą popularną, często opisującą współczesne schorzenia społeczne (korupcja, bandytyzm, złodziejstwo itp.) oraz ostrą, cyniczną w swej wymowie satyrą. Do pierwszej kategorii należy twórczość Nikołaja Purcewa, do drugiej – Andreja Jachontowa. Polecam tego ostatniego. W swym „Podręczniku życia dla głupców” posługuje się zgryźliwą ironią, sarkazmem, kpi bezlitośnie ze wszystkiego i wszystkich. Książka składa się z luźnych fragmentów, które

odnoszą się do różnych sfer życia. Są one parodią gatunku przypowieści filozoficznej. Dla ilustracji dajmy przykład. „Wniosek Nr 1. Czym jest prawda?” Odpowiedź: „Prawda jest piękna wyłącznie jako pojęcie abstrakcyjne. Ledwie zaczniesz stosować ją w konkretnej sytuacji – zmienia swój charakter nie do poznania i staje się przeszkodą”. Wniosek drugi, pytanie: „Dlaczego nie należy dotrzymywać danego wam słowa?” Odpowiedź: „Przecież dążycie do wolności. Znaleźć się w niewoli kogokolwiek lub czegookolwiek – to pułapka. Trzeba wydostać się z niej wszelkimi dostępnymi środkami”.

*dokończenie nastąpi*

Edward MOŻEJKO

## KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

**ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI**

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

**SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI**



## Archiwum polityczne

### Odwilż w Iranie?

W lutym br. „Islamistyczna Republika Iranu” (jak brzmi oficjalna nazwa Iranu od obalenia monarchii i wprowadzenia rządów kleru w 1979 r.) na pewien czas znalazła się znów na pierwszych stronach gazet zachodnich. Przyczyną tego były irańskie wybory parlamentarne, które odbyły się 18 lutego i przyniosły zdecydowane zwycięstwo tzw. reformatorom, czyli ugrupowaniom popierającym względnie liberalnego prezydenta Mohammada Chatami, urzędującego od 1997 r. Na ogólną liczbę 290 miejsc w dominowanym dotychczas przez konserwatystów *madżles'e* (=Zgromadzeniu Narodowym) kandydaci „ugrupowania” (eufemizm zastępujący słowo „partia”, będące wciąż jeszcze tabu) o nazwie Front Współpracy Islamistycznego Iranu i kierowanego przez Mohammada Rezę Chatamiego, młodszego brata prezydenta, uzyskali 136 miejsc. Inne grupy reformatorskie o podobnym profilu uzyskały 30 miejsc, podczas gdy wyraźna „konserwa” klerikalna zdobyła tylko 39; pozostali posłowie mają być wybrani – przypuszczalnie w kwietniu – w różnych podwyborach lokalnych drugiego rzutu. W ten sposób już teraz widać, że reformatorzy będą mieli zdecydowaną większość w parlamencie i z tej racji nadzieja na jakieś pozytywne zmiany w Iranie – po 21 latach *sui generis* bolszewizmu religijnego – wydaje się dość uzasadniona. „Dość” to jednak nie znaczy „całkowicie”, zwłaszcza w kraju o słabych (jeśli w ogóle...) nawykach demokratycznych, a za to długiej tradycji oscylowania pomiędzy despotyzmem a anarchią. Wszyscy obserwatorzy są zdania, że z racji opresywności i niewydolności obecnego reżymu jego liberalizacja jest koniecznością, ale wszyscy też zgadzają się, że

ewentualni reformatorzy mają przed sobą trudne i niebezpieczne zadanie. Ponadto – jak poucza nowsza historia Iranu – nie mają też żadnej gwarancji sukcesu. Tzw. rewolucja konstytucyjna w latach 1905-1911 obaliła wprawdzie (głównie na papierze) absolutyzm dynastii Kadzarów, ale po dłuższym okresie chaosu zakończyła się w 1921 r. bardzo twardą dyktaturą Rezy Szaha Pahlavi i (nieco łagodniejszą) jego syna Mohammada. Likwidacja monarchii w 1979 przez Chomejniego i jego ówczesnych entuzjastów doprowadziła do jeszcze uciążliwszej dyktatury kasty klerikalnej, sprowokowała wyniszczającą wojnę z Irakiem (1980-1988) i znacznie pogorszyła sytuację ekonomiczną. Dzisiejszy Iran jest znów typowym krajem Trzeciego Świata, w którym *gros* eksportu stanowią surowce (ropa 85%), panuje bezrobocie (ponad 35%), bezprawie i korupcja, a oficjalna doktryna polityczna (*velayat-e faqih* – ca. „Najwyższy autorytet teologa”) głosi, że wszelkie istotne sprawy państwowe są w gestii niekontrolowanego przez nikogo Przewodnika Duchowego. Obecnie jest nim następca Chomejniego, konserwatywny *ayatollah* (=rodzaj szyickiego arcybiskupa) Ali Chamaneyi. Ma on prawo *veto* nie tylko w stosunku do nowych ustaw, ale także i „niewłaściwych” decyzji oficjalnego prezydenta. W razie potrzeby *veto* to może być jeszcze wzmocnione przez 12-osobową Radę Strażników, czyli również przez nikogo nie wybraną grupę wysokich duchownych.

Ta pozornie skomplikowana „struktura prawna” w obecnym Iranie jest w istocie bliskim krewnym systemu komunistycznego, czyli dwupodziału władzy na „Partię i Rząd”, toteż dla osób z doświadczeniem „demokracji ludowej” nie stanowi zagadki. „Przewodnik Duchowy” i otaczająca go „Rada Strażników” to Pierwszy Sekretarz i Biuro Polityczne, zaś rząd i parlament – to właśnie „rząd i parlament” w naszym nam aż za dobrze systemie. Prawdziwa władza należy więc oczywiście do „Partii” czyli ogromnej i głęboko zakorzonionej struktury klerikalnej. Teoretycznie islam nie zna funkcji kapłanów, ale w praktyce (szczególnie w wydaniu szyickim) istnieje bardzo liczna, zhierarchizowana warstwa specjalistów religijnych uprawnionych do mieszania się we wszystkie sprawy zahaczające o religię, w tym m.in. sądownictwo. Ponieważ tak było od wieków, więc kler szyicki dla wielu



Irańczyków – zwłaszcza w warstwach mało wykształconych – ma swoisty legitymizm i aurę reprezentanta „podstawowych wartości narodowych”. W obecnym Iranie dziedzina podpadająca pod definicję „wiary i moralności” jest olbrzymia, toteż niezliczone komitety różnych szczebli, kierowane przez mułłów-zawodowców, mają ręce pełne roboty. Ponieważ jednak główne centrum edukacji teologicznej czyli „święte” miasto Qom rok rocznie wypuszcza po 40.000 świeżych absolwentów, „baza terenowa” jest dobrze obsadzona i nadal się rozszerza. Atrakcyjność tej działalności polega nie tylko na przyjemności kontrolowania poczynań bliźnich ale i na tym, że funkcjonariusze starannie zorganizowanej sieci „opieki duchowej” nad całym krajem powiązani są z systemem tzw. *vagfów*, czyli (w założeniu) dobroczynnych fundacji religijnych władających dużymi połaciami ziemi uprawnej, kapitałem i specjalnymi przedsiębiorstwami. Te ogromne zasoby są zwolnione od podatków i w praktyce nie podlegają żadnej kontroli zewnętrznej ani obowiązкови sprawozdawczości. Resztę można sobie łatwo dośpiewać. „Kto ma mułłę w rodzinie, temu bieda nie dobodzie”.

Naszkiecowany powyżej system podwójnej władzy działał za życia Chomejniego (zmarł w czerwcu 1989 r.) tak bezbłędnie, że wydawało się, iż „rząd i parlament” zawsze będą tylko cieniami prawdziwych decydentów, a zatem że nie ma potrzeby nadmiernego zastraszania wyborców ani zbyt jaskrawego fałszowania wyników, natomiast pewne pozory demokracji przy wyborach upiększają fasadę reżymu. Założenie to sprawdzało się istotnie jeszcze przez pewien czas po śmierci pierwszego Przewodnika. Ludność Iranu była tak przygnieciona terrorem pierwszych lat porewolucyjnych i straszną wojną z Irakiem (średnio pół miliona ofiar rocznie, przez osiem lat), że dość długo z rezygnacją głosowała „jak trzeba”. Czuwał nad tym zresztą szczywny lis polityczny, *hodżdżatoleslam* (rodzaj pod-*ayatollah*'a) Ali Akbar Haszemi Rafsandżani, początkowo przewodniczący parlamentu, a następnie dwukrotny prezydent Iranu. Ten swoisty perski Chruszczow ograniczył stosowanie bezpośredniego terroru do „niezbędnego minimum”, a za to szeroko choć mgliście napomykał o potrzebie przykrócenia „ekscesów” i bardziej liberalnej polityce wewnętrznej. Ta „mediacyjna taktyka”

(przy równoczesnym twardym trzymaniu w garści wojska, sądownictwa i policji, wspieraniu międzynarodowego terroryzmu i doskonałej zgodzie z głównym Przewodnikiem, *ayatollah*'em Chamejneyi) przyczyniła Rafsandżanemu pewnej popularności, nawet wśród obserwatorów zachodnich. Wielkie więc było zdziwienie, gdy we względnie swobodnych wyborach prezydenckich w maju 1997 r. stracił swoje stanowisko na rzecz mało przedtem znanego *ayatollah*'a Mohamada Chatami.

Ten nowy prezydent nie jest byle kim, nawet w oczach arrywistów lub/i fanatyków tworzących obecny ultrakonserwatywny *establishment* klerykalny. Już jego ojciec i dziadek byli poważanymi *ayatollah*'ami, a on sam był ongiś protegowanym Chomejniego. Jest to więc swego rodzaju arystokrata religijny, którego nie można spławić czy aresztować pod byle pretekstem; groziłoby to rozruchami i schizmą we własnych szeregach. Jak dotąd odważono się na to tylko wobec jego niewygodnych, a bardziej kruchych zwolenników: „zbyt” popularnego *eks*-burmistrza Teheranu Karbasiego (aresztowany i skazany za rzekome malwersacje) oraz „zbyt” liberalnego *eks*-ministra spraw wewnętrznych Abdollaha Nuri (zdjęty z urzędu przez „parlament” i skazany na 3 lata za „przestępstwa polityczne”). Prezydent Chatami nie był w stanie temu zapobiec – jak się wydaje, raczej ze strategicznej ostrożności, niż ze strachu o własną skórę. Jest to człowiek niewątpliwie bardzo inteligentny i o znacznie szerszych horyzontach, niż większość jego konfratrów. W pierwszym przemówieniu po objęciu urzędu prezydenckiego wypowiedział się za koniecznością zlikwidowania ingerencji państwa w życie prywatne, wyraźniejszą sprawozdawczością i uporządkowaniem wymiaru sprawiedliwości. Dość wyraźnym dla wszystkich zamiarem Chatamiego jest rodzaj irańskiej pierestrojki, zmierzającej do wyciągnięcia kraju z zapaści bez nadmiernych wstrząsów politycznych i socjalnych. A o to bardzo łatwo w 65-milionowym Iranie, szczególnie teraz, gdy wyrosło już nowe pokolenie niecierpliwie rozglądające się za *panem et circenses*. Przedsmakiem tego były rozruchy w Teheranie w lipcu 1999 r., przypominające nieco „wypadki marcowe” w Polsce: studenci protestujący przeciw zamknięciu „reformatorskiego” pisma *Salaam* (i oskarżeniu jego redakto-



ra o „zdradę tajemnic państwowych”) zostali zaatakowani i ciężko pobici przez perskie ZOMO; to wywołało takie zamieszki na ulicach, że cały Teheran znalazł się na kilka godzin na skraju chaosu. Zarówno reformatorzy jak konserwatyści zdali sobie sprawę, że stąpają po cienkim lodzie.

Konserwatyści uświadomili sobie ponadto, że „obóz Chatamiego”, tzn. młódzież, kobiety (główne ofiary wymogów „muzułmańskiej skromności”) i coraz bardziej liberalizująca się prasa, staje się poważnym zagrożeniem dotychczasowego *status quo*. Zaczęła się wojna podjazdowa przeciwko całemu ruchowi reformatorskiemu, nieco przypominająca przepychanki z okresu stanu wojennego w Polsce: zamykanie czasopism, fałszywe oskarżenia, a także „ostrzegawcze” skrytobójstwa. Pod koniec 1998 zostało zamordowanych w Teheranie czterech wybitnych intelektualistów (jednego z nich znałem osobiście: był to poważny naukowiec nie zajmujący się polityką). I tu znów analogia polska (ks. Popiełuszko): wobec tej zbrodni prezydent Chatami jednak poszedł *va banque* i zmusił perskich ubeków do ujawnienia sprawców; czołowa figura tej akcji, niejaki Saed Emami został aresztowany w styczniu ub.r., ale – znów kontrposunięcie – do procesu nie doszło, bo więzień wkrótce potem „popęłił samobójstwo”. Normalna taktyka Chatamiego polega jednak głównie na „małych krokach”, m.in. przez stopniowe skupianie wokół siebie sympatyków reformy. Taktyka ta wydała już okazały owoc w postaci – jak wspomniałem – „liberalizującej się prasy”. Jak to było możliwe w tak nieprzychylnych warunkach? Ano tak, że mianowany przez prezydenta wiceminister kultury rozpoczął urzędowanie od udzielenia dziesiątków licencji na wydawanie czasopisma (tytuł do wypełnienia przez zainteresowanego) każdemu, kto o to wystąpił. Poniektórzy właściciele gazet wzięli na wszelki wypadek po kilka. Obecnie, gdy ich gazeta zostanie oficjalnie zakazana pod jednym tytułem, po kilku dniach ukazuje się znowu pod innym. Oczywiście pozostają jeszcze „środki pozaprawne” – ale od czasu afery Emamiego jest to metoda ryzykowna: odważni dziennikarze stają się coraz popularniejsi, a ulice Teheranu coraz bardziej wybuchowe.

Wynik ostatnich wyborów był więc tylko podsumowaniem procesu, który zaczął się już kilka lat temu. Rafsandżani

– sztandarowa postać konserwatystów – znalazł się z trudem na 28-y miejscu spośród 30 mandatów parlamentarnych przypadających na Teheran. Co więcej, w kilka dni po wyborach prasa ujawniła, że stało się to nie bez podejrzanych machinacji przy liczeniu głosów, tak że jego „poselstwo” nie jest jeszcze całkiem pewne. Dla młodych Irańczyków ten obecnie 65-letni „taktyk mediacji” jest figurą przypominającą *mutatis mutandis* Breżniewa – symbolem marazmu gospodarczego, międzynarodowej izolacji Iranu i opresywnej polityki wewnętrznej. W chwili gdy to piszę, do tarapatów naszego lisa w opałach niespodziewanie doszedł jeszcze „incydent belgijski”: jakaś Iranka złożyła na niego w sądzie w Belgii formalną skargę o prześladowanie i tortury konkretnych osób (zapewne jej rodziny). Eks-prezydent Iranu znalazł się zatem nieoczekiwanie w sytuacji podobnej do te, co gen. Pinochet. Nie sądzę wprawdzie, by ekscelencja Rafsandżani planował w najbliższym czasie podróż do Europy (gdzie winien zostać aresztowany, tak jak generał P. w Anglii) – ale swąd powstał, a oficjalne protesty irańskie pod adresem rządu belgijskiego podkreślają tylko fakt, że nie wszędzie na świecie władza sądownicza jest podporządkowana takiemu czy innemu Przewodnikowi. Nie ujdzie to też zapewne uwadze Irańczyków, mimo że telewizja satelitarna jest w ich kraju oficjalnie zakazana – lokalna prasa na razie wystarczy.

Jak rozwiną się dalej wypadki w tym ogromnym (ponad 1,6 mln. km<sup>2</sup>) kraju o równie ogromnym znaczeniu strategicznym (wystarczy popatrzeć na mapę) – nikt nie potrafi przewidzieć. Jeśli rzeczy potoczą się mniej więcej normalnie, to nowy parlament powinien umożliwić Chatamiemu jego ostrożną pierestrojkę na większą skalę niż dotychczas. Na razie jednak „departamenty siłowe” są wciąż jeszcze w rękach konserwatystów, a podtrzymująca je „struktura prawna” została zapisana w Islamistycznej Konstytucji, której parlament nie jest władny zmienić (konstytucję przyjęto w referendum powszechnym wkrótce po rewolucji). W utrzymaniu *status quo* zainteresowana jest nie tylko klasa „średnich mułłów”, której nigdy nie wiodło się lepiej niż teraz, ale także chmary niewykształconych „ludzi bez przydziału”, którzy obecnie wiernie służą w rozlicznych paramilitarnych i parapolitycznych organizacjach – nie bez profitu i satysfakcji



„bycia kimś”. „Przebudowa” tej struktury nie będzie łatwa.

21 marca zaczyna się perski Nowy Rok (1379 wg słonecznego kalendarza) więc wypada życzyć Irańczykom – i reszcie świata – by obecna odwilż w ich kraju rzeczywiście zamieniła się wreszcie w jakąś wiosnę. Ale bez burzy i powodzi.

6 marca 2000

M. BRONSKI

## Na marginesie uznania Czeczenii przez Talibanów

Przywódcą czeczeńskich rebeliantów, były prezydent Zelimkhan Jandarabajew podróżuje ostatnio po krajach Azji Centralnej, usiłując przekonać ich rządy do oficjalnego uznania Czeczenii za niepodległe państwo. Z Afganistanu, gdzie bez trudu uznali Czeczenię Talibanowie, udał się do Pakistanu pertraktować w tej sprawie z obecnym rządem wojskowym generała Perweza Muszarrafa. Normalnie swarliwe pakistańskie ugrupowania religijne i prawicowe, tym razem podjęły wspólny wysiłek *lobbying*'u na rzecz Czeczeńców. Oficjalne stanowisko Islamabadu jest jednak takie, że rząd nie ma zamiaru wdawać się w podobne negocjacje z Czeczeńcami, a nawet że nie miały miejsca żadne oficjalne kontakty z Jandarabajewem. Z drugiej strony, w Karachi odbyła się nader oficjalna uroczystość na cześć Jandarabajewa z udziałem wysoko postawionych przedstawicieli zarówno Ludowej Partii Pakistanu – partii Benazir Bhutto, jak i Muzułmańskiej Ligi Pakistanu Nawaza Sharifa oraz wielu innych ugrupowań. Religijne (czyli islamskie) partie pakistańskie podpisały następnie rezolucję nawołującą rząd do uznania Czeczenii za niepodległe państwo muzułmańskie.

Nasuwa się w tym momencie pozornie nieskomplikowane pytanie: dlaczego Czeczeńcy tak gorliwie zabiegają o poparcie Afganistanu i Pakistanu, krajów wprawdzie sąsiedzkich, ale przecież nie słynących z tradycji demokratycznych? Czy jest to kwestia wyłącznie wspólnoty religijnych przekonań? Otóż nie, chociaż religia odgrywa tutaj znaczącą rolę. Chodzi jednak o coś więcej, o coś innego, na pierwszy rzut oka raczej mało zbieżnego z religijnymi przepisami islamu. Chodzi mianowicie o to, że w roku 1999 z Afganistanu przemyciono 4 tysiące ton opium, surowca, z którego produkuje się heroinę. Stanowiło to 80% całorocznej dostawy na rynki europejskie. Nielegalny handel opium przynosi Talibanom ogromne zyski. Z zysków tych finansują oni nie tylko wewnętrzną wojnę przeciwko afgańskiej opozycji, ale i działalność radykalnych islamskich ugrupowań terrorystycznych w Kaszmirze, w Chinach i innych regionach Azji. Istnieją dość uzasadnione podejrzenia, iż w Pakistanie partie Bhutto i Sharifa również korzystały z pieniędzy generowanych przez przemysł narkotyków. Obecny reżim w Islamabadzie obiecuje zmianę kierunków polityki zagranicznej i przejście z pozycji poparcia dla Talibanów na stronę dialogu z Iranem, do czego jednak potrzebne jest Pakistanowi wsparcie Zachodu. Talibanowie są bowiem mocno antyirańscy (Iran to szyici, Talibanowie zaś to radykalny odłam sunni o zerowej tolerancji wobec innych odłamów islamu, innych grup etnicznych, w ogóle wszystkiego, co inne; od dłuższego już czasu na granicy Iranu z Afganistanem praktycznie toczy się wojna). Koalicja Pakistanu z Iranem mogłaby zatem stanowić przeciwwagę dla poczynań Talibanów.

Trasa przemytu opium biegnie przez wiele krajów. Czeczenia jest tylko niewielką częścią całości, a we wstąpieniu do wspólnoty azjatyckich państw muzułmańskich z pewnością widzi nie tylko inspirację duchową. Chociaż kto wie, czy dosłowne wcielanie w życie zaleceń Koranu przez Talibanów nie kusi prostotą rozwiązań i niektórych islamistów czeczeńskich? Jednak główną rolę w obecnych poczynaniach politycznych odgrywa zapewne czynnik finansowy. Wchodząc w układy z Talibanami Czeczenia bez wątpienia stanie się jeszcze jednym wygodnym, a przy tym stosunkowo bezpiecznym przystankiem dla utrudzonych kierowców, których



monstrualne ciężarówki wyładowane są makówkami. Za to czekałoby ją godziwe wynagrodzenie w postaci udziału w zyskach.

Napisałam powyżej, że narkotyki nie stoją w zgodzie z zaleceniami islamu. Faktycznie, muzułmanie afgańscy mają słabość do haszyszu, więc handel i palenie haszyszu są surowo przez Talibanów wzbronione. Heroinę jednak wstrzykują sobie nie muzułmanie, a młodzi Europejczycy. Dlatego handel opium jest nie tylko tolerowany przez Talibanów, ale wręcz przez nich popierany, jako jeden ze środków w świętej wojnie przeciwko niewiernym. Przy tym makowy plon przyniesie zysk większy niż pszenica. W konsekwencji opium bardziej opłaca się uprawiać niż zboże. Rolnictwo w Afganistanie jest więc w stanie kompletnej zapaści. (Swoją drogą, nieprawdą jest, jakoby w samym Afganistanie czy Pakistanie nie było rodzimych narkomanów, trujących się heroiną. Owszem, są ich już tysiące, a problem, choć nie uznany oficjalnie za problem, ciągle rośnie.)

Pakistan, którego nowy rząd wiele obiecuje zmian, do tej pory nie był nawet w stanie kontrolować obszaru swoich północno-zachodnich granic z Afganistanem, przez które przejeżdżały wte i we wte TIR-y z bronią i innymi atrakcyjnymi towarami nieobłożonymi cłem. Tereny te, dodajmy, to terytorium wojowniczych plemion Patanów, rządzących się własnymi prawami, jakie z Islamabadem nie mają nic wspólnego. Patanowie popierali zawsze działalność mudżahedinów, którzy walczyli z okupacją sowiecką. Mudżahedinów popierał też cały Zachód, a na przykład w Polsce, dzięki nielegalnym pokazom na video filmu „Rambo” uromantyczniono ich legendę do wymiaru fantazji. Mudżahedini stracili jednak na malowniczości, kiedy z Afganistanu wycofały się wojska sowieckie. Zachód umył ręce (choć nadal sprzedawał broń na prawo i lewo!), bo zobaczył, że w Afganistanie zaczyna się krwawa wojna domowa, że nie widać jej końca, że Afganistan nie jest potencjalnym partnerem handlowym ani żadnym innym i nie warto inwestować weń czasu i pieniędzy. Afganistan został – pozornie – pozostawiony samemu sobie. Chaos, walki, totalne zniszczenie infrastruktury kraju, nieprawdopodobny los milionów kobiet i dzieci – doprowadziły w końcu do

sytuacji, gdzie potrzebne było radykalne rozwiązanie. Zostało ono zaproponowane przez ugrupowanie Talibanów, młodych, ultra-muzułmańskich sunitów, „dzieci mudżahedinów”, którzy szybko i nader brutalnie zaprowadzili fundamentalistyczne porządki w kraju, a przynajmniej w większej jego części. Finansowała ich między innymi saudyjska rodzina królewska (do czasu udzielenia przez Talibanów schronienia Osamie bin Ladenowi; teraz – za pieniądze i za sprawą bin Ladena – Arabia Saudyjska jest na liście wrogów) i inne rządy islamskie, także pakistański. Zwykli Afgańczycy w większości poparli Talibanów, bo chcieli wreszcie wrócić do normalnego życia. Normalne życie miało jednak odtąd wyglądać nader ponuro i mało normalnie: na przykład kobietom odebrano wszelkie prawa (nawet prawo wychodzenia samej z domu bez towarzystwa męża, brata lub ojca, a także prawo do wykonywania zawodu), zamknięto szkoły, ograniczono działalność szpitali i innych instytucji. W nadanym w lutym 2000 roku w *BBC World* wywiadzie z pakistańskim dziennikarzem Ahmedem Rashidem, który od 20 lat specjalizuje się w kwestiach afgańskich, mówi on, że w Afganistanie nie istnieją żadne formy rozrywki, nie ma telewizji, radia, kin, nie ma książek, zabawek dla dzieci, muzyki, śpiewu, tańca. Zastraszająco rośnie liczba samobójstw, zwłaszcza wśród kobiet.

I teraz ten rząd, który we własnym kraju wprowadził reżim godny miana spadkobiercy reżimu Pol Pota, oficjalnie uznaje Czeczenię za niepodległe państwo muzułmańskie. Co nam to mówi o niepodległym państwie Czeczenii? Niech pytanie to pozostanie retoryczne. Polska rambooidalna czkawka w myśleniu o mudżahedinach odbija się dzisiaj w stosunku do Czeczeńców. Rozumowanie według zasady „wrog mojego wroga jest moim przyjacielem” prowadzić może na bardzo mroczne manowce polityczne. Nie ulega wątpliwości, że sytuacja zwyczajnych Czeczeńców, podobnie jak sytuacja zwyczajnych Afgańczyków, jest dramatyczna, o ile nie beznadziejna. (I znowu retoryczne pytanie: ilu z nich naprawdę chce niepodległej muzułmańskiej Czeczenii albo skrajnie koranicznego Afganistanu?) Z etycznego punktu widzenia jest to humanitarna klęska. Europa, Ameryka, a z nimi oczywiście Polska, powinny podjąć zorganizowany wysiłek na rzecz uratowania tego, co jeszcze da się uratować. Tylko skoordy-



nowana akcja Zachodu, jego naciski gospodarcze i polityczne mogą coś zdziałać w celu zapoczątkowania odrębnych dialogów między wrogimi frakcjami wewnątrzpaństwowymi oraz między takimi krajami jak Pakistan, Iran, Afganistan i inne państwa tego regionu Azji. I tylko taka akcja, w połączeniu z międzynarodową działalnością humanitarną na wielką, z dnia na dzień coraz większą skalę, miałyby sens polityczny i moralny. Jednak nieostrożne wyrażanie poparcia dla „czeczeńskich mudżahedinów” może być odczytane jako poparcie dla mniej widocznych, mniej wyraźnych czy pozornie nieistotnych aspektów ich poczynań. Ilu mamy narkomanów w Polsce? Jaki procent afgańskiego opium już dociera do nas przez Czeczenię? Mogą to być naturalnie pytania zadawane na wyrost, ale skoro nabierają one sensu w Europie Zachodniej, to może warto zastanowić się nad nimi i w Polsce, bez tracenia czasu na zupełnie bezproduktywne rozważania, czy Rosja jest czy nie jest naszym wrogiem.

Kończąc w tonie mniej grobowym, pomarzę sobie przez dwa zdania. Czy nie byłoby pięknie pojechać sobie do Afganistanu z wycieczką turystyczną, zobaczyć jak tańczą afgańskie kobiety, pójść w góry szlakiem DAWNYCH mudżahedinów? Potem odwiedzić legendarne wzgórza Czeczenii, posłuchać opowieści przewodnika o MINIONYCH wojnach, spotkać uśmiechnięte dziecko, które idzie ze szkoły do domu?

Luty, 2000

Magdalena ROSTRON

## Z nordyckiej perspektywy

*Rosyjski BPS poważnym zagrożeniem dla bałtyckich terminali*

Dnia 10 lutego 2000 rząd rosyjski podjął decyzję budowy nowego rurociągu w celu transportu syberyjskiej ropy naftowej do mającego również dopiero powstać terminalu w Primorsku (dawne fińskie Koivisto). Inwestycja ma kosztować *ca* 800 milionów dolarów i być gotowa w ciągu 19 miesięcy. Rosjanie, którzy państwom bałtyckim płacą poważne sumy za tranzyt swojej ropy, od dawna nosili się z takim zamiarem, ale jego realizację uniemożliwił nędzny stan rosyjskich finansów. Jednak w związku z minioną, znaczną podwyżką cen ropy, rosyjskie kompanie naftowe mają środki na budowę nowego rurociągu, który nazwano BPS (Baltic Pipeline System). Realizacja inwestycji dałaby Rosji oszczędności rzędu 90-100 milionów USD rocznie, a więc koszt BPS zwróciłby się bardzo szybko.

Powstanie BPS byłoby poważnym zagrożeniem dla działających dziś terminali w państwach bałtyckich. Przypomnijmy, że np. litewski terminal w Butinge, należący do koncernu Mazeikiu Nafta, został przy współudziale zachodnich inwestorów zbudowany właśnie z założeniem obsługi rosyjskiego tranzytu. Największy cios ekonomiczny BPS wymierzyłby jednak Łotwie, gdyż Ventspils Nafta obsługuje dziś 12-14% całego rosyjskiego eksportu rocznego ropy naftowej i jej produktów. Łotysze planowali zresztą projekt WPS (Western Pipeline System), który miał być przeznaczony dla tranzytu z Rosji, a omijać terytorium „niepewnej Litwy”.

Chwilowo Łotysze robią dobrą minę do złej gry. Janis Blazevics, dyrektor wspomnianego projektu WPS, powiedział szwedzkiemu dziennikowi biznesu, że „terminal Ventspils pracuje pełną parą, rosyjskiego BPS jeszcze nie ma, a jak będzie, to zaczniemy się martwić” (*DI*, 12 II 00).



*Szwedzka STC uczy Polaków eksportu*

Swedish Trade Council rozpoczęła w połowie grudnia 1999 kształcenie polskich przedsiębiorców na specjalnym, 6-miesięcznym kursie o nazwie Marketplace Baltic Region. W pierwszym rzucie STC przeznacza na ten cel sumę 2 milionów SEK. Szkolenie odbywa się w języku angielskim. Uczestnikiem obecnego i przyszłych kursów może być każdy Polak z wyższym wykształceniem, reprezentujący firmę nastawioną na eksport do Szwecji. Odpowiedzialny za projekt Hasse Karlsson z STC twierdzi, że głównym celem kursu jest nauczyć Polaków szukania klientów w Szwecji. Z drugiej strony szwedzkie firmy też chcą mieć często kontrahentów znających szwedzkie warunki. Kurs – oprócz metod badania obcego rynku, opracowywania strategii rynkowych i szwedzkich przepisów prawnych – ma się koncentrować na różnicach kulturowych między Polską i Szwecją oraz ich znaczeniu w biznesie. Absolwenci kursów będą mieli dostęp do bazy danych STC (ze specyfikacją ponad 400 szwedzkich firm – importerów i hurtowni) oraz możliwością uczestniczenia na Internecie w seminariach organizowanych przez organizacje branżowe i wyższe szkoły handlowe. Uczestnicy kursu byli już w Brukseli, gdzie spotkali się ze szwedzkimi specjalistami marketingu na terenie Unii. Zakończeniem ich wykształcenia będzie natomiast spotkanie w Sztokholmie z potencjalnymi szwedzkimi importerami.

Inicjatywę STC należy uznać za bardzo cenną. W końcu ubiegłego roku deficyt obrotów bieżących wyniósł aż 7,6% polskiego PKB. Ten niebezpieczny dla Polski, a nadal rosnący deficyt wynika z nadmiernej przewagi importu nad eksportem. Ograniczenia importu nie należy się spodziewać. Nigdy nie jest to środek najlepszy ekonomicznie, a w obecnej sytuacji byłby dla rządzącej koalicji wręcz samobójczy politycznie – już teraz rząd premiera Buzka jest oceniany negatywnie przez 68% Polaków, a wprowadzenie barier finansowych czy innych hamulców importu powiększyłoby ową liczbę o tę część elektoratu Unii Wolności, którą tworzą konsumenci importowanych towarów luksusowych. Pozostaje więc tylko zwiększenie eksportu, a z tym jest w Polsce bardzo źle.

Właśnie w Polsce, bo przecież np. eksport węgierski wzrósł w ubiegłym roku o 15%. Dlaczego Polacy nie potrafią sprzedać nawet tych swoich produktów, które są niezłej jakości? Specjaliści marketingu twierdzą, że m.in. dlatego, iż Polacy przy promocji swych towarów zupełnie lekceważą różnice kulturowe. Na Zachodzie każdy najprostszy handlowiec wie, że inaczej sprzedaje się jakiś towar we Francji, inaczej – w Wielkiej Brytanii, a jeszcze inaczej – w Szwecji czy Norwegii. Polacy aksjomatu tego nie chcą przyjąć do wiadomości, kierując się wypływającą prawdopodobnie z kompleksów tezą, iż „przecież wszyscy jesteśmy Europejczykami”. Bardzo więc dobrze się stało, że STC chociaż Polakom-uczestnikom kursu pokaże rolę różnic kulturowych w biznesie i uświadomi im, że nie ma Europejczyka-konsumenta, konsumentem jest zawsze przedstawiciel określonej kultury, którą trzeba znać.

#### *Jak kształcić fachowców IT?*

Królewska Wyższa Szkoła Techniczna (KTH) oraz Uniwersytet Sztokholmski uruchomiły jesienią 1999 pierwszy w Norden, uniwersytet IT. Zlokalizowany jest on w sztokholmskiej dzielnicy Kista, będącej siedzibą wielu szwedzkich oraz zagranicznych firm informatycznych. Powstanie specjalnego, obliczonego na kilka tysięcy studentów, Uniwersytetu IT uznano za absolutną konieczność. W końcu lutego 2000 było w Szwecji 280 tysięcy bezrobotnych i ponad 400 tysięcy wolnych miejsc pracy, większość z nich to albo nędznie płatne prace, których nikt nie chce wykonywać (sprzątacze, pomocnicy kuchenni, szpitalne salowe etc.), albo etaty IT. W branży IT brak pracowników doprowadził do masowego zjawiska „podkupywania” sobie kadry i do szokujących „kominów płacowych”. Niczym niezwykłym nie jest, gdy młody informatyk oświadcza, że albo z dnia na dzień dostanie 10 tysięcy SEK podwyżki, albo od jutra przechodzi do konkurencji. Nie tylko w USA, ale także w krajach nordyckich obserwuje się przechodzenie do sektora IT, zwłaszcza do informatycznych firm internetowych, pracowników innych branż, chociażby wybitnych dziennikarzy czy inżynierów innych specjalności, pośpiesznie przekwalifikowywanych na wewnętrz-



nych kursach. Gdy w innych zawodach szwedzkie podwyżki płac są od lat tradycyjnie skromne (3-5%), zarobki w branży IT skaczą w górę o 20-25%, a brak pracowników tego sektora zaczyna zagrażać wszelkim perspektywom wzrostu gospodarczego.

Jeszcze stosunkowo niedawno istniały w Szwecji tylko dwie wyższe uczelnie techniczne, obie o wysokiej renomie międzynarodowej: wspomniana powyżej królewska politechnika KTH w Sztokholmie oraz założona już w roku 1829 CHT czyli sławna Chalmers w Göteborg. Jak wszystkie szacowane instytucje z tradycjami były to szkoły dość konserwatywne i obdarzone dużą inercją. Wprawdzie w początku lat 80-tych na obu uczelniach uruchomiono inżynierskie studia technik komputerowych, ale na tym się skończyło. Obie uczelnie jak gdyby przegapiły eksplozywny rozwój zupełnie nowej branży IT\*, powstałej z połączenia się telekomunikacji, technik komputerowych i części sektora mediów. Wkrótce okazało się, że więcej dobrze przygotowanych fachowców IT kształcą nowe szkoły wyższe w Linköping czy Umeå, a nawet same firmy informatyczne na przeróżnych kursach wewnętrznych. Ponieważ w stosunku do potrzeb była to ciągle kropla w morzu, sztokholmski uniwersytet i politechnika KTH stworzyły właśnie specjalny Uniwersytet IT w Kista. Współpracuje on ściśle z amerykańskim Stanford University. Przy tworzeniu nowej uczelni natychmiast nasunęły się dwa, powiązane zresztą ze sobą, pytania: 1) Jak długie mają być studia? 2) Jak obszerna ma być ich część czysto teoretyczna (dotyczy to zwłaszcza zakresu wykładanej matematyki i logiki matematycznej)? Tradycjoniści argumentowali nie bez racji, iż program matematyczny powinien być maksymalnie szeroki, gdyż matematyka jest po prostu najlepszym instrumentem trenowania abstrakcyjnego myślenia. Ich przeciwnicy twierdzili, że skoro studia mają także przyciągnąć młodych specjalistów medialnych i informacyjnych, a więc ludzi, którzy na sam dźwięk słowa „matematyka” dostają dreszczy, pro-

\* Unia Europejska lansuje bardziej logiczną nazwę ICT (Information and communication technology), ale wątpliwe, czy z potocznego języka potrafi ona wyprzeć termin IT, funkcjonujący już od paru lat.

gram czysto teoretyczny nie powinien ich odstraszać. Osiągnięcie kompromisu było zdrowym uznaniem faktu, iż dzisiaj studia wyższe nawet w ramach jednej specjalności muszą być różne, uwzględniające różne intelektualne predyspozycje studentów i różne potrzeby gospodarki. Na Uniwersytecie IT istnieją więc w tej chwili studia 2, 3 i 4-letnie – na wszystkich z nich zresztą studenci uczą się mniej matematyki (ale więcej logiki matematycznej i teorii komunikacji) niż na tradycyjnej politechnice. Ponadto z jesienią 2000, z kolejnym rokiem akademickim, zostanie uruchomiony nowy, 4,5-letni (9 semestrów) kierunek inżynierii technik komunikacyjnych. Będzie to kierunek wysoce teoretyczny, na którym termin „komunikacja” rozumiany będzie bardzo szeroko: od komunikacji społecznej na sieciach typu Internetu do komunikacji między komputerami, z poziomem obwodów mikroelektronicznych włącznie. Wszyscy przyjęci na ten kierunek studenci (150 osób na pierwszy semestr) wyposażeni będą przez uczelnię w przenośny PC, umożliwiający komunikację bezprzewodową (dookoła uczelni zainstalowano już przekaźniki nadawczo-odbiorcze). Umożliwi to studentom prace nie tylko w uczelnianych halach komputerów czy przed własnym PC w domu, ale nawet w uczelnianej kafejce czy na ławce w parku. Ten 4,5-letni kierunek przeznaczony jest z założenia dla studentów wybitnie uzdolnionych, dla „fanatyków IT”, a duża część programu oparta będzie o tzw. nauczanie na dystans. Problemem jest oczywiście, czy wybitnie uzdolnieni „fanatycy” zechcą korzystać z kursów Uniwersytetu w Kista. Jeden z wykładowców tej nowej uczelni, Carl Gustaf Jansson, przyznał, że studenci często stawiają następujące pytanie: „Dlaczego wybrać kurs w Kista, skoro Stanford oferuje świetny kurs tego samego przedmiotu prowadzony przez laureata Nagrody Nobla?” (*One Magazine Microsoft*, nr 1/2000). Mniej skomputeryzowanym czytelnikom należy tu wyjaśnić, że „nauczanie na dystans” jest już rzeczywistością, a współczesna technika pozwala np. studentowi przebywać w Sztokholmie i równocześnie studiować np. kurs ekonomii przemysłowej w USA oraz zadawać pytania nauczycielowi-laureatowi Nobla w czasie realnym.

Trzeba tu uwzględnić fakt bezdyskusyjny. W Europie Szwecja jest wprawdzie w branży IT krajem absolutnie do-



minującym, przyznają to nie tylko amerykańscy eksperci czy międzynarodowe rankingi, ale najlepiej świadczy o tym wydarzenie następujące: w ostatnim konkursie Unii Europejskiej dla przedsiębiorstw IT (w którym brały udział firmy całej „piętnastki”, a ponadto Norwegii, Szwajcarii, Izraela, Cypru i Europy Wschodniej) wszystkie trzy nagrody zgarnęli Szwedzi. Jednak prawdopodobnie nigdy tej samej wartości prestiżowej nie będzie miało zaliczenie jakiegoś przedmiotu na uczelni szwedzkiej, choćby i najlepszej, co zaliczenie go w MIT czy na Stanford University. Czy więc tzw. *distance teaching* musi w zakresie przedmiotów teoretycznych zabrać większości uczelni najzdolniejszych studentów? Wspomniany powyżej Carl Gustaf Jansson ma nadzieję, że nie, gdyż „fanatycy” nie są snobami i prestiżowy status uczelni ma dla nich mniejszą wartość niż intelektualna atrakcyjność oferowanych przez nią kursów. Jeżeli to właśnie Uniwersytet IT w Kista będzie oferował kursy atrakcyjniejsze i bardziej stymulujące, „fanatycy” będą tam je zaliczać. Osobnym problemem jest wczesne wyłowienie jednostek wybitnie uzdolnionych i namówienie ich na poświęcenie się właśnie technikom komunikacyjnym, w przeciwnym wypadku wybitnie zdolni mogą – jak to C.G. Jansson określił – „zostać docentami fonetyki starofrancuskiej”.

Reasumując, trzeba skonstatować, że studia dla fachowców IT muszą być atrakcyjne intelektualnie i różnorodne, bo bardzo różnorodne jest zapotrzebowanie firm: i na ludzi po studiach 4-semestralnych i po 8- czy 9-semestralnych, i na wąskich specjalistów, i na fachowców z maksymalnie szeroką podbudową teoretyczną.

Pozostaje jeszcze pytanie, czy w opracowywanym także narodowym programie IT należy się koncentrować na jednostkach szczególnie uzdolnionych, czy też na maksymalnie dużych grupach młodzieży. W tej kwestii panuje w Szwecji jednomyślność. Pierwszy wariant możliwy jest tylko w USA. Ponieważ procent osób wybitnych jest mniej więcej jednaki w każdym społeczeństwie, musi ich więcej występować w 250-milionowym narodzie amerykańskim niż w Szwecji, Holandii, a nawet w Niemczech. Amerykanie mogą więc koncentrować się na własnych jednostkach wybitnych, a całą niezbędną resztę załatwiać sobie przy pomocy „drenażu

mózgów”. Już dziś jedna trzecia dyrektorów firm w Silicon Valley pochodzi z Azji, głównie z Indii i Chin, a dla potrzeb tychże firm importują USA 130 tysięcy informatycznych techników i inżynierów rocznie. Jest to rozwiązanie tańsze niż postawienie na lepszym poziomie szkolnictwa kraju, w którym na 4 tysiące uniwersytetów i szkół wyższych tylko około setki jest na najwyższym światowym poziomie, a pozostałe 95% – na poziomie załosnym, często odpowiadającym europejskiemu gimnazjum. Ponieważ jednak żaden kraj europejski nie może – z różnych zresztą względów – importować kadry w amerykańskiej skali, Europie pozostaje więc tylko dobre kształcenie maksymalnie dużych grup, także z wykorzystaniem tzw. edukacji na dystans. Dlatego właśnie chce sfinansować rząd szwedzki kolosalną inwestycję „autostrad internetowych”, w wyniku której każde gospodarstwo domowe kraju będzie do roku 2005 miało dostęp do połączeń o szybkości od 5 Mbit/s wzwyż.

### *Estoński most*

W latach 2000-2003 zainwestuje państwo estońskie sumę 2 miliardów koron (EEK), czyli *ca* 130 milionów dolarów, w rozbudowę czterech portów swojej stolicy. Państwowa spółka AS Tallinna Sadam obejmuje cztery porty: Muuga, Port Starego Miasta, Paljassaare i Paldiski.

Położona o 17 km od Tallinna Muuga jest największym portem towarowym wschodniego Bałtyku, znacznie większym niż port w Helsinkach. Aż 75% frachtu przechodzącego przez Muuga stanowi intratny tranzyt. W roku 1999 przeładowano w Muuga 26 milionów ton towarów. Natomiast na ruch pasażerski nastawiony jest Port Starego Miasta – przez jego cztery nowoczesne terminale przeszło w roku ubiegłym aż 6 milionów pasażerów (*sic!*). Warto tu przypomnieć, że żadne inne miasto nad Bałtykiem nie przyciąga takiej ilości turystów jak stolica Estonii.

W roku bieżącym spółka Porty Tallińskie zainwestuje 608 milionów EEK, z czego połowę otrzyma Muuga: na nowy terminal kontenerowy (114 milionów EEK), nowy terminal naftowy i na nowe, portowe linie kolejowe. Około



110 milionów EEK będzie w tym roku zainwestowanych w Paldiski, który jest portem towarowym i pasażerskim. Dość ostrożnie ocenia się, że realizacja wszystkich inwestycji podniesie zyski netto Portów Tallińskich z obecnych 280 milionów EEK do pół miliarda w roku 2004.

Po odzyskaniu niepodległości stała się Estonia krajem wyjątkowo otwartym na napływ obcego kapitału w postaci inwestycji bezpośrednich. Estończycy sprzedali dużą część pewnych sektorów gospodarki (bankowość, telekomunikacja *etc.*), gdyż po prostu brakowało im kapitałów i technologii. Jednak do innych sektorów kapitału obcego nie dopuszczają i np. swoje porty będą rozbudowywać sami. Marketing manager spółki Porty Tallińskie, Erik Sakkow podkreśla, że w zaplanowanej do zainwestowania sumie 2 miliardów EEK nie będzie ani jednego dolara zagranicznego kapitału: „Wszystko sfinansujemy sami i bez podnoszenia cen naszych usług”. Estonia jest bardzo zaawansowana w rokowaniach członkowskich z Brukselą i liczy na to, że wkrótce będzie mogła pełnić rolę mostu między Unią i Wschodem. Różne kraje dawnego obozu komunistycznego przymierzały się do pełnienia tej roli, ale Erik Sakkow jest przekonany, iż nie jest to możliwe bez handlu: „Dlatego mostem tym będziemy my”.

Stefan ABNER

## Wywiady „Kultury”

### Polska jest granicą Wschodu

Mieczysław Pruszyński urodził się w 1910 roku. Z wykształcenia jest prawnikiem i ekonomistą. W 1939 roku zrobił doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował w handlu zagranicznym. Będąc na emeryturze zarządzał funduszami powierniczymi w Szwajcarii. Zajmuje się publicystyką. Przed wojną współpracował z *Buntem Młodych* i *Polityką* Jerzego Giedroycia. W czasie II wojny światowej brał udział w bitwach pod Kockiem, Narvikiem, Tobrukiem. O swoich wojennych losach pisał w książkach „W Narwiku, Tobruku i Moskicie” (Warszawa 1957) oraz „W Moskicie nad Trzecią Rzeszą” (Warszawa 1984). Tytuł pierwszej książki mógłby sugerować, że i jakiś Moskit istnieje na mapie. Tymczasem jest to nazwa typu samolotu bojowego, którym latał autor. Książki są barwnym pamiętnikiem, w drugiej została zamieszczona między innymi relacja ze spotkania z generałem Andersem.

Jego książka „Tamci” (Warszawa 1992) – zbiór wywiadów z politykami II Rzeczypospolitej, nie tylko zyskała ogromny rozgłos, ale i jest niezwykle interesującym dokumentem historycznym. Równie głośna była też kolejna książka M. Pruszyńskiego „Dramat Piłsudskiego – wojna 1920” (Warszawa 1994, 1995, 1999 – ze wstępem J. Giedroycia). Piłsudskim interesował się od zawsze, już mając szesnaście lat opublikował w gazetce szkolnej artykuł o jego „wyprawie kijowskiej”. Książka o roku 1920 nie była ostatnią pozycją M. Pruszyńskiego o Marszałku. W 1997 roku ukazała się „Tajemnica Piłsudskiego”. Historyk wyjawia tu, że tajemnicą Piłsudskiego było jego przekonanie, że wojna z Niemcami oznaczałaby koniec istnienia Polski. Przed trzema laty w wywiadzie dla *Życia Warszawy* Mieczysław Pruszyński powiedział: „Dzisiaj nic się nie zmieniło. Polski z jej potencjałem nie stać w tym punkcie świata na neutralność. Żeby wstąpić do Unii Europejskiej i NATO, trzeba współpracować z Niemcami. To jest nadal aktualne.”



W ostatnich latach ukazała się jeszcze jedna książka M. Pruszyńskiego „Mojżesz i Ksawery”, z bardzo interesującymi wątkami z życia Ksawerego Pruszyńskiego, brata.

Obecnie najwięcej jednak emocji budzi założona przez niego Fundacja Kulturalna Pruszyńskich i właśnie o niej, ale i o sytuacji politycznej Europy, rozmawiałem z Mieczysławem Pruszyńskim w jego mieszkaniu na warszawskiej Ochocie.

REMIGIUSZ GRZELA: – *Fundacja Pruszyńskich, o której ostatnio coraz głośniejsze, przeznaczyła w 1999 roku blisko 200 tysięcy dolarów na stypendia dla studentów zza naszych wschodnich granic. Na razie jednak zwrócił się Pan z taką propozycją do władz ukraińskich. Czy studenci z innych krajów też będą mieli jakąś szansę?*

MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI: – W statucie Fundacji zapisaliśmy, że naszym głównym celem jest wspieranie działalności kulturalnej, historycznej i edukacyjnej na ziemiach wchodzących w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów przed rokiem 1772, a więc nasz program może objąć studentów z Ukrainy prawobrzeżnej, Białorusi, Litwy i Łotwy. Sześćdziesiąt lat temu robiłem wywiad dla *Buntu Młodych* z premierem Władysławem Grabskim, który m.in. powiedział, że najważniejsza dla przyszłości Polski jest sprawa oświaty. Pozostaje nią do dziś. Stąd nasze kryteria.

R.G.: – *Pana zdaniem oświata jest dzisiaj niewystarczająca?*

M.P.: – Proszę pana, na tak zwanych ziemiach odzyskanych pola leżą odłogiem, ludzie zatrudnieni kiedyś w PGR-ach nie mają pracy, piją wódkę. Komunizm zabił chęć do pracy. Zmarnowaliśmy całe pokolenie. Teraz trzeba to ratować.

R.G.: – *A dlaczego Fundacja zwróciła się na razie tylko do władz Ukrainy?*

M.P.: – Dlatego, że należy działać stopniowo. Jestem praktycznie sam. Nie mam sztabu, jak na przykład Fundacja Ba-

tego z 250-osobowym zespołem. W maju ubiegłego roku zwróciliśmy się z propozycją przyznania stypendiów do władz Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i do Uniwersytetu w Kijowie. Współpraca z Uniwersytetem Jagiellońskim zaowocowała, pomimo zwykłych trudności biurokratycznych. W efekcie 28 lutego pierwszych 67 studentów UJ dostało pieniądze. A Uniwersytet w Kijowie nie ustosunkował się w ogóle do naszej propozycji.

R.G.: – *A jak władze Ukrainy zareagowały na Pana propozycję?*

M.P.: – W zasadzie bardzo życzliwie i pozytywnie. Ale na razie nic z tego nie wynikło. Sam zaprojektowałem etapy przyznawania stypendiów. Najpierw miałyby to być 50 dziesięciomiesięcznych stypendiów w roku. Oczywiście na studia w Polsce. Później moglibyśmy również przyznawać stypendia trzymiesięczne; już nie dla kilkudziesięciu, ale dla kilkuset studentów z Ukrainy. To dałoby im możliwość zapoznania się z kulturą, gospodarką i historią Polski.

R.G.: – *Jak Pan myśli, dlaczego Ukraińcy do tej pory nie podjęli decyzji?*

M.P.: – Naszą propozycję władze przyjęły na Ukrainie życzliwie. Ambasador Ukrainy w Polsce zasugerował skierowanie listu do ówczesnego ministra oświaty Ukrainy, Zajczuka. Bardzo ten pomysł spodobał się panu ministrowi. Wobec tego za radą Ambasady Ukrainy pismo tej samej treści z konkretnymi wnioskami skierowałem do ministrów edukacji Ukrainy i Polski. Władze ukraińskie miałyby wprowadzić ten pomysł w życie. Władze ukraińskie miałyby wytypować kandydatów, a polskie przydzielić miejsca na wyższych uczelniach (zgodnie z postulatami strony ukraińskiej). Władze polskie powinny też zapewnić mieszkania w domach akademickich, z tym że stypendia pokrywałyby te koszty. Fundacja mogłaby dawać stypendystom po 350 dolarów miesięcznie plus opłacić koszty dojazdu do Polski i powrotu na Ukrainę. Obliczyliśmy, że ogólny koszt wyniesie rocznie około 185 tysięcy dolarów. Minister Zajczuk zaprosił mnie do Kijowa, jednak



ze względu na stan zdrowia nie mogłem tam pojechać. Tymczasem nastąpiła zmiana rządu i sprawa stanęła. Przed dwoma tygodniami odwiedził mnie Ambasador Ukrainy w towarzystwie wiceministra oświaty Ukrainy. Mam nadzieję, że nasze rozmowy zaowocują. Ucieszyłem się bardzo, bo pan Ambasador, który zresztą jest znanym pisarzem (Dmytro Pawłyczko), bardzo pozytywnie ocenił moją książkę o 1920 roku, wydaną również w Kijowie. Wyjaśniam w niej po co Piłsudski zorganizował wyprawę na Kijów. Wynika z niej jasno, że myślał o stworzeniu sprzymierzonej z Polską niepodległej Ukrainy. Stąd tytuł książki „Rok 1920 zwycięstwo czy klęska?”. Piłsudski uznał je za polityczną klęskę ponieważ uważał, że istnienie wolnej Ukrainy jest niezbędne dla istnienia Polski. A tego celu nie osiągnął.

R.G.: – *Z Ukrainą łączy Pana więcej. Stypendia są jeszcze jednym ukłonem w tamtą stronę. Jeśli się nie mylę, z Ukrainą łączą Pana związki rodzinne...*

M.P.: – To prawda. Rodzina Pruszyńskich przez trzy stulecia rezydowała na Ukrainie i, nie ukrywam, odegrała pewną rolę w jej rozwoju. W XVIII wieku kasztelan Stanisław Pruszyński ufundował kościół katedralny w Żytomierzu, istniejący do dziś. Mieczysław Pruszyński, ojciec mego ojca, marszałek szlachty, przed 1863 rokiem był kuratorem szkół ówczesnej guberni wołyńskiej. Nic dziwnego, że i ja mam sentyment do Ukrainy choć opuściłem ją w 1919 roku z torbami na plecach, z moją matką i bratem.

R.G.: – *Mówił Pan o problemach w doprowadzeniu rozmów do końca. Kiedy można będzie wprowadzić ten program w życie?*

M.P.: – To dla wielu kłopot i dodatkowa praca. Urzędnicy tego nie lubią. Ktoś powiedział mi, że na najwyższym szczeblu nie uda się tego załatwić. Trzeba rozmawiać bezpośrednio z uczelniami. Niedawno *Gazeta Wyborcza* zamieściła notatkę o naszych kłopotach. Po niej zadzwonił do mnie dyrektor Wyższej Szkoły Handlowej w Rzeszowie. Zaproponował przyjęcie 50 studentów ukraińskich. To chyba nie jest dobra

koncepcja. Nie chcę zakładać jakiegoś getta. Wolałbym żeby studiowali na różnych uczelniach.

R.G.: – *Czy działalność Fundacji może wpłynąć na kształtowanie się stosunków polsko-ukraińskich?*

M.P.: – Myślę, że może je polepszyć. Jeśli kilkudziesięciu, czy nawet kilkuset ukraińskich studentów co roku skończy polskie uczelnie, pozna naszą mentalność – to już bardzo wiele. Stąd już krok do zrozumienia. Dzisiaj nie można powiedzieć, żeby Polacy kochali Ukraińców. Trzeba to przezwyciężyć. Stypendia nie zmieniają sytuacji, ale to cegiełka, jakiś wysiłek. Trzeba nadrabiać kilkusetletnie błędy obu narodów i naszej historii. My popełnialiśmy błędy, a Rosja na tym korzystała.

R.G.: – *W jaki sposób można polepszyć wzajemne stosunki?*

M.P.: – Poprzez zbliżenie kulturalne i gospodarcze. Wciąż robi się w tym kierunku za mało. Dziś nasze stosunki polegają na jeźdzeniu z tobołkami przez granicę. A trzeba by rozwijać międzypaństwowe stosunki gospodarcze. Ta droga jest najwłaściwsza.

R.G.: – *A czy największą barierą nie jest stereotypowe myślenie po obu stronach?*

M.P.: – Na pewno. Często spotykam się z pytaniem: czemu chce pan fundować stypendia Ukraińcom?! Czyli wielu Polaków nie rozumie dlaczego Polska powinna współpracować z Ukrainą.

R.G.: – *Działalność Pana Fundacji jest krokiem na Wschód. Czy nasze członkostwo w strukturach europejskich nie pogorszy naszych stosunków ze Wschodem?*

M.P.: – Wprost przeciwnie. Mam wrażenie, że może je polepszyć. Przecież NATO nie chce wojny. Celem NATO jest obrona. Oczywiście w Stanach Zjednoczonych istniała wielka



opozycja przeciwko dopuszczeniu Polski do NATO. A wynikała ona ze strachu. Przeciętny Amerykanin bał się, że Stany Zjednoczone zostaną wciągnięte w wojnę. Po interwencji NATO w Jugosławii, mówiłem, że nie miała sensu. Na Bałkanach od tysiąca lat przelewa się krew. A pani Albright myślała, że uspokoi Bałkany. Znając ich historię wiedziałem, że to się nie uda. To był wielki błąd NATO, bo zniechęcił wielu Amerykanów do uczestnictwa w NATO.

R.G.: – *Gdzie Pana zdaniem zaczyna się Wschód?*

M.P.: – Granica biegnie przez Polskę. Tu zaczyna się Wschód. Ale my wciąż chcemy być zachodni. Tylko czy to się uda?

R.G.: – *Z którym ze wschodnich sąsiadów mamy najgorsze relacje?*

M.P.: – Z Białorusią. Jest między nami bariera kulturalna, gospodarcza. Ponadto politycy białoruscy są zanadto prorosyjscy, a za mało polscy.

R.G.: – *Jakie znaczenie dla Polski ma utworzenie Związku Białorusi i Rosji?*

M.P.: – To prosta zasada matematyczna, że idealnym dla kraju jest mieć kilkunastu słabych sąsiadów, zamiast jednego lub dwóch mocnych. Spójrzmy na historię: na rękę nam był rozpad Niemiec, ale kiedy powstało Cesarstwo Niemieckie, zrodziły się niebezpieczeństwa. Wielką mądrością Piłsudskiego była świadomość, że słabością Rosji było kilkadziesiąt wchodzących w jej skład narodów. Wiedział, że uwalniając je, można doprowadzić do likwidacji imperium.

R.G.: – *Czy jest Pan zwolennikiem Europy bez granic?*

M.P.: – Ma to i swoje dobre i złe strony. Wzrośnie bandytyzm – to na pewno, ale i wzrośnie współpraca gospodarcza, zacieśnią się kontakty.

R.G.: – *A jest to w ogóle możliwe?*

M.P.: – Sądzę, że na razie nie. Na przykład Anglia bardzo się boi Europy bez granic. To, że dostanie Pan wizę, nie znaczy, że Pana wpuszczą. Mówił Pan o stereotypowym myśleniu. Obraz Polaka w Niemczech bardzo się pogorszył. W Europie podejrzliwie patrzy się na Polaków. Tak jak my boimy się gangsterów ze Wschodu. Na podejrzliwości i braku zaufania nie można niczego zbudować, a już na pewno nie jednej wspólnej i otwartej Europy.

R.G.: – *Siedziba Fundacji znajduje się w Księstwie Liechtenstein, na terenie, powiedziałbym, neutralnym. Dlaczego?*

M.P.: – Ponieważ ustawodawstwo polskie zabija fundacje. A istniała w Polsce tradycja wspaniałych, wielkich fundacji. Chociażby Fundacja Władysława Zamoyskiego, do której należał zamek w Kórniku. Już przed wojną zaginęła z powodu złego zarządu. Złotówka była i jest ostatnią lokatą, którą można polecić. Natomiast frank szwajcarski okazał się najbardziej stałą walutą XX wieku. Po wtóre, w Liechtensteinie fundacje nie płacą żadnych podatków. Szef „Fundacji na rzecz nauki” prof. M.W. Grabski oświadczył niedawno, że jeśli przepisy o podatkach się nie zmieniają, to za kilka lat, po wyczerpaniu środków, przestanie ona istnieć. Ponieważ trudno jest zmienić ustawę o podatkach, warto było przenieść Fundację do Liechtensteinu.

R.G.: – *Dziękuję za rozmowę.*

*Rozmawiał: Remigiusz GRZELA*

Warszawa, 4 marca 2000 r.



## O religii bez namaszczenia

### O reformę papieżstwa

Jest to książka pióra byłego arcybiskupa San Francisco Johna Quinna<sup>1</sup>, pod wielu względami znakomita, mimo niewielkiej ilości stron w miarę gruntowna i podparta dobrym aparatem naukowym, mimo że autor nie jest akademickim teologiem, lecz wysokiej godności duszpasterzem. Słyszałem o niej wiele i niecierpliwie oczekiwałem ukazania się jej na rynku angielskim. A jednak jest to książka pod jednym bardzo istotnym względem niezadowolająca. I z tym fundamentalnym zastrzeżeniem chciałem się najpierw uporać.

Potrzeba reformy papieżstwa jest dla wielu wierzących katolików oczywista. Dla innych chrześcijan tym bardziej. Podtytuł książki brzmi: „Kosztowne wezwanie do jedności chrześcijaństwa”. Jest rzeczą oczywistą, że bez głębokiej zmiany wewnętrznego ustroju Kościoła katolickiego, a zatem przede wszystkim bez reformy papieżstwa, osiągnięcie jakiegokolwiek formy jedności chrześcijaństwa jest niemożliwe. W tym sensie jedność chrześcijaństwa musi być dla Kościoła katolickiego istotnie kosztowna. Nawet sam papież Jan Paweł II zdaje sobie z tego sprawę, jak o tym świadczy jego słynny apel w encyklice „Ut Unum Sint” do wszystkich chrześcijan, o podjęcie z nim dialogu w tej sprawie (UUS 95). Ten apel papieski stanowi punkt wyjścia dla autora omawianej książki. Jej pierwszy rozdział stanowi obszernie omówienie treści encykliki i w szczególności zawartego w niej papieskiego apelu.

1. John R. Quinn „The Reform of the Papacy. The costly call to Christian unity”. A Herder and Herder Book. The Crossroad Publishing Company, New York 1999. Str. 189.

Zarówno ten rozdział jak i następny, poświęcony roli oddolnej krytyki w życiu Kościoła, jest nacechowany zwyczajową głęboką czcią dla Ojca Świętego, tym razem jako inicjatora i promotora postulowanych reform. Wygląda to, niestety, na taktyczny zabieg ze strony autora, mający na celu pozyskanie sympatii i poparcia papieża dla programu reformy papieżstwa przedstawionego w następnych rozdziałach książki. Te rozdziały składają się na zgoła dramatyczny obraz niezadowolającego stanu instytucji papieżstwa w posoborowym Kościele i sposobu funkcjonowania papieskiego prymatu. Pisząc te rozdziały autor musiał sobie zdawać sprawę, że ten stan rzeczy jest w dużej mierze dziełem obecnego papieża, że zatem papież ten stan rzeczy aprobuje i nie ma zamiaru przeprowadzenia jakichkolwiek istotnych reform. Oczywiście arcybiskup Quinn jest tego świadom.

Począwszy od trzeciego rozdziału (a jest ich wszystkich sześć) ton lojalnego uwielbienia dla Ojca Św. zanika i wzmianki o nim są stosunkowo rzadkie. Winę za niezadowolający stan całej światowej administracji kościelnej ponoszą jakieś bezosobowe siły, występujące w postaci dwóch kluczowych zjawisk określonych w kilku miejscach książki jako nadmierna centralizacja i nadmierna rola Kurii Rzymskiej. Takie postawienie sprawy jest od wielu lat powszechne i chroniczne we współczesnym Kościele: nie wypada niczym obciążać samego papieża (jak gdyby papież nie był człowiekiem), winne więc są zawsze owe bezosobowe siły, jakkolwiek będą one nazwane.

Wypada mi udokumentować tę przykrą diagnozę, choćby jednym czy dwoma przykładami. W rozdziale o roli krytyki w Kościele autor z uznaniem cytuje rzeczywiście pionierskie i odważne napiętnowanie przez Jana Pawła, w liście apostolskim „Tertio Millennio Adveniente”, pewnych dawnych zbrodni instytucjonalnego Kościoła (TMA 33-35). Z jeszcze większym uznaniem John Quinn następnie podkreśla, że papież potrafi również być krytyczny wobec stanu współczesnego Kościoła (36), nie dodając jednak, że tym razem chodzi już nie o grzechy instytucji kościelnej, lecz o obojętność i nieposłuszeństwo wielu wiernych wobec magisterium Kościoła. Obecnego stanu Kościoła jako instytucji papież nie krytykuje.



Inny przykład, z rozdziału 6., w którym jest mowa o wadliwym systemie mianowania biskupów w ciągu obecnego pontyfikatu. Quinn pisze m.in. o zniechęconym przez miejscowych wiernych biskupie diecezji Sankt Polten w Austrii i równie zniechęconym biskupie diecezji Chur, obejmującej m.in. Zurych, w Szwajcarii, nie wspominając, że obaj zostali mianowani na te stanowiska przez Jana Pawła II. Autor zaznacza w przypisie, że biskup Heim został ostatecznie z diecezji Chur usunięty, nie zaznaczając jednak, że papież przy tej okazji mianował go arcybiskupem sąsiedniej diecezji księstwa Liechtenstein. Jak na to zareagowali mieszkańcy Liechtensteinu, nie wiem. Milczeniem został także pominięty głośny w swoim czasie skandal z arcybiskupem Wiednia kardynałem Groerem, usuniętym od tego czasu do jakiegoś klasztoru.

Wspominam te przykłady tylko po to, by wykazać jak autor, prezentując wymagający gruntownych reform stan współczesnego Kościoła, stara się jednak nie obciążać odpowiedzialnością za ten stan rzeczy obecnego papieża. Ale tym samym wszedłem już w sedno sprawy. Jedną z rzeczy domagających się reformy jest właśnie dobór i sposób mianowania biskupów, który jest obecnie wyłączną domeną papieża. Nie zawsze tak było. Wyłączność jurysdykcji papieża w tej sprawie datuje się dopiero od początków ostatniego stulecia. Do tego czasu o obsadzie większości stolic biskupich w świecie decydowały miejscowe kościoły, głównie kapituły diecezjalne, bardzo często również władze świeckie czyli królowie. Ten stan rzeczy daleki był od ideału, ale obecna centralizacja również ma swoje złe strony. Quinn w swej analizie piętnuje częste wypadki całkowitego ignorowania przez Rzym opinii kościołów lokalnych, czego rezultatem są między innymi wspomniane wyżej konflikty między klerem i wiernymi danej diecezji a narzuconym z góry bez ich zgody biskupem. Zdarzały się w ciągu obecnego pontyfikatu także konflikty odwrotnej natury: że papież chciał za wszelką cenę usunąć urzędującego biskupa, który w tej czy innej kwestii duszpasterskiej nie całkiem się z nim zgadzał. Jeden przykład to sprawa arcybiskupa Hunthousena w diecezji Seattle w Stanach Zjednoczonych, inną sprawą kardynała Arnsa, rzecznika teologii wyzwolenia w Brazylii, jeszcze inną sprawą francuskiego

biskupa Gaillot w diecezji Evreux. Arcybiskup Hunthousen, po okresie częściowej degradacji, zdołał się ostatecznie oprzeć papieskim presjom. Kardynał Arns musiał się zadowolić okrojoną terytorialnie diecezją. Natomiast nader popularny biskup Gaillot został całkowicie ze swej diecezji usunięty, mimo protestów kilku swoich kolegów we francuskim episkopacie. Przyznaję, że te trzy ostatnie konflikty cytuję z pamięci; arcybiskup Quinn o nich nie wspomina. Ale są one mocnym argumentem na rzecz postulowanej przez niego decentralizacji systemu mianowania biskupów i zwiększenia udziału lokalnych kościołów w tym procesie. Nieodzowne są więzi wzajemnego zrozumienia i sympatii między biskupem i jego diecezjami. W starożytnym Kościele biskup zostawał biskupem danej diecezji na całe życie i nawet przeniesienie go do innej diecezji było kanonicznie niedopuszczalne, tak jak w obecnym systemie zdjęcie z urzędu papieża. Nadmierna centralizacja i uzależnianie doboru kandydatów od Rzymu (który oczywiście nie może znać kandydatów tak dobrze jak ludzie na miejscu) prowadzi także do tego, że wakanse trwają niezmiernie długo. Jeśli, jak to bywało nieraz ostatnio, wakans trwa dłużej niż rok, to rodzi się destruktywne poczucie, że biskup nie jest wcale tak bardzo potrzebny.

Drugi Sobór Watykański, jak wiadomo, mocno postawił zasadę, że wszyscy biskupi wraz z papieżem stanowią Kolegium, które pod przewodnictwem papieża powinno kierować życiem Kościoła. Autor poświęca osobny rozdział tej tak zwanej zasadzie kolegialności, oraz dwa rozdziały sprawie dwóch instytucji, które dotychczas stanowiły pewnego rodzaju namiastkę tej zasady, kolegium kardynalskiemu i kurii rzymskiej. Sobór sam był oczywiście klasycznym wzorem realizacji zasady kolegialności, nie sprecyzował jednak konkretnych form, w jakich kolegialność miałaby odtąd być realizowana poza Soborem. Praktyka posoborowa wypracowała dwie takie formy: okresowe synody biskupów i konferencje regionalnych czy krajowych episkopatów. Synody, których odbył się już cały szereg, mają tę słabą stronę, że tematyka ich jest z góry ustalana przez specjalny stały rzymski sekretariat i że mają one charakter tylko doradczy, tak że papież może ich sugestie przyjąć albo odrzucić. Poza tym obrady synodów są tajne i szersza społeczność kościelna dowiaduje się o ich przebiegu



zasadniczo tylko z oficjalnych komunikatów, a o wynikach osobno i dopiero po pewnym czasie z urzędowego papieskiego podsumowania. Autor proponuje zniesienie tych ograniczeń. Konferencje biskupów są w jeszcze gorszej sytuacji. Zrodziły się one spontanicznie z konkretnych potrzeb poszczególnych krajów i regionów, i Rzym nie ma nad nimi bezpośredniej kontroli. Dlatego Kuria Rzymska, w szczególności Kongregacja dla Spraw Nauki i Wiary, od dawna już odmawia im charakteru prawomocnych organów kościelnej kolegialności. To stanowisko uzyskało z kolei poparcie papieża w postaci specjalnego *motu proprio* z maja 1998 roku. Dokument ten stwierdza, że uchwały konferencji episkopatów natury doktrynalnej są ważne tylko, jeśli zostały przyjęte jednogłośnie, a w razie uzyskania tylko większości dwóch trzecich wymagają zatwierdzenia przez Stolicę Apostolską. Arcybiskup Quinn odpowiada na to, w ślad za innym wybitnym teologiem, że nawet uchwały soborowe nie wymagają tak wygórowanego stopnia jednomyślności, że taka jednomyślność jest praktycznie nieosiągalna i że w rezultacie konferencje episkopatów są praktycznie pozbawione możliwości autorytatywnego nauczania swych wiernych.

Widać z tego, jak daleko posunięty jest rzymski centralizm i do jakiego stopnia zadekretowana przez Sobór zasada współodpowiedzialności światowego kolegium biskupów za rządu Kościołem stała się fikcją. Biskupi, którym w każdej eklezjologii przypada zaszczytna i odpowiedzialna rola następców apostołów, zostali w posoborowej praktyce sprowadzeni do roli terenowych funkcjonariuszy papieskiego centrum, we wszystkich istotnych sprawach od tego centrum uzależnionych. Zarówno nacechowane szczególnym dostojeniem Kolegium Kardynałów – „kolegium w ramach kolegium”, jak zaznacza Quinn – i Kuria Rzymska są również organami tej centralnej władzy. Kardynałowie pochodzą z nominacji papieskiej i na ogół tylko biskupi cieszą się pełnym zaufaniem papieża dostępując tego zaszczytu. Tak samo prefekci poszczególnych kongregacji Kurii Rzymskiej, przy czym cała Kuria jest po prostu olbrzymim aparatem urzędniczym papieskiego rządu, według arcybp. Quinna ok. 1740 osób, prawie tyle samo co liczba Ojców Soboru Watykańskiego (nieco ponad 2000). Quinn krytycznie ocenia sens często powtarzanego

powiedzenia, że Kościół oczywiście nie jest demokracją, dodając że równie oczywiście nie jest, albo nie powinien być, monarchią. Demokracja przy tym ma w historii Kościoła dostojną tradycję – także konklawe wybiera papieża większością głosów – i teologicznie Kościół jest nade wszystko Ludem Bożym (*demos* znaczy lud), co Sobór Watykański w konstytucji „Lumen Gentium” uroczystie potwierdził.

W zakończeniu swej książki autor raz jeszcze podkreśla, że jest ona odpowiedzią na zawarty w encyklice „Ut Unim Sint” apel papieża o pomoc w rozwiązaniu problemu papieskiego prymatu. Myślę, że należy tu powiedzieć, że ta książka, jakkolwiek cenna, nie jest ani jedyną odpowiedzią na ten apel ani też pierwszą próbą naświetlenia problemu i jego rozwiązania. W rzeczy samej, problem zrodził się już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i narastał stopniowo wraz z rosnącą rolą papieskiego Rzymu w chrześcijańskim świecie. Nie miejsce tu, by przypominać dramatyczne formy, jakie ten problem przybrał najpierw w XI wieku, kiedy nastąpił instytucjonalny (i, pozwalam sobie podkreślić, tylko instytucjonalny) rozpad jednego Kościoła Chrystusowego na Zachodni i Wschodni, i w wieku XVI, wieku reformacji. Próbą rozwiązania problemu był i jest nadal cały ruch ekumeniczny, który narodził się na początku ostatniego stulecia, najpierw w świecie protestanckim, potem w drugiej połowie stulecia objął również Kościół rzymsko-katolicki. I właśnie od tego czasu stało się jasne, że sednem problemu, niezależnie od wszystkich innych różnic wyznaniowych, jest obecny stan instytucji papiestwa. Jest zasługą Jana Pawła II, że w encyklice „Ut Unum Sint” on sam, papież, po raz pierwszy w historii uznał ten fundamentalny fakt. Od tego czasu z wielu stron, ze strony jego własnych katolickich wiernych, ze strony chrześcijan różnych Kościołów protestanckich i prawosławnych – w tym ze strony aż równego mu godnością patriarchy ekumenicznego Bartłomieja – Jan Paweł słyszy głosy, które mówią mu, co należy robić. Nikt z tych jego doradców nie domaga się, aby zrzekł się historycznego prymatu Biskupa Rzymu. W każdym razie wszyscy znaczący przywódcy innych wyznań chrześcijańskich oświadczają zgodnie, że gotowi są ten prymat uznać. Jednak warunkiem tego uznania jest przynajmniej poważne ograniczenie wyłącznych



prerogatyw, jakie w ciągu wielu wieków politycznej dominacji Zachodu w świecie przyznali sobie jego poprzednicy i które on sam sobie przyznaje. Jest to, po ludzku rzecz biorąc, wysokie i trudne zadanie. Ale Ojciec Św. na pewno jest świadom, nie mniej niż każdy kompetentny obserwator panoramy dzisiejszego chrześcijaństwa, że bez tego jakakolwiek forma jedności chrześcijaństwa (znowu przypominam, instytucjonalnej jedności) jest nie do pomyslenia. Jest nie do pomyslenia, by przywódcy niekatolickich Kościołów byli zmuszeni podporządkować się całkowicie Rzymowi i pewnym specyficznym katolickim dyrektywom w rodzaju tych, które piętnuje w swej analizie arcybiskup Quinn<sup>2</sup>.

Trzeba przyznać, że jak dotychczas Kościół katolicki, wbrew rytualnym ubolewaniom nad „skandalem” rozbitcia chrześcijaństwa, idzie raczej po linii pogłębiania niż łagodzenia istniejących różnic. W tej sytuacji nawet umiarkowany demontaż historycznych aspiracji papieżstwa, tak silnie afirmowanych zwłaszcza w ciągu obecnego pontyfikatu, wydaje się równie niemożliwy jak choćby tylko częściowa akceptacja papieskich prerogatyw przez inne wyznania chrześcijańskie. Jedynym wyjściem z impasu zdaje się być ucieczka w jakieś rozpaczliwe *credo quia absurdum*. Mówiąc językiem wiary, choćby tylko częściowy demontaż struktury historycznego papieżstwa byłby prawdziwym krzyżem rzymsko-katolic-

2. Rażącym przykładem centralnej dyktatury moralnej, który doszedł do mojej wiadomości zaledwie wczoraj, jest upokorzenie biskupów niemieckich zmuszonych ostatnio, po długim i bezskutecznym oporze, do poddania się zakazowi udzielania porady duchowej kobietom ciężarnym, zamierzającym przerwać swą ciążę. Oczywiście katolickie poradnie usiłowały zawsze odwieść je od tego zamiaru, często z pozytywnym skutkiem. Ponieważ jednak sam fakt zasięgnięcia przez kobietę porady mógł jej pomóc w uzyskaniu państwowego zezwolenia na przerwanie ciąży, papież obawiał się, że może to wyglądać na aprobatę przerywania ciąży. Jest to trudny problem moralny, ale odmowa udzielenia porady sprawi teraz, że aborcja stanie się bardziej prawdopodobna. Smutne jest, że biskupi czuli się zmuszeni poddać się papieskiej presji. Kilku biskupów zapowiadało ponoć, że raczej ustąpią ze stanowiska niż zgodzą się na postąpienie wbrew własnemu sumieniu. Jednak według informacji londyńskiego *Tabletu* (12.2.2000) żaden biskup nie podał się do dymisji. Pozostaje na placu świecka organizacja katolicka Domini Vitae, która odmówiła zastosowania się do papieskiego zakazu.

kiego Kościoła. Krzyżem ogromnych historycznych wymiarów. Czy nasz Kościół jest zdolny do podźwignięcia takiego krzyża? Czy za tym krzyżem przysłoby zmartwychwstanie? Zmartwychwstanie w postaci jednego światowego chrześcijańskiego Kościoła? Przyznaję, że wygląda to na nader niecierpliwe podglądanie tajemnic Ducha Świętego. Jedyną dozwoloną perspektywą jest chyba tylko pokorne, ale pełne nadziei **Módlmy się.**

Antoni POSPIESZALSKI

## NIE MA CZASU DO STRACENIA!

**Fragmenty przemówienia podczas spotkania ekumenicznego w katedrze katolickiego Kościoła koptyjskiego w Kairze. Tłum. KAI (za: *Tygodnik Powszechny*, 5.3.2000)**

Powtarzam to, co napisałem w encyklice „*Ut unum sint*”, a mianowicie, że to, co dotyczy jedności wszystkich Wspólnot chrześcijańskich, wyraźnie wchodzi w zakres spraw objętych posługą prymatu Biskupa Rzymu (por. nr 95). Dlatego pragnę ponowić zaproszenie do „kościelnych zwierzchników i ich teologów do nawiązania ze mną braterskiego i cierpliwego dialogu na ten temat, w którym moglibyśmy wzajemnie wysłuchać swoich racji, wystrzegając się jałowych polemik i mając na uwadze jedynie wolę Chrystusa wobec Jego Kościoła” (tamże, nr 96). Gdy chodzi o posługę Biskupa Rzymu, proszę Ducha Świętego, aby udzielił nam światła, oświecając wszystkich Pasterzy i teologów naszych Kościołów, byśmy mogli wspólnie szukać form, w których ta posługa może pełnić służbę miłości, uznawaną przez jednych i drugich (por. Homilia, 6 grudnia 1987, nr 3; „*Ut unum sint*” nr 95). Drodzy Bracia, nie ma czasu do stracenia w tej sprawie!

Nasza komunია w jednym Panu Jezusie Chrystusie, w jedynym Duchu Świętym i w jedynym Chrzcie stanowi już rzeczywistość głęboką i podstawową. Ta komunია pozwala nam dojść do wspólnego świadectwa naszej wierze na różne sposoby, i w rzeczy samej wymaga, abyśmy współpracowali w niesieniu



światła Chrystusa światu, który potrzebuje zbawienia. To wspólne świadectwo jest jeszcze ważniejsze u początków nowego wieku i nowego tysiąclecia, które rzucają olbrzymie wyzwania rodzinie ludzkiej. Również z tego powodu nie ma czasu do stracenia!

Jako podstawowy warunek tego wspólnego świadectwa, winniśmy unikać czegokolwiek, co mogłoby prowadzić jeszcze raz do nieufności i niezgody. Zgodziliśmy się, że należy unikać jakiegokolwiek formy prozelityzmu czy metod i postaw stojących w sprzeczności z wymogami chrześcijańskiej miłości i z tym, co winno cechować stosunki między Kościołami (por. „Wspólna deklaracja” papieża Pawła VI i patriarchy Szenudy III, 1973). Pamiętajmy, że prawdziwa miłość, oparta na całkowitej wierności jednemu Panu Jezusowi Chrystusowi i na wzajemnym szacunku dla tradycji i praktyk sakramentalnych każdej ze stron, jest istotnym elementem tego dążenia do doskonałej jedności (tamże).

Nie znamy się dostatecznie: znajdziemy sposoby, żeby się spotkać! Szukajmy odpowiednich form komunii duchowej, jak modlitwa powiązana z postem, wymiana i wzajemna gościnność między monasterami. Znajdziemy formy praktycznej współpracy, zwłaszcza dzisiaj, w odpowiedzi na duchowy głód u tak wielu osób, aby je podnieść na duchu w utrapieniu, w wychowaniu młodzieży, w zapewnieniu ludzkich warunków życia, w popieraniu wzajemnego szacunku, sprawiedliwości i pokoju, i w sprzyjaniu wolności religijnej jako podstawowemu prawu człowieka.

JAN PAWEŁ II

**Kraj**

## Murowane środowisko człowieka

Artykuł Jacka Nowickiego na temat Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej wnosi nową jakość do trwającej od dziesięciu lat dyskusji nad kwestią polskiego budownictwa mieszkaniowego w gospodarce rynkowej. Pisano wiele o systemie finansowania tego budownictwa, ale nie doprowadziło to niestety do stworzenia jakiejś jednoznacznej polityki państwa w tym zakresie. Wielokrotnie pojawiały się pomysły, że system związanych z budownictwem mieszkaniowym kas oszczędnościowych mógłby skłonić społeczeństwo do zwiększenia oszczędności i być kołem napędowym budownictwa mieszkaniowego. Powoływano się tu na doświadczenia różnych krajów, w szczególności Wielkiej Brytanii, gdzie Building Societies stanowią bardzo ważny element całego systemu finansowego. W okresie rządów Margaret Thatcher budownictwo mieszkaniowe było podstawą *boom*'u gospodarczego, ale również (w późniejszym okresie) powodem osobliwego kryzysu spowodowanego nadmiernym zaufaniem do idei, że kupno domu na kredyt jest zawsze najbardziej intratną formą oszczędzania. Ten mieszkaniowy „ludowy kapitalizm” jak go określała pani Thatcher, okazał się niestety nadmiernie nadmuchanym balonem, co nie przekreślało bardzo interesujących doświadczeń tego eksperymentu i to zarówno tych pozytywnych, jak i negatywnych. Przez kilkanaście lat, praktycznie rzecz biorąc każdy, kto miał pracę, mógł sobie pozwolić na kupno domu, czy mieszkania, a co więcej, do pewnego czasu miał gwarancję, że w momencie sprzedaży



nabytej nieruchomości jego zyski będą znacznie wyższe aniżeli w przypadku innych form oszczędzania. Ciągłe rosnący popyt pociągał za sobą absurdalny wzrost cen nieruchomości, który w końcu doprowadził najpierw do zastoju, a potem do gwałtownego spadku cen domów, co spowodowało efekt analogiczny jak w tzw. piramidach, czyli ci, którzy zaciągnęli pożyczki, ostatni zapłacili za swoje domy cenę znacznie przekraczającą ich późniejszą wartość rynkową.

Czy w dzisiejszej Polsce możliwe jest nakręcenie koniunktury dla budownictwa mieszkaniowego? W chwili obecnej utrudnia to nadal wysoka inflacja, a więc bardzo wysokie oprocentowanie kredytów, co w przypadku rozłożonych nawet na lat trzydzieści kredytów mieszkaniowych może powodować, że albo kredyt jest bardzo trudny do obsługi przez kredytobiorcę, albo ryzyko zbyt duże (przy próbie ustalenia niższej stopy oprocentowania) dla instytucji udzielającej kredyt. Człowiek zarabiający netto 1200 złotych, zaciągając kredyt mieszkaniowy w wysokości 100 tysięcy złotych, nawet przy 10-procentowym, a więc zbliżonym do poziomu inflacji oprocentowaniu wydawałby niemal całe swoje wynagrodzenie na samą jego obsługę bez spłaty kapitału. Wydaje się, że jak długo inflacja nie spadnie poniżej czterech, pięciu procent, kredyty mieszkaniowe nie mają szans odegrania poważniejszej roli w rozwijaniu budownictwa mieszkaniowego. Zarówno w poprzednim okresie jak i obecnie, dominuje koncepcja oszczędzania na dom czy na mieszkanie i kupno za gotówkę, względnie za gotówkę oraz stosunkowo niewielki kredyt bankowy. (Nawiasem mówiąc właśnie taka koncepcja leżała u podstaw idei Building Society – oszczędzanie w danym Society, żeby po zebraniu sporej gotówki i ewentualnie z dodatkiem zaciągniętego kredytu kupić mieszkanie. Dopiero potem przekształciły się one w „banki” dające często 100% kredytu.) W efekcie to przede wszystkim brak kapitału powoduje, że nie tylko liczba budowanych domów i mieszkań jest zbyt niska, ale i struktura zamożności tych, którzy kupują mieszkania wskazuje na niepokojący trend traktowania budownictwa mieszkaniowego jako produkcji luksusowego towaru dla bardzo małej grupy wybranych.

Obraz dzisiejszego budownictwa mieszkaniowego w miastach jest dość charakterystyczny. Tu i ówdzie powstają

nowe osiedla mieszkaniowe, z reguły chronione siatką lub murami, gwarantujące komfort, estetykę oraz względne bezpieczeństwo. Wraz z wrocławskim architektem, Jerzym Kociołowiczem, odwiedziłem kilka takich osiedli wtłoczonych między blokowiska i wałce się rudery. Inwestor, czy jak to się ładnie dziś nazywa „firma developerska”, nastawiony jest na grupę najbardziej zamożnych klientów. Kolejna grupa, to ludzie budujący indywidualne domki jednorodzinne na peryferiach miasta, a wreszcie nabywcy zwalnających się mieszkań w prywatnych lub spółdzielczych blokach i kamienicach. Pośrednictwo w handlu nieruchomościami jest już dziś dość intratnym zajęciem, ale w porównaniu z krajami zachodnimi ruch na tym rynku jest minimalny. Jest to bardzo poważny problem, gdyż nowoczesna gospodarka rynkowa związana jest z dużą ruchliwością. Tymczasem w Polsce człowiek nadal przypisany jest do mieszkania, a jego zamiana jest nie tylko bardzo kosztownym, ale często bardzo trudnym przedsięwzięciem. Zdaniem Aleksandra Paszyńskiego, chwilowo trudno się spodziewać szybkiego rozwoju budownictwa mieszkaniowego. „Budujemy czterokrotnie mniej niż przeciętny kraj zachodni – mówi – ale i dochód narodowy mamy czterokrotnie niższy.” Na obecnym etapie głównym problemem jest gospodarka starymi zasobami. Radykalne podniesienie czynszów (złagodzone zwiększeniem dodatków mieszkaniowych i zmianą polityki ich przyznawania) może pozwolić na pewne uporządkowanie sytuacji w istniejących domach, a więc na niezbędne przesunięcia i na ratowanie istniejącego budownictwa przed dewastacją. Nowe budownictwo jest i pozostanie głównie dla ludzi zamożniejszych; prawdziwym dramatem jest niszczenie istniejących zasobów. Aleksander Paszyński podziela moje przekonanie, że względnie dostępne kredyty mieszkaniowe pojawią się dopiero wraz ze spadkiem inflacji, podkreśla jednak stanowczo, że stopień skomplikowania polityki mieszkaniowej wymaga od państwa bardzo radykalnych kroków, a punktem wyjścia jest uporządkowanie sprawy czynszów.

Znaczna część mieszkań znajduje się w administracji gmin. We Wrocławku, jak informował mnie wiceprezydent Stanisław Śliwka, mieszkania o łącznej powierzchni ponad 250 tysięcy metrów kwadratowych znajdują się nadal w



administracji miasta. Dla Urzędu Miasta największym problemem jest znalezienie miejsca dla ludzi mieszkających obecnie w budynkach zagrożonych. W ubiegłym roku oddano do użytku dwa nowe budynki mieszkalne i do stu mieszkań wprowadzili się ludzie wykwaterowani z domów, które groziły zawaleniem się. Potrzeby są zdaniem mojego rozmówcy znacznie wyższe. Liczba budynków zagrożonych rośnie. W budżecie miasta suma na remonty budynków mieszkalnych w roku 2000 to 5 milionów złotych, tymczasem potrzeby są na co najmniej 15 milionów. Tak więc, postępuje proces dalszej degradacji istniejących budynków mieszkalnych. Zdaniem naczelnika Wydziału Urbanistyki i Nadzoru Budowlanego we Włocławku, przyczyną są z jednej strony zbyt małe nakłady na remonty, a z drugiej mentalność mieszkańców, których wandalizm w znacznym stopniu przyspiesza ruinę domów mieszkalnych. Architekt, Jerzy Kociołowicz, z którym rozmawiałem kilka dni później, opowiadał mi, że rozpoczął swoją karierę od funkcji dzielnicowego inspektora Administracji Domów Mieszkalnych. Jako osiemnastoletni chłopak po technikum miał za zadanie codzienny obchód dzielnicy i rejestrację drobnych szkód – ciekącego dachu, oberwanej rynny, wybitej szyby, czy pękniętego tynku. Wszystkie te drobne szkody naprawiane były przez specjalną brygadę najdalej w ciągu tygodnia. Ta praktyka istniała jeszcze w końcu lat pięćdziesiątych. Potem system zcentralizowano, brygady remontowe rozwiązano, a remonty przeprowadza się dopiero, kiedy budynki grożą zawaleniem się. Dziś próba przywrócenia takiej praktyki niemal wydaje się być pozbawiona sensu. W większości zarządzanych przez miasto domach trudno doszukać się nienaderwanych rynien, o tynkach nie ma co mówić, ciekące dachy nie są rzadkością. We Włocławku w rejonie centrum sytuację komplikują niejasne stosunki własności. Niektórzy właściciele zgłosili się, ale nie podejmują żadnych działań, z reguły nie mogą ani podnieść czynszów, ani wykwaterować obecnych lokatorów mieszkań, a nawet gdyby to było możliwe, koszty remontu straszliwie zrujnowanych kamienic są tak wysokie, że należy rozważyć, czy ma to ekonomiczny sens. Chwilowo na wykwaterowanie dotychczasowych lokatorów liczyć mogą tylko ci, których domy już się wałają. Tam gdzie sytuacja własnościowa jest niejasna, miasto

nie chce wydawać pieniędzy na remonty domów, które być może trzeba będzie zwrócić. W efekcie, jeśli idzie o stare centrum, największy ruch jest na deskach kreślarskich. Trzeba przyznać, że władze dbają bardzo o estetykę miasta, centrum jest czyste, dużo zieleni. Prezydent Śliwka mówił mi o dylemacie jaki stwarza „blaszany Włocławek”, czyli problem punktów usługowych w prowizorycznych pawilonach. Tworzących sobie swoje miejsca pracy nowych przedsiębiorców z reguły nie stać na kupno lokalu. Te prowizoryczne budki są szpetne, ale alternatywą jest zakaz ich stawiania i administracyjny szlaban dla części drobnych przedsiębiorców. Tak więc, być może lepiej, przynajmniej na pewien czas, pogodzić się ze szpetotą. Możemy tu szukać pośredniego związku ze stanem budynków mieszkalnych w centrum. Nie tylko użytkownicy prowizorycznych budek dorabiają się bardzo powoli. Również użytkownicy lokali handlowych w budynkach mieszkalnych nie są krezusami. Tymczasem w wielkich miastach, w dzielnicach centralnych, to właśnie użytkownicy lokali handlowych dostarczają często kapitału na remonty budynków.

Tak jak zła administracja budynków mieszkalnych doprowadziła do szybkiej dekapitalizacji ocalałego budownictwa mieszkaniowego sprzed wojny, tak obecnie obserwujemy niepokojące zjawisko szybkiej dewastacji budynków przekazanych gminom przez zakłady pracy. Trudno dziś powiedzieć jaką skalę ma to zjawisko, ale z wielu stron pojawiają się sygnały, że były mieszkania zakładowe, po przekazaniu ich gminom, w pewnym sensie stały się bezpieczne. To zjawisko stosunkowo najlepiej jest opisane w przypadku bloków mieszkalnych przekazanych gminom po PGR-ach. Tymczasem w miastach mamy do czynienia z masowym zjawiskiem przejmowania przez gminy setek tysięcy mieszkań. (W samej Bydgoszczy miasto od 1994 roku przejęło 1100 mieszkań zakładowych, we Włocławku czternaście bloków mieszkaniowych). Nie spotkałem się dotychczas z żadnym raportem na temat sprawności administrowania tymi domami przez gminy. Mój niepokój jest tu związany z pojedynczymi sygnałami o przyspieszonej degradacji poszczególnych budynków.

Jak podkreślają moi rozmówcy, głównym problemem są mieszkańcy. Znaczną część mieszkańców centrum Włocławka



stanowią bezrobotni, ludzie z niskimi kwalifikacjami, biedni. W miarę jak stare kamienice ulegały dewastacji, inteligencja uciekała na przedmieścia, czasem do jednorodzinnych domków, częściej do nowych bloków, a centrum stawało się coraz bardziej „kwaterunkowe”, z domami coraz rzadziej remontowanymi i ulegającymi coraz szybszej ruinie. Dziś te domy wymagają nie tylko generalnych remontów, ale i wszechstronnej modernizacji. Włocławek to nie Kraków, tempo zmian będzie tu znacznie powolniejsze i zapewne wiele wody w Wiśle upłynie, zanim mieszkaniowe oblicze centrum zacznie się naprawdę zmieniać. Przy okazji wizyty w Urzędzie Miasta rozmawiam z młodą architekt. Mówimy o długofalowych trendach. Centrum powoli zacznie zmieniać swój charakter i obecni mieszkańcy będą wypychani na przedmieścia. Najprawdopodobniej będą powstawać slumsy i już dziś należałoby szukać rozwiązań pozwalających na jakąś próbę złagodzenia przewidywalnych problemów. Moja rozmówczyni jest przekonana, że w dzisiejszej Polsce nie ma polityków zdolnych do myślenia w tych kategoriach. Przyczyną jest nie tylko nacisk bieżących problemów, ale i brak wyobraźni. Polska wyłania się z chaosu i zna patatajkę organizowanych akcji. W szkole, na studiach, w życiu codziennym, wszędzie dominuje romantyzm. Pozytywizm ma swoje cherlawe dziecię procent.

Wszyscy zgadzają się, że spółdzielczość mieszkaniowa jest dziś dla zamożnych. Reszta może liczyć na budownictwo komunalne, na budownictwo socjalne i na zwalniające się mieszkania w blokach, a najczęściej nie może liczyć na nic. Spółdzielczość we Włocławku inwestuje niewiele: pojedyncze domy, rozrzucone w różnych punktach miasta nowoczesne kamienice. Nie ma tu oczywiście mowy ani o idei przystępności mieszkań spółdzielczych dla zwykłego człowieka, ani tym bardziej o architekturze jako społecznym środowisku. Wspólnoty mieszkańców, nawet jeśli tu i ówdzie się tworzą, są raczej krótkotrwałymi związkami protestu, aniżeli próbą budowania trwałych więzi społecznych.

Pierwszego marca warszawska prasa donosiła o zabawnym eksperymencie – na Pradze artysta plastyk zdołał nakłonić współmieszkańców swojego bloku do tego, aby na ścianie domu pojawił się napis: 2000. Jedni musieli w swoich

mieszkańcach światła zgasić, inni zapalić. Eksperyment się udał, wywołał silne emocje, ale nikt z dziennikarzy nie zastanawiał się nad pytaniem, czy będzie ciąg dalszy, czy mieszkańcy tego bloku chociaż przez moment poczuli, że są społecznością i czy po tym eksperymencie dojdą do wniosku, że może ich być stać na coś więcej, niż na jednorazowy wysiłek gaszenia i zapalania świateł?

Znaczna część mieszkańców polskich miast mieszka w betonowych blokach. W latach sześćdziesiątych zaczęto takie blokowiska budować we Francji, w Szwecji, a nawet w Australii, my jednak jesteśmy przekonani, że wymyślili to komuniści. Te potwory będą stały jeszcze długo, ale osobiście wątpię, czy staną się przez to piękniejsze. Nie chodzi tylko o estetykę. Czy bloki mogą stać się bardziej ludzkie, czy można w tych osiedlach stworzyć jakąś więź społeczną, poczucie wspólnoty, poczucie bezpieczeństwa? Jacek Nowicki wspomina w swoim artykule o szwedzkich spółdzielniach mieszkaniowych HSB, instytucji, która na masową skalę podjęła eksperyment podobny do tego, który przed wojną rozpoczęty został przez Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową. Znaczna część osiedli HSB to betonowe bloki, w których mieszkania miały być przystępne, przestronne, funkcjonalne, zaś osiedla jako całość miały sprzyjać integracji ich mieszkańców. Temu celowi służyć miały stosownie zaprojektowane place zabaw dla dzieci, punkty usługowe, a więc sklepy, kawiarnie, ale również np. wspólne pralnie, itp. Z mojego doświadczenia wynika (a spędziłem w Szwecji piętnaście lat), że marzenia przerosły projektantów. Nie bardzo wiadomo jak można sobie wyobrazić integrację kilku tysięcy osób. Nawet w pojedynczym bloku z trudem rozpoznajemy twarze sąsiadów. Czasami udawało się w tych osiedlach wymusić pewną kulturę współżycia. Wymagało to jednak znacznych nakładów finansowych. Przede wszystkim, pierwszym warunkiem jest natychmiastowe usuwanie wszelkich zniszczeń, czy to spowodowanych wandalizmem czy zmęczeniem materiału. I tu widać było wyraźną różnicę między osiedlami HSB, a budowanymi na podobnej zasadzie osiedlami komunalnymi. Również w Szwecji skład społeczny mieszkańców osiedla często powodował, że zadanie utrzymania estetyki i technicznej sprawności budynków okazywało się zbyt trudne. Wszystko jest



oczywiście względne. To co na przedmieściach Malmö określane było jako slums, uważane byłoby w Polsce za luksus, oczywiście nie w odniesieniu do nowych, otoczonych murami enklaw, ale w porównaniu ze standardowym osiedlem bloków mieszkalnych.

Czy w tego typu betonowych osiedlach istnieje jakakolwiek szansa tworzenia wspólnot mogących poprawić estetykę, bezpieczeństwo, zdolnych do zakładania nowych punktów usługowych? Z pewnością warto poszukiwać różnych form budowania takich wspólnot i czasem jednostkowy geniusz potrafi zdziałać cuda, chwilowo nic jednak nie wskazuje na to, aby idea tego rodzaju wspólnot mogła stać się w tych betonowych osiedlach popularna. Bardziej racjonalnym działaniem wydaje mi się poszukiwanie nowych form zarządzania budynkami, tak aby stopniowo wymuszać wyższą kulturę utrzymania domów, estetyki i współżycia. Obawiam się, że większość mieszkańców miast będzie w najbliższych dziesięcioleciach nadal skazana na mieszkania w osiedlach składających się z bloków mieszkalnych, które same w sobie nie są sympatycznym środowiskiem, a zwandalizowane, otoczone śmietnikami, pozbawione zieleni i opanowane przez bandy zapitych osobników, stają się prawdziwym piekłem dla mieszkańców.

Czy zatem idea Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej ma przyszłość? W chwili obecnej powrót do tej idei wydaje się być pozbawionym realizmu marzycielstwem. Tanie, dostępne dla zwykłego człowieka mieszkanie w małym osiedlu, które jest funkcjonalne, zapewnia wygodę i sprzyja ludzkim kontaktom, to wizja ze wszech miar kusząca i pamiętając o wszystkich trudnościach oraz ograniczeniach nie machałbym na nią jeszcze lekceważąco ręką. Nie można wykluczyć, że odżyje ona w momencie pojawienia się tańszych kredytów mieszkaniowych i odrodzenia się spółdzielczości. Być może jako specyficzna forma osiedli dla młodych małżeństw, jako spółdzielczość mieszkaniowa dla studentów, czy innych grup, w których istnieje szansa na stworzenie więzi wykraczającej poza nagą potrzebę zdobycia mieszkania. Podejrzewam, że jeśli ta idea odżyje, to nieodmiennie w połączeniu z jakąś ideologią, czy to religijną, czy społeczną. Równocześnie pamiętajmy o tym, że miasta będą nadal zmu-

szone do budowania mieszkań komunalnych. Gmina jako inwestor może poszukiwać wykonawcy łączącego stosunkowo niskie koszty budowy z funkcjonalnością i z pewną koncepcją społeczną. Na dzień dzisiejszy wydaje się, że takich ofert ze strony wykonawców nie ma. Tu właśnie wydaje mi się, że przypomnienie historii Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej może być interesującą propozycją w szczególności dla młodych architektów. Nie ma tu oczywiście miejsca na nadmierny romantyzm. Muszą to być poszukiwania uwzględniające nie tylko bardzo ograniczone środki finansowe inwestora, ale również potencjalny skład społeczny mieszkańców takich osiedli.

Całkowicie osobnym problemem jest kwestia budownictwa mieszkaniowego na wsiach i w małych miasteczkach. W wyobrazeniach wielu mieszkańców miast wieś to lepsze lub gorsze domy jednorodzinne na prywatnych gruntach. Po pierwsze nie jest to cała prawda, po drugie, zapominamy tu o problemie infrastruktury, która decyduje o tym, że zespół domów staje się osiedlem.

Bez obawy popełnienia błędu można powiedzieć, że jeśli gdzieś istnieje względnie tanie budownictwo domków jednorodzinnych, to właśnie na wsiach. Podejrzewam, że na wsiach buduje się dziś więcej, aniżeli ujawniają to statystyki oddanych do użytku budynków. Nie jestem również pewien, czy należy rozpaczać z powodu tego, że nadzór budowlany staje się coraz bardziej iluzoryczny, chociaż słyszałem tu opowieści, od których włos jeży się na głowie i to nie ze względu na estetykę nowych budynków, co bezpieczeństwo jego przyszłych mieszkańców. W chwili obecnej, wydaje mi się, że gminy wiejskie starają się nie szkodzić rozwojowi budownictwa mieszkaniowego, ale też rzadko kiedy widzimy jakąś aktywną politykę, wspierającą to budownictwo, nie wspominając o jakichkolwiek wizjach urbanistycznych. Tradycyjne ośrodki życia społecznego zanikają (domy ludowe, kina, biblioteki) nowe się nie pojawiają. (Wyjątkiem są tu mnożące się jak grzyby po deszczu dyskoteki.) Na wsi, podobnie jak w miastach, nowe domy budują zamożniejsi, natomiast bólem głowy dla gmin jest remont budynków i utrzymanie mieszkań komunalnych, oraz problem przeniesienia mieszkańców z budynków zagrożonych. W gminach wiejskich i w



małych miastach zarządzanie mieszkaniem komunalnym jest z reguły jeszcze gorsze niż w dużych miastach. Jest to z jednej strony spowodowane skromniejszymi funduszami tych gmin, z drugiej brakiem koncepcji, z trzeciej wreszcie poziomem mieszkańców. Jednym z rozwiązań mogłoby tu być skorzystanie z funduszy interwencyjnych i zatrudnianie dozorców, starannie wybranych spośród bezrobotnych mieszkańców takich mieszkań. Systematyczna troska o utrzymanie tych budynków przyniosłaby w efekcie duże oszczędności, powstrzymałaby ich dewastację i przyczyniłaby się do podniesienia kultury życia, a przy okazji prowadziłaby do utworzenia kilku miejsc pracy. Moim zdaniem powinna to być praca nie w pełnym wymiarze, raczej umowa-zlecenie, z zadaniami ograniczonymi do jednego budynku. Chwilowo jednak taki pomysł wydaje się być marzeniem ściętej głowy, bo ani mieszkańcy tego rodzaju budynków nie wydają się być zdolni do podjęcia wspólnych działań, ani samorządy nie wydają się poszukiwać rozwiązań pozwalających na powstrzymanie degradacji zarządzanych przez nich zasobów mieszkaniowych.

Większość z nas nigdy nie mieszkała i nigdy w życiu nie będzie mieszkać w nowych domach. Jest to prawidłowość obowiązująca również w krajach znacznie bogatszych niż Polska. Oczywiście im więcej buduje się nowych domów, tym większy jest ruch na rynku mieszkaniowym. Fakt, że do nowych domów wprowadzają się głównie ludzie zamożniejsi, nie jest sam w sobie dramatem. Problemem jest niedostatek ludzi dostatecznie zamożnych, a jeszcze większym problemem wydaje mi się bardzo ograniczony wysiłek inwestorów, aby obniżyć próg dostępności i tym samym zwiększyć rynek potencjalnych nabywców nowych mieszkań. W obecnej sytuacji trudno nie zgodzić się ze stwierdzeniem, że nadal mamy zbyt powolny rozwój budownictwa mieszkaniowego i niewielki ruch na rynku starych mieszkań. Socjologiczne koncepcje miasta, osiedla czy wsi, muszą wychodzić od sytuacji w obecnej chwili. Tak więc, jeśli nawet na deskach kreślarskich pojawi się projekt idealnego osiedla na 24 rodziny, jeśli nawet zbierze się grupka chętnych do zrealizowania tego projektu, to będzie to zapewne eksperyment społeczny o bardzo ograniczonej skali. Znacznie bardziej realne wydają mi się poszukiwania rozwiązań administracyjnych, które

mogłyby powstrzymać dewastację istniejących budynków mieszkalnych, doprowadzić do poprawy systemu ich utrzymania, remontów, ich estetyki, a tym samym jakości życia ich mieszkańców. Doświadczenie wskazuje, że z reguły jest to pierwszy krok, do przekształcenia dominującej obecnie wzajemnej niechęci sąsiadów, w neutralną, a z czasem być może nawet kooperującą wspólnotę. Podejrzewam, że na dzień dzisiejszy doniesienie o jednym sprawnym, niepijącym i kompetentnym dozorcę bloku wzbudziłoby większą sensację wśród zwykłych czytelników gazet, aniżeli informacja o pięciu konkursach na projekt tanich mieszkań w przyjaznym dla człowieka osiedlu. Obawiam się jednak, że łatwiej będzie zorganizować pięć konkursów na projekt osiedla, aniżeli doprowadzić do zatrudnienia jednego kompetentnego dozorcę.

Dobrzyń, 5 marca 2000 r.

Andrzej KORASZEWSKI

## Z ukosa

Znowu spotkanie mojej klasy, czyli klasy A, ale tym razem w towarzystwie klasy E.

Koleżanka z tej klasy założyła w podziemiach swego domu mały lokal. I tam się spotykamy. Niemal wszyscy kończymy w tym roku 50 lat. Mam wrażenie, że gołym okiem widać, że to jednak jest jakiś przełom. Rysy puszczają nawet tym którzy wydawali się trzymać je w pewnej dłoni, jak bukiet kwiatów. Dowiaduję się, że Joanna umarła. To pierwsza nasza klasowa śmierć. Z klasy E umarły już dwie osoby. Nie wiedziałem o śmierci Joanny. Z jej bratem, chemikiem, spotkałem się w białoleckim więzieniu, nosił włosy do ramion i chodził boso, pewnie dlatego trzymali go tak



długo. Tak niewiele pamięta się z ludzi po latach, z Joanny brązowe oczy i charakterystyczny głos nieco przeciągający słowa. Ola, właścicielka kwiaciarni przyniosła na pogrzeb wieńiec od naszej klasy. Joanna wychowywała sama córkę, dziewczyna niedawno zdała maturę i ma trudną sytuację. Zbieramy dla niej pieniądze. Podobnie jak inni, nie znam tej dziewczyny, ale nie waham się. W naszych egoistycznych czasach, potrafimy być jednak bezinteresowni. Mam wrażenie, że sami jesteśmy sobą wzruszeni. „Dawno nie widziałem ciebie w telewizji”, mówi z niepokojem jedna z koleżanek. Takie czasy, jak człowiek nie pokazuje się w telewizji, to go nie ma. Nasze rozmowy?

Ola w swojej kwiaciarni ma też wieńce i bierze z urzędu udział w wielu pochówkach. Jest poruszona nowym obyczajem. Czy to neopogaństwo? – pyta. Powszechne staje się wkładanie zmarłemu do trumny jego osobistych przedmiotów, książki, otwartej na stronie którą zmarły właśnie osierocił, budzika, zabawek z dzieciństwa, radia tranzystorowego otwartego na popularnej stacji Radia Zet. Nawet wśród gorliwych katolików wiara w życie pozagrobowe bardzo podupadła. Te przedmioty, które ze zmarłym wędrują do grobu, są, myślę, jakby zamiast i na wszelki wypadek, by ocieplić śmierć, która staje się coraz bardziej zimna, podobnie jak nasze cmentarze.

Rozmowy w męskim gronie? Jest w tych rozmowach zawsze trochę polityki, ogólne poczucie niesmaku i narzekanie, że tym krajem rządzą układy, a nie kompetencja. Wymuszam jednak od kolegów deklarację, że wszystko jednak idzie do przodu. „Tylko jakoś gorzko”, ktoś dodaje.

Umieranie ludzi, ale też umieranie naszych symboli, nazwisk, które były wielkie, dzieł, których nie wolno było nie znać. Młode pokolenie wydaje mi się czasami pokoleniem barbarzyńców, nawet ci którzy kończą studia, wiedzą tak mało o przeszłości, choćby z dziedziny, którą studiują. Jest u mnie studentka ASP, niezwykle utalentowana malarka, jestem pewien, że będzie kiedyś słynną polską artystką. Pokazuję jej piękny portret mego ojca namalowany przez Zofię Stryjeńską i drugi obraz, też portret ojca pędzla Vlastimila Hofmana. Ta utalentowana dziewczyna, która kończy malarskie studia, nie

zna tych malarzy. To jest jakiś koniec świata, no powiedzmy koniec naszego świata. Ale odkrywam też, że studenci polonistyki nie znają twórczości, a nawet nazwisk wybitnych polskich pisarzy. Bardziej jednak bolesne i dosłowne od umierania dzieł, są choroby i umieranie ludzi.

Budzę się o wczesnym świcie, wokół widzę dziesiątki błyszczących w półmroku oczu. To cudze nieszczęścia obsiadły moje łóżko jak psy. Są głodne. Próbuje je karmić ochłapkami współczucia. Nie ruszają się. I już wiem, one chcą mnie. W ciągu kilku miesięcy umarło kilka bliskich mi osób, niektórych nie widziałem, od lat mieszkali za granicą. Kiedyś tak bardzo byłem ponizony Polską, że wydawało mi się, że ludzie u nas umierają częściej i bardziej niż na zachodzie Europy.

Dzwonię do O., znajoma ze starszej generacji. Mówi, że zamawia perukę... chemioterapia. Zanim zdążyłem wspomnieć w swoim tekście o chorobach dwóch bliskich mi kobiet, o ileż młodszych ode mnie, zmarły obie. Ania była taką ładną dziewczyną, nasze pierwsze sprzed kilkunastu lat spotkanie pamiętam, jakby było to wczoraj. Po latach spotykamy się na sylwestrowym przyjęciu, wiedziałem, że jest nieuleczalnie chora. Posmutniałem na jej widok i nie potrafiłem tego ukryć, zauważyła moje zakłopotanie i uśmiechnęła się. Gdy o północy składaliśmy sobie życzenia, pocałowała mnie nie w policzek a w usta, na pożegnanie.

Pisałem wielekroć o M., rzadziej o jego żonie Elżbiecie, a przecież oboje byli twórcami podziemnego wydawnictwa, które przetrwało do dzisiaj. Założyli „Przedświt”, by opublikować drugi numer naszego podziemnego pisma – *Wezwanie*. Elżbieta nie żyje. Po raz pierwszy miała mini-wylew w roku 1984, po rewizji. Czy to nie ja przez nieuwagę sprowadziłem tajniaków do ich domu, czy więc powinienem mieć wyrzuty sumienia? Ale śmierć przybyła po nią dopiero teraz, zostawiła J. i kilkuletniego synka, to on kiedyś prześwietlił moją głowę pytaniem: „Kim jesteś?”

Po raz pierwszy jestem na Wólce Węglowej na wielkim podwarszawskim cmentarzu. Ta nazwa okrutnie podkreśla nieestetyczność śmierci. Pogrzeby na jakich zwykle bywam są celebrowane na Powązkach. To jest ta lepsza warszawska dzielnica dla umarłych. Jak niemal nikt z moich znajomych



nie mieszka na Pradze, tak rzadko chowają kogoś na tej Wólce. Ale na Powązkach zaczyna brakować miejsca. A ten północny cmentarz, to niepokojąco płaska równina, gdzie wiatr nie ma się o co zaczepić, a z dala krzyże wydają się świeżo posadzonym lasem. Jestem w takim nastroju, że nawet podobają mi się te elizejskie pola lizane marcowym wiatrem. Pogrzeb jest z ceremoniałem buddyjskim, zapalamy kadzidła. Jakiś ceremoniał jest niezbędny, by oszukać śmierć i zakryć jej nagość. I tylko milczenie ma szansę na godność. Każde słowo, które nie jest częścią ceremoniału obnaża, że jesteśmy po tej stronie, głupio i banalnie, przejęci każdym skrawkiem swego istnienia. I nie potrafimy wyciągnąć żadnego wniosku z tego co się stało.

Nie widzę na tym pogrzebie większości autorów książek, których Elżbieta i M., tak bezinteresownie i ryzykownie publikowali. Wielu zapewne o pogrzebie nie wie, przecież zostały zerwane między nami łącza, a też nici sympatii. Kiedy rozmawiam z niektórymi towarzyszami broni z tamtego czasu, by jakoś pomóc J., on przecież ledwie wiąże koniec z końcem, ich głos matowieje i więdnie, jak dłoń damy która podaje łaskawie rękę na pożegnanie. To dygnitarze nowego czasu, niektórzy właśnie kończą budowę swoich posiadłości pod Warszawą. Nie mają czasu na głupstwa. Czasami mam wrażenie, że cała nasza dawna bezinteresowność była tylko ładnym opakowaniem psich odchodów.

Czy jestem lepszy? Zagapiłem się i nie zadzwoniłem z życzeniami świątecznymi do mojego ojca chrzestnego, wybitnego skrzypka Tadeusza Wrońskiego. Gdy przed laty odzyskaliśmy sobie nawzajem, obiecałem stały kontakt. Jego astrologiczne, magiczne myślenie, tyleż mnie intrygowało, co irytowało. Kiedy wspominałem o Wandzie Wiłkomirskiej, zagołowała się w nim agresja. Ujrzałem z naiwnym zdziwieniem, że w świecie muzyki nie inaczej niż w świecie literatury, piękno sztuki toczy kornik rywalizacji i zawiści. A przecież był takim wspaniałym skrzypkiem i pięknym człowiekiem. I już nie ma go.

„Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą” – to zdanie z wiersza poety księdza Jana Twardowskiego stało się słynne, więc wedle współczesnych miar zrobiło karierę.

Patrzę, to piękne zdanie banalizuje się krzewiąc się na po-

boczach zatłoczonych samochodami szos na reklamowych billboardach. A więc ksiądz Twardowski też jest już przerabiany na komercyjną papkę. Wyciągam wnioski z tej poetyckiej mądrości zamienionej na reklamę i śpiesznie próbuję dodzwonić się do księdza, ale nikt nie podnosi słuchawki. Zachodzę do kościoła Wizytek. Oglądam z metafizycznym lękiem na zapleczu kościoła piękny ogród, teraz ścięty mrozem i osiwiwały, jak i ja osiwiiałem. Kilkanaście lat temu siedzieliśmy tu na ławeczce, a ja stawiałem księdzu-poecie zaciekle, dziecięcy opór, domagając się bardziej przekonujących dowodów na istnienie Boga. Teraz widzę, że nie tylko ja się męczyłem na tych lekcjach, on też. Skończyły się te lekcje religii dosyć szybko, zakłopotanym stwierdzeniem księdza, że jestem wielki antytalent religijny.

Zastaję księdza w zakrystii. Z ukrycia podpatruję scenę jak ze starego holenderskiego obrazu, stworzonego pędzlem mroku i smugą światła, która pada na księdza. Siedzi przy stoliku, zanurzony w swojej sutannie, pochylony nad Biblią, a do jego głowy dopochyla się głowa siostry zakonnej w czarno-białej przyłbicy, jakby chciała ten obraz doskonale skomponować. Ksiądz nie może mnie poznać po tylu latach niewidzenia, ale czytuje co piszę, niedawno dostałem od niego taki miły list. Teraz przysiadam się, przeprosza mnie na chwilę, musi znaleźć jakiś fragment w Biblii, a ja kątem oka widzę w uchylonych drzwiach marmurowy brzeg ołtarza. Mówię księdzu, że stał się jednym z bardziej cenionych i popularnych w Polsce poetów. „Naprawdę, tak pan myśli, naprawdę...?” – patrzy na mnie spod okularów, jak dziecko, które chce mieć pewność ostateczną. Pochyla głowę i boję się, że zsunie mu się z głowy rudawa peruczka, ta peruczka wzrusza wszystkich, bo jest jakoś oczywista i wzrusza ta mała próżność księdza, podobnie jak jego potrzeba aby jego wiersze były słuchane i chwalone.

Próżność artystów, czy raczej próżność, którą rodzi sztuka, tyleż bywa wzruszająca, co żenująca. Od dawna mobilizuję się by napisać o tym jakiś większy tekst, ale boję się, że bez nazwisk to będzie bez wartości, a ich podanie zmusi mnie do zamieszkania z dala od ludzi, w podwarszawskim lesie. Ale i tak pomału zmierzam w tę stronę.

Europejski, który wyrósł w tym miejscu. Potężny, szpetny.



Prasa coraz głośniej krzyczy, że ma miejsce paraliż trzeciej władzy, tytuły wołają: „Polskie sądy podważają zaufanie do prawa”. Trudno podważać tego czego już nie ma. Prasa, telewizja, pulsują od informacji o sądowych skandalach, o bezkarności przestępców, o skandalicznie niskich wyrokach, o bezbronności obywateli. Z tego wołania wynika tylko coraz większy strach obywateli. No i co jakiś czas zaostrzony jest kodeks karny, ale przecież problem jest gdzie indziej, sądy są nieporadne, przerażone, skorumpowane. A policja w niewiele lepszej kondycji, niewydolność wymiaru sprawiedliwości zabiera im poczucie sensu pracy.

Wczoraj rodzicom mojej przyjaciółki ukradziono samochód, modnym obecnie zwyczajem złodzieje zwędzili go spod kościoła, kiedy właściciele modlili się na mszy za duszę zmarłego. Jak na ironię naprzeciw kościoła w miasteczku N. jest komenda policji.

Potem ma miejsce popularny scenariusz. Złodzieje dzwonią do gospodarza stypy, gdzie żałobnicy jedzeniem pocieszają śmierć, właściciele wozu dowiadują się, że go stracili, ale porywacze są skłonni oddać wóz za 60 milionów. Cena nie jest wysoka, samochód ma dziewięć lat. Co tu najbardziej zatrważa? Nie tylko powszechność takiej praktyki. Ale, że ofiary zastanawiają się, czy nie zapłacić? Wóz nie był ubezpieczony, a właściciele są pewni że policja nie kiwnie palcem w bucie. Wiadomość z ostatniej chwili, złodzieje dzwoniли ponownie i spuścili z 60 do 40 milionów. Wzruszone obniżką ofiary kradzieży są już gotowe zapłacić. Co dalej, wkrótce doniosę, w poczuciu, że od tych drobnych decyzji ofiar bezprawia RP, zależy w pewnej mierze przyszłość RP. I jest już finał sprawy. Zapłacili 40 milionów, samochód oddano, pieniądze zostały przekazane porywaczom, bez powiadomienia policji. I właściciele odzyskanego wozu są bardzo zadowoleni.

Oto ludzie opuszczeni przez państwo coraz częściej zaczynają współpracować nie z policją, a z przestępcami. Optymista powie, lepiej, by porywano samochody niż ludzi, ale ludzie też są coraz częściej porywani, czasami razem z samochodem. Być bogatym w Polsce, to robi się coraz bardziej niebezpieczny zawód.

Po raz kolejny, z prawdziwą przyjemnością, padam ofiarą poetyckiego konkursu. Tym razem jest to konkurs na wiersz liryczny. Poezja nadal żyje, ale z każdym rokiem na takie konkursy przybywa mniej wierszy. A poeci amatorzy zwierniają mi się, że przed znajomymi ukrywają, że piszą wiersze. Ciekawe, że nawet na uroczystości wręczania nagród nie potrafię uciec od problemów naszych sądów i prawa. Przypadek, a może nie przypadek, że wśród laureatów przeważają studenci prawa lub prawnicy. X. od niedawna pracuje w sądzie na Śląsku. Opowiada, że jest poruszona jak niskie wyroki orzeka jej sąd. Nawet za ciężkie przestępstwa zapadają kary w zawieszeniu. Poetka-prawnik nie ma dowodów, że sędziowie biorą łapówki, nie chce nawet o tym myśleć, ale potrafi pomyśleć, że oni po prostu się boją. A sama ma poczucie zagubienia, wie że powinna iść naprzód, ale zastanawia się, czy potrafi grać rolę szeryfa na dzikim wschodzie?

Za każdym razem gdy rozmawiam z młodymi, porusza mnie ich poczucie opuszczenia, nie mają żadnych autorytetów, nikogo kto by wskazał drogę, dał im oparcie. I jak łatwo się do tego przyznają, to niemal wołanie o pomoc. Jako, że sporo z ich problemów rozumiem, czasami nagle czuję, że ci młodzi zaczynają się wspierać o moje ramię. Ale ja sam przecież ledwie zipię, więc w panice uciekam. A dziewczyna, prawnik ze Śląska, mówi nagle tak, jakby cytowała słowa z jednego z poprzednich moich tekstów. „Odkryłam, że nam się tylko wydaje, że my jesteśmy zachodnim krajem, a nam przecież jest o wiele bliżej do Azji i do Rosji, chociaż sami do tego nie chcemy się przyznać. Jakże podobny jest u nas ten brak norm moralnych, autorytetów, korupcja i alkoholizm”.

Minęły bodaj trzy a może cztery lata, a wydaje mi się, że to wczoraj opisywałem, jak w pobliżu mego domu monstrualny wahadłowy młot rozbijał kino Moskwa. Ta Moskwa okazała się twarda jak bunkier, więc młot męczył się okrutnie, a cała dzielnica trzęsła się w posadach. Szkoda było mi tej socrealistycznej architektury. Jest świadectwem czasu i zyskuje z latami, można było przynajmniej zachować jakieś fragmenty budowli, wmontować je w kompleks biurowo-kinowy Europeks, który wyrósł w tym miejscu. Potężny, szpetny,



nowoczesny. Jeszcze do niedawna słowo „nowoczesny” miało pozytywny, niemal triumfalny wydźwięk, teraz ma co najmniej dwuznaczny. Szpetota Europleksu już nie razi, gdyż obok stoi zbudowany wcześniej bank PKO BP, wielkie szklane akwarium. Tak szlag trafił urbanistyczną ideę placu Puławskiego. Każdy nowy rok zdiera kurtynę złudzeń – wzrost Warszawy jest pozbawiony myśli i estetyki, dominuje wypindrzenie się. Warszawa to po Berlinie bodaj drugi największy w Europie plac budowy, czuje się bujność i rozmach, w tym oddechu nowości, w czystości materiałów mało kto potrafi urzeć, że to wszystko jest po prostu brzydkie i nieprzytulne. Mówiąc inaczej, rozmach po latach zastyga i przestaje imponować, architektura staje w całej swojej nagości. Czy wypindrzenie się zostanie jako symbol nowobogackiej Polski?

Czasami jednak odnajduję w sobie radość z dzieciństwa, gdy fascynował mnie cud odbudowy Warszawy. Ale szybko wkracza mój dorosły i okiem rozsądku widzę, że ma miejsce kolejny akt niszczenia miasta. Stara tkanka urbanistyczna niszczy i jest chaotycznie przetykana nowymi budynkami. Co z tego, że imponuje tempo budowy, a nowe technologie i materiały wymuszają pewien standard. Nie tylko stolica, wszystkie nasze miasta nie mają sensownego prawa budowlanego, ani całościowej koncepcji urbanistycznej. Do dawnego chaosu, dodajemy nowy. I trzeba znowu powtórzyć, że przyszłość obnaży bezlitośnie, że architektura nowego wieku to efektowna ałtupa, która wyblaknie, a za nasze błędy płacić będą przyszłe pokolenia. Rządzą szybkie pieniądze. Tak jest zapewne wszędzie, ale w wielu krajach rządzą względnie, gdy u nas i w krajach Trzeciego Świata, bezwzględnie. Kolosy wyrosłe w moim sąsiedztwie potwierdzają scenariusz, który powtarza się w innych dzielnicach. Nie bardzo wiadomo kto i jak daje zgodę na budowę obiektu, którego nie było we wcześniej zaakceptowanym miejscowym planie urbanistycznym. To wystarczy by cała koncepcja popruła się jak rozdarte spodnie. Dawny architekt naczelny Warszawy D. pytany kiedyś przeze mnie, czy nie przeraża go szpetota gmachu, który ma być zbudowany w dziurze po Moskwie, odpowiedział mi, że nie ma to już znaczenia skoro już stoi obok ten upiorny, szklany bank PKO BP. Dlaczego więc stanął ten bank? D. był

przecież wtedy architektem naczelnym miasta. Dowieśmy się od niego, że piastując tę funkcję nie miał żadnej władzy.

Spotykam się z W. To dobry architekt, który stworzył ładny i ludzki projekt placu Europy, na skrzyżowaniu Alei Sobieskiego i Witosą. To próba wybudowania fragmentu prawdziwego miasta, nawiązania do reprezentacyjnej zabudowy osi królewskiej. Ale cały ten plan szlag trafił. Są już decyzje o budowie pierwszego budynku, który rozpruje cały projekt. I tak jest na każdym kroku. Rządzą drapieżne pieniądze, ginie estetyka i harmonia. Miasto rozwija się chaotycznie, ten chaos był już poprzednio, ale z sumowania chaosu nie powstanie żaden ład.

A fabrykę snów w moim pobliżu nazwano Silver Screen, jakby nie można było obiektowi dać polskiej nazwy. Mógłbym tam chodzić w szlafroku i w kapciach, zachodzę jednak godnie ubrany. Bilet można zamówić telefonicznie, rozmawia się z komputerem, wciskając odpowiednie cyfry klawiatury, rezerwacji dokonuje automat. Te wszystkie cuda techniki, te luksusy, sąsiadują z moim podwórkiem, zapieczonym, zarzyganym, zasikanym, idę przez nie do tego filmowego pałacu na palcach by się nie pobrudzić. Jest tam osiem sal kinowych na dwóch podziemnych poziomach, a całość przypomina wnętrze kosmicznej rakiety, przesiąkniętej zapachem popcornu. Są kawiarnie, a niektóre sale kinowe wyposażone są w stoliki, gdzie kelnerzy roznoszą napoje i potrawy. Można zjechać na te dwa pokłady ruchomymi schodami i tak wędrując z filmu do filmu zanurzyć się w świecie fikcji, na zawsze. W tę stronę jak się zdaje zmierza cała nasza cywilizacja. A filmy, jak cała sztuka, kretynieją. Nawet te, które miały szansę być prawdziwą sztuką, ową sztukę poświęcają na ołtarzu komercji, przypomina o tym choćby ostatni film Romana Polańskiego. Natomiast znakomitym filmem jest „American beauty”, kolejny obraz, który obnaża katastrofę luksusu nowego wspaniałego świata i pustkę naszej cywilizacji – idziemy w nią, czując wszystkie zagrożenia. Droga jest wyrąbana przez potężne siły i prawie nikt nie potrafi wyskoczyć z tych kolein. A przecież jeszcze kilka lat temu ten film byłby u nas oglądany, jak jakieś zamorskie dziwadło, opowieść o dziwacznych problemach rozkapryszonych ludzi z luksusowej planety. Dzisiaj to jest też



opowieść o nas, o tej Polsce, która się dorobiła i dorabia, o tych bojujących wielu frontów wojny o dobrobyt RP. Mój syn opowiada, że film zrobił piorunujące wrażenie, na nim i na jego kolegach, którzy kończąc prawo idąc ramię w ramię wkraczają w świat szalonej pracy, w wielki wir z którego jak nowa Wenus na komputerowej muszli ma narodzić się luksusowy samochód, domek, a w zimie wyjazd na narty, w lecie w gorące kraje. W tym nowym wspaniałym świecie nie ma wspólnych spraw, nie ma czasu na czytanie książek, nie ma solidarności, jest samotność, egoizm i narastające poczucie absurdu.

Czytając wywiad ze znanym amerykańskim intelektualistą, który na zadawane mu trudne pytania często mówił „nie wiem”, uświadomiłem sobie, jak często nie wiemy, a jak rzadko do tego się przyznajemy. Myślę, że tak ludzi jak i społeczności można podzielić na takie, którym naturalnie przychodzi powiedzieć „nie wiem” i którzy tego nie potrafią. U nas „nie wiem” było i jest na wymarcu. Politycy nie znają tego słowa, ale tu powiedzmy, że to ich zawód udawanie, że wiedzą i że nigdy się nie mylą. Najbardziej nieomylnym politykiem jest Lech Wałęsa. A nasz, tak zwany zwykły naród, też zawsze wie, a nawet wie lepiej. Lepiej wiedzą robotnicy, chłopi, urzędnicy, a emeryci wiedzą też wszystko i rzecz jasna intelektualści, chociaż wychudzeni przez nowy czas, oni też zawsze wiedzą najlepiej. Przeczytałem ostatnio kilka książek-wywiadów z naszymi intelektualistami i artystami. Na zadawane im pytania nikt ani razu nie odpowiedział „nie wiem”. Nie wiedzieć, to u nas przegrać. W Polsce nie ma więcej głupoty niż gdzie indziej, może nawet z powodów historycznych doświadczeń jest tu więcej życiowej mądrości, ale jestem pewien, że trudno znaleźć miejsce na ziemi, gdzie kretyni są równie aktywni intelektualnie.

Mamy jednak obszerną elitę, przetrzebioną przez wojnę, potem przez emigrację i PRL.

A te rozmowy z polskimi intelektualistami, artystami, uczonymi, a też z ludźmi religii, które zebrane zostały w kilku książkach, są na wysokim poziomie. Uderza popularność wywiadu, który jednak jest niemal zawsze „zamiast” rzadko jest kluczem, zwykle wytrychem. Powszechność tej formy jest

bez wątpienia w ramach rosnącej rangi sztuki „ułatwiania”. I chociaż mamy, mimo wszystko, obszerną elitę intelektualną, to powiedzmy szczerze, że jak na niemal 40-milionową europejską społeczność, zdumiewająco mało z produktów naszej myśli, sztuki i nauki weszło w światowy krwioobieg.

Najlepszymi ambasadorami kultury kraju jest film i proza. Polski film jest w kiepskiej kondycji, a filmowy „Pan Tadeusz” jest filmem jedynie dla nas, humorystyczne jest rozczarowanie, że nie dostał nominacji do Oscara. Nasza współczesna proza ma wiele zalet, ale jest nudna. A uważam, że pojęcie nudne – ciekawe jest jednak istotne w sztuce, która tylko czasami potrafi pięknie nudzić. Proza ma jednak kłopot z wielkością wszędzie. Kiedy czytam książki, które otrzymały nagrody, od Nobla do Pulitzera, nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że nie dorównują one dawnej. Zwiedzałem księgarnie w kilku stolicach Europy, nie ma tam przekładów naszej literatury, w repertuarze kin – polskich filmów, w muzeach – polskich obrazów. Czy to jakaś wielka niesprawiedliwość? Boję się, że nie. I to samo jest ze sportem. Kolejny mecz polskiej reprezentacji – tym razem z Francją, ujawnia podobny problem. W polu nasi grają jako tako, ale goli strzelać nie potrafią. To są rzetelni rzemieślnicy, nie ma ani jednego wielkiego artysty.

I jest publiczne kretynienie publicznej telewizji, choćby wczorajsze wiadomości telewizyjne dosyć typowe. Pierwsza informacja, czyli informacja dnia donosi, że mała Kasia była katowana i wykorzystywana seksualnie przez ojca, następna ważna wiadomość mówi, że dwóch studentów, satanistów, zamordowało rytualnie koleżankę i kolegę. Potem jest sprawozdanie z procesu ucznia, który chodził z siekierą po szkolnych klasach i próbował mordować nauczycielki. W końcu opuszczamy granice tego przerażającego kraju i jesteśmy w Czeczenii, ale tam jest jeszcze gorzej. I oto na powrót w kraju, gdyż jest jakaś nowa afera polityczna. W końcu zmaltretowani widzowie obejrzą z ulgą prognozę pogody, pewni, że i tak się sprawdzi. I jak tu się dziwić, że rośnie w narodzie lęk. Biegam po kanałach, wszędzie ktoś kogoś morduje lub gwałci. Kilka wybitnych filmów zostanie wyświetlonych w godzinach, gdy normalny człowiek już śpi. Dobry film jest więc w naszej telewizji tylko dla cierpiących na bezsenność.



Ale ta nasza telewizja nie jest gorsza, a może lepsza od wielu zachodnich, takie czasy.

I to nieustanne małpowanie amerykańskich programów.

Podobnie szybko postępuje kretylizacja naszej prasy, komercjalizuje się w oczach. I wszystko musi być w pigułce. Piszę do znanego tygodnika tekst, właśnie mniej więcej o tym o czym piszę teraz. W druku widzę, że jedna trzecia artykułu, który od początku był skrótem, została zjedzona przez reklamę preparatu na menopauzę. Sporą jej część wypełnia uśmiechnięta buzia kobiety, której ani w głowie przekwitanie, ona kwitnie. Czytam tekst, zamiast zdania: „uderzająca jest u nas słabość intelektualna krytyki sztuki, jej amatorstwo i koteryjność. Wydaje mi się, że tak nędznego stanu krytyki nie było u nas od czasów stalinowskich” – wchodzi informacja: „Menofen, łagodzi uderzenia gorąca, nadmierną potliwość, wrażliwość, bezsenność, nastroje depresyjne”. Kiedy czytam ogryzek mego tekstu, który miał być jabłkiem, wpadam w depresję, boli mnie głowa i nie mogę zasnąć.

Kiedy przemagam się by słuchać naszych polityków, nie mam żadnych wątpliwości, że czas na zmianę. Tej sceny i tych na niej aktorów nie da się już dłużej oglądać. Problem, że nastąpi tylko zmiana ról, palanty z AWS-u zejną z przodu sceny, by ustąpić miejsca palantom z SLD. Tak myśli prosty człowiek we mnie i tak myślą miliony Polaków.

Kiedy z obowiązku pisania do *Kultury* przemagam się by słuchać sporów naszych polityków, to przepraszam za kynologiczne analogie, ale ja słyszę, że oni się obszczekują i obwarują, a nie dyskutują. I jak to w psich rozmowach, jest tam wszystko oprócz próby dojścia do prawdy. Ocalały jedynie partyjne i osobiste interesy.

Od miesięcy piszę, że każdy miesiąc niesie gwarancję co najmniej jednej kabaretowej afery ze strony AWS-u. Był już doradzający podatnikom marszałek Goryszewski, szef sejmowej komisji finansów. Była ważna persona w AWS-ie poseł Gabriel Janowski kicający w Sejmie jak królik i wydający z siebie przeraźliwe okrzyki. Najpierw twierdził, że zachowywał się zupełnie naturalnie, potem zmienił zdanie, odkrył że ktoś mu podstępnie dosypał narkotyku do napoju. Potem wybuchła sprawa ministra Jacka Dębskiego, bohatera

*Gazety Polskiej* i dziennika *Życie*. Ten dzielny rycerz prawicy, który upartymi uderzeniami kopii zrzucił z siodła komuchów z Polskiego Związku Piłki Nożnej, nagle udziela dramatycznego wywiadu *Gazecie Wyborczej*, w którym on, człowiek AWS-u, opowiada o moralnym upadku tego ugrupowania. Twierdzi, że przybył do niego jakiś dygnitarz z tej formacji pytając go – czy nie ma jakichś „kwitów” na Kwaśniewskiego, czyli byłego szefa UKFiT. Miał być szantażowany, że jeśli tych „kwitów” nie dostarczy to zostanie oskarżony o współpracę ze służbami specjalnymi. Mamy więc nowe pojęcie w języku naszej polityki „kwity na kogoś”. Wiesław Walendziak twierdzi, że Dębski to łobuz, że on ostrzegał premiera, ale wtedy Dębskiego protegował minister Tomaszewski i nie było siły. Nie wiadomo gdzie tu prawda i o co chodzi. Jedno pewne. Żelazna jest reguła nominowania na stanowiska ludzi z partyjnego klucza, często bęcwałów, szulerów, amatorów, to działa niezawodnie.

Teraz snują się jakieś żałosne próby wyłonienia z łona AWS-u i Unii Wolności kandydata do prezydenckich wyborów. Ale rewelacje Dębskiego zabierają ostatnią szansę dla kontrkandydata Kwaśniewskiego. Teraz nawet gdyby znalazły się jakieś dokumenty kompromitujące prezydenta, a to jedyna szansa dla przeciwników Kwaśniewskiego, to i tak nikt w to nie uwierzy. Jeśli więc jakiś zbłąkany meteoryt nie spadnie na głowę Kwaśniewskiego, to pewne jest jego zwycięstwo w najbliższych prezydenckich wyborach. A nasza prawica udowodniła, że nie dorosła do sprawowania władzy. Nawet prawicowa prasa zaczyna to zauważać i mówi o tym coraz śmielej. AWS, będąc zlepkiem różnych ugrupowań, workiem na całą prawicę, która ma jakże różne barwy, zaczyna przypominać worek, do którego wrzucono kilka kotów. Łączy te ugrupowania sztandar antykomunizmu, polska religijność, ze wszystkimi swoimi głębiami, ale też licznymi mieliznami, kodeks moralny odziedziczony po „Solidarności”, zamieniony w patetyczną retorykę, hasła sprawiedliwości społecznej, łatwo składane na liberalnym ołtarzu w ofierze. Jest też obrona rodziny i tożsamości narodu. To wszystko bardzo jest piękne w teorii, w praktyce nasi moralisci zamiast obrony zasad, ujawniają zapiekłą agresję, zamiast myślenia w kategorii dobra wspólnego, myślą o dobru



własnym. Na każdym kroku jest zachłanność, nepotyzm i amatorstwo. AWS jest chora na jakąś zdumiewającą polską chorobę, która przetrwała stulecia. Jest w niej szlachecka gorączka, arogancja, i soplicowskie „jakoś to będzie”, maniaccka skłonność do konfliktów, uparty brak skłonności do kompromisu, no i w końcu krwotok umysłowego niechlujstwa.

Kończy się erotyczny kabaret w naszym Sejmie. Po miesiącach bojów, gdzie najpierw pornografia była dzielona na miękką i twardą, została triumfalnie zdelegalizowana w całości głosami posłów AWS-u. Erotyczna wstydlivość jest doprawdy jednym z nielicznych ideologicznych zadań o jakie nasza prawica potrafi solidarnie walczyć. Uchwalono fikcję. A ile jest tego moralnego gadania, wyrzekania na zepsucie, które płynie z Zachodu, popularne staje się słowo „lubieżność”. To ta lubieżność jest podobno odpowiedzialna za większość naszych nieszczęść. W jednym z zatwierdzonych przez MEN podręczników do edukacji seksualnej, organy płciowe nazywa się „zapięczętowanym źródłem życia”. Kiedy widzę autorów tych kuriozalnych podręczników, oraz innych bojowników o narodową cnotę, to mają oni coś osobliwego w twarzach. Jakby ktoś ich boleśnie trzymał za delikatne miejsce i sprawiał ból. To jest bez wątpienia ta dłoń purytańskiego wychowania, gdzie erotyka była źródłem wstydu i występku. Humorystyczne jest, że zakazuje się, czego w końcu nie udało się zdefiniować. Mówi się, że ta ustawa zagraża autorytetowi naszego państwa, że będą komiczne rozprawy sądowe, ale przecież autorytet prawa jest i tak w strzępach. A pornografia będzie łatwo dostępna w internecie i spod lady. Ale jest szansa, że mafia uzyska nowe, łatwe źródło dochodu. A postkomuniści zapewne znowu zarobią kilka procent głosów. Polacy bywają konserwatywni, ale nie znoszą by im czegoś zabraniać. Kogo nie spotkam, kręci z politowaniem głową.

Nawet pani Frania, która u mnie czasami sprząta, chociaż nieustannie biega do kościoła, chodzi na pielgrzymki a nawet myjąc moje szyby nuci pieśni nabożne, zaakceptowała różne nagości, które wiszą w moim domu. Każda jej wizyta to fala energii, która obmywa mój dom i jakaś zabawna opowieść. Tym razem mówi, jak to chodzenie do lekarza grozi śmiertelną chorobą. I że nigdy w życiu nie dała się zaciągnąć

do ginekologa. Raz ciągnęli ją prawie siłą, ale gdy ujrzała, że w gabinecie jest taki wielki chłop, to uciekła. Jak widać, jej zdrowy rozsądek ma swoje granice. Prosi mnie o wyjaśnienie pewnej kwestii. U niej na wsi ludzie mówią, że obcy wykupują Polskę. I tak mówi Radio Maryja. Szkody jakie w polskich głowach wyrządza ta katolicka rozgłośnia są doprawdy trudne do oszacowania.

Mój przyjaciel malarz i muzykolog bada od lat naszą wieś, śledząc dawne tropy muzyki ludowej. Widzi, że mimo biadolenia i narzekania, ludziom na wsi poprawia się. Pamięta czym wieś zajeżdżała pod kościół kilka lat temu, widzi czym zajeżdża teraz. Już niemal we wszystkich domach jest hydrofor, lodówka i obowiązkowo stoi kolorowy telewizor, zawsze włączony. Ale postępuje degradacja kulturowa i alkoholowa wsi. A jak się zbierze ludzi przy stole, jak się postawi alkohol i jedzenie, jak się naród naje, napije jak się rozkrochmali, to wtedy powie: „Oj, panie, nie da się w Polsce zrobić nic. Nie ma panie szansy... rządzą Żydzi i Kościół.” Czy nie jest to wzruszający powrót chrześcijaństwa do swoich źródeł?

SMECZ

## Kartki ze skazonej strefy

Bóg obdarzył mnie tchórzostwem ponad normę. Podnoszę krzyk na widok myszy, żaby, pajaków, os, pszczoł, a wobec ludzi, na których mi zależy, coś mnie paraliżuje, i nienaturalnie nadrabiam miną.

Zdarza się co prawda, gdy mnie poniesie, że zapyskuję w imieniu słusznej sprawy, ale na ogół niecelnie, bo „na emocjach”. U ludzi boję się ich odrzucenia, ich krytyki, ich „nie”. Żeby nie rozwlekać: jestem zakompleksiona. W starszym wieku doszedł lęk fizyczny. Polska nie jest krajem bezpiecznym,



więc boję się bandyty. Gdy wracam sama wieczorem, torebkę zawieszam na szyi pod paltem, zapinam starannie guziki – babcia w ciąży.

W równym stopniu co napadu boję się doktora. Przed wizytą u lekarza ogarnia mnie histeryczne uczucie lęku – idę po wyrok. Dlatego tak wiele chorób przechodziłam bez porad, z fatalnym dla zdrowia skutkiem. Nie muszę dowodzić, że strach jest chyba najniższym uczuciem, jakiego może doznać istota żyjąca. Toteż od czasu do czasu postanawiam coś z tym zrobić, odważyć się i postawić zwycięską stopę na paszczy węża.

Tym razem zdecydowałam się, mając w odwodzie ucieczkę. Nie uciekłam.

W oznaczonym dniu stanęłam przed świtem w kolejce podobnych mi osób w czymś swojskim, przypominającym pomieszczenia użyteczności publicznej doby PRL-u. U sufitu nieczynne świetlówki, jedna kaprawa żarówka mocy 25 watów, nigdzie usiąść, senny strażnik zajmował ławkę; wyżej napis: „zdać broń” (szpital wojskowy), Typowa Izba Przyjęć. Tak wtedy, jak obecnie. Żadnej zmiany. Skansen.

Za zakratowanym okienkiem rejestratorka odbiera papiery. Palce zawieszane nad klawiaturą komputera bezradnie szukają właściwych liter; widać, że nigdy nie umiała pisać na maszynie. Dali jej do ręki nieznany oręż...

Po przejściu śluzy Izby Przyjęć otwiera się jednak inny świat. Tonę w szeleszczącej krochmałem śnieżnobiałej pościeli, obiegana przez pielęgniarki. Któraś z nich przynosi sąsiadce cztery pary spodni piżamowych: „córka dzwoniła, że te, które pani wzięła, są za długie, więc proszę przymierzyć inne...”

Kontrast nie dziwi. Taka właśnie jest Polska. Zło poprzepłatane – dobrem, sens – bezsens, czystość – brudem. W szpitalu widać ten przekładaniec jak w retorcji doświadczalnej. Obok najnowszej operacyjnej aparatury i francuskich soczewek stoi sprzęt, który jak stary telewizor, trzeba kopnąć, żeby zadziałał. Byłam świadkiem jak robili to lekarze z maszyną do monitorowania akcji serca czy obserwacji dna oka. Kopali, stukali, wściekli, że muszą pracować na czymś takim.

Jednakże, ten stan rzeczy ma również swoje dobre strony: konieczność zmusza naszego lekarza do liczenia wyłącznie na

siebie; wie, że nie może zawierzyć maszynie, więc jest czujniejszy i wszechstronniejszy od lekarzy w krajach, gdzie sprzęt rzadko się myli.

Do szpitala wzięłam prócz bielizny osobistej i szlafroka, ręczniki, sztucce, papier toaletowy. Wszystko mąż zabrał z powrotem do domu. Były na miejscu. W szpitalu sąsiednim – każdy musi mieć własne. Przygotowałam specjalną portmonetkę na drobne dla salowych. Nawet jej nie otworzyłam. Tu pieniędzy nie biorą. Gdzie indziej przy podaniu basenu salowa wyciąga rękę...

Moja towarzyszka niedoli – na razie jest nas dwie na sali – ma 80 lat, jest lekka i drobna, siwe loki okalają głowę, jasną cerę, z zasnutych białą mgłą oczu przebija niebieskość. Musiała być śliczną blondynką. Księgowka. Emerytura 700 zł (kurs dolara: 4,16 zł). Córka inżynier magister, zięć inżynier magister, oboje absolwenci Politechniki Warszawskiej. Oboje rzucili pracę w instytucie doświadczalnym i handlują na bazarze używanymi ciuchami kupowanymi na worki. Lepiej na tym wychodzą. Nie dziwimy się obie, nie komentujemy. Przywykłyśmy. Taka jest Polska.

Nigdy nie nosiła okularów. Zaćma spadła na nią nagle. Sięgnęła po pudełko z szyciem (bo szyła) i już mowy nie było o nawleczeniu igły. Oślepiła całkowicie. W Centrum Okulistyki zwodzono ją przez pięć lat, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc odwołując ustalone terminy operacji. Aż trafiła tutaj, do Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej, gdzie ją przyjęto w trymiga. Mówimy o tym bez emocji jak o sprawie normalnej. Tak u nas jest. Żle. Ale w tym źle istnieje mnóstwo dobrych okienek, trzeba ich szukać i mieć trochę szczęścia. Właśnie je znalazłyśmy.

Nad czym jednak szeregowy Polak nie może przejść do porządku dziennego, to zatrzważający wzrost cen leków. Przed reformą refundacja za lek o cenie, przypuśćmy, 40 zł, wynosiła złotych sześć. Tyle płacił pacjent. Dziś ten sam lek też jest refundowany, tylko że od ceny odlicza się 6 zł., czyli że pacjent płaci 34 zł. Słowo „przekręt” w postaci dosłownej. Tak sobie wymyśliły Kasy Chorych. Cynizm? Nie sądzę. Za mało inteligentni na cynizm. Raczej prymityw. I ufna wiara, że stoi przed nimi społeczeństwo idiotów, które ten manewr kupi.

Facetowi, któremu stłukły się okulary, cały dzień zabrało



zbieranie odpowiednich pieczętek, żeby móc je nabyć z ulgą. Wybrał najtańsze za 100 zł. Kasa zrefundowała mu 5,40 zł. Więcej kosztował transport miejski, jakim przemieszczał się zdobywając pieczątki.

Do specjalistycznej placówki osób ciężko chorych na serce przyjeżdżał pacjent z Łomży. Po poprawie nastąpiło nagłe pogorszenie. Lekarka powiedziała: „Wie pan, zmienię panu zestaw leków”. „Czy na tańsze?” „Nie”. „To proszę nie zmieniać, bo ja tamtych już nie byłem w stanie wykupić...” Sondaż wykazały, że po reformie ubezpieczeni Polacy płacą za leki najdrożej w Europie.

Powróćmy do zaćmy. Oczywiście, można iść zoperować się do prywatniarza za ciężkie pieniądze. Ale ilu na to stać? Ludzi z zaćmą w Polsce przybywa w zaskakującym tempie. Obiecują nowe centrum okulistyki. Ale już zastrzegają, że tylko co trzeci pacjent dostanie soczewkę (czyli wada zostanie usunięta trwale). Dwa konie przepuszczamy, a jednego zatrzymamy. Na kogo wypadnie na tego być.

Sam zabieg jest czystą przyjemnością. Mówię poważnie. Przez pół godziny jestem w polu zainteresowań kilku fachowych osób. Ukłucia zastrzyków delikatne jak pieszczota, wygodne leże jakby na szezlongu, a potem już tylko kolorowy kalejdoskop w jednym oku. Gdybym mogła, już lecę robić drugie. Ale niestety, nawet w tym przez nas znalezionym świetnym „okienku” terminy oczekiwań wydłużają się. Złowroga Kasa Chorych zapuszcza i tu macki redukując ilość zabiegów.

Zabiegi kosztują, a biurokracja Kasy potrzebuje pieniędzy na rozrost biurokracji. Płacą swoim urzędnikom daleko więcej niż wynoszą gáže chirurgów i ordynatorów. Nie znajduję wytłumaczenia dla tej niewspółmierności. Ale wiem, że ludzie takiej sytuacji długo nie wytrzymają. Przepisuję dane z prasy: Pięć lat temu w czterech województwach obejmujących dzisiejszy teren województwa lubelskiego w imieniu wojewodów 14 osób dzieliło budżet państwa na poszczególne placówki zdrowotne. Obecnie lubelska Kasa Chorych zatrudnia 150 osób i kupuje to samo, co poprzednio kupowali lekarze wojewódzcy. Lubelska Kasa Chorych zapowiada dalszy wzrost kadrowy. Po co? W biurokracji próżno szukać logiki. Na początku reformy każdy Polak dostał elegancką książeczkę,

coś *à la* kwitariusz w białej oprawce. „Niech to pani wyrzuci, to już nieważne”, mówi lekarz.

Co o tym myśleć? Po prostu: Leczymy się jeszcze dlatego, że istnieją medycy, dla których zwykłe spełnienie obowiązku znaczy więcej niż biurokracja. Po to szli na medycynę.

Mąż wynajął mi na noc pooperacyjną pielęgniarkę. Stawka 150 zł. Osobę wyznacza przełożona według ustalonego porządku. W zasadzie nie była mi potrzebna, ale potraktowaliśmy to jako formę gratyfikacji wobec faktu, że do kieszonki nie biorą. Przemiała dziewczyna. Przegadałyśmy pół nocy. Lat 36, w zawodzie 14, doświadczona i na internie, i na chirurgii. Pensja 650 zł. Mąż wojskowy, po Akademii Sztabu Generalnego, gaza 1200 zł. Przygotowuje się do państwowego egzaminu z angielskiego. To pierwszy próg na wyjazd do Kosowa. Ale niewystarczający. Chętnych jest wielu, trzeba mieć dojścia i tu zaczynają się schody. „Boże, jakbym chciała, żeby wyjechał” – wzdycha. Cała pensja zostałaby w domu, a on by tam jeszcze dostał żołd. Może by jakoś wyszli na swoje. Mieszkają w bloku z dwojgiem dzieci na 30 m kwadratowych, na liście do zamiany mieszkania mają numer 616. Kiedy to będzie? Jak pójdziemy na emeryturę. Za przedszkole córki płacą 80 zł. Sama rytmika kosztuje 30 zł. Prosiła: „skreślcie ją z rytmiki”. Nie chcieli. Obowiązkowa.

– Tylko Kosowo może nas uratować – konstatuje.

– Ale tam niespokojnie – mówię.

– Wojsko nie jest od spokojności.

Stoję w kolejce do prysznicza. Długo. Cisną się młodzi chłopcy z ręcznikami i stoją pod prysznicem wieki, zupełnie jak mój wnuk w Ameryce. Stał pod lejącą się wodą i stał. „Jak on tak może?” – pytałam syna. Może. Prysznic odstręsuje. Wszyscy amerykańscy chłopcy tak robią. Ale ci tutaj nie byli amerykańskimi chłopcami. Byli ze Szkoły Lotniczej w Dęblinie na obserwacji. Na internie, neurologii i u nas, na okulistyce. Lotnicy muszą mieć organizm w najlepszym gatunku...

Leci w telewizji serial dokumentalny pod tytułem „Ka-



waleria powietrzna”. Ekipa ulokowała się w 25. Dywizji Desantowej w Tomaszowie Mazowieckim i rejestruje życie rekrutów jak leci. Z kilkudziesięciu chłopców tylko kilku zakwalifikuje się do tej doborowej jednostki. Już pierwsze odcinki wywołały burzę opinii społecznej. Wobec tego program przeniesiono na późne godziny wieczorne. Strzelił z ciężkiego działa główny kapelan, biskup Głódź i, co mu się niestety zdarza – jak kulą w płot. Napytał sobie biedy, bo realizatorzy chcą go skarżyć za pomówienie. Otóż zarzucił im, że to, co dzieje się na ekranie, jest zohydżającą fikcją, bo w wojsku jest ślicznie-pięknie, a już żeby ktoś grubym słowem rzucił, zachowaj, Boże!

Otwieram telewizor, widzę kaprała, przed nim drużyna: „to jest, kurwa, szczoneczka do zębów. Nakłada się, kurwa, pastę i kurwa, szoruje zęby nie tak, kurwa, ale, kurwa, tak...”. Następuje pokaz. W miarę instruktażu utrzymywania higieny osobistej głos mówiącego podnosi się *crescendo* do wrzasku a ilość „kurew” wzrasta. „Codziennie, kurwa, prysznic, codziennie, a jak któremu nie starczy, to, kurwa, i z cztery razy. Wojsko, kurwa, ma nie śmierdzieć, ma, kurwa, pachnieć jak, kurwa, kwiat. Zrozumiano, kurwa?!” „Tak jest, panie kapralu!” „Jak ma wojsko, kurwa, pachnieć?” „Jak kwiat!” Wymarsz na ćwiczenia w mundurach maskujących, twarze w czarnym smarze; „kurwy” jako przerywniki rywalizują z komendami i ze zwrotkami czegoś, co trudno nazwać piosenką. Głosy coraz bardziej schrypnięte od wrzasku, rżężą.

Rozmowy indywidualne. Ten sam kapral w innej roli. Miły, do rany przyłóż. Autentycznie ciepły. Pytania o wykształcenie, zawód, dziewczynę, czy się w wojsku podoba. Odpowiedzi raczej wymijające; zdarzają się pozytywne; chcą na zawodowców i do wyjazdu; nie kryją, że dla chleba. Blondynek mówi, że mu się zdecydowanie nie podoba. Dlaczego? Za dużo krzyku. Ale chce się nauczyć skakać ze spadochronu. W wojsku nie zostanie. Jeden z odpytywanych okazuje się być hydraulikiem. I tu się kapral zbiesił, ale bez gniewu: „i ty mi, kurwa, mówisz, żeś, kurwa, hydraulik, a ja tu, kurwa, brygadę sanitarną ściagam do, kurwa, kibli, coście, kurwa, gnojki, zatkali...”

Rozmowa z młodzieńskim porucznikiem po West Point. Wojsko siedzi, oficer chodzi między ławkami jak nauczyciel.

Świetna prezencja, głos spokojny, nie słyszy się w nim arogancji, jaka podobno cechuje oficerów szkolonych w USA. Przedstawia poborowym dowództwo z nazwiska i wykształcenia. Wszyscy pobierali nauki w renomowanych amerykańskich uczelniach wojskowych. Wymienia je. Następnie tłumaczy założenia ich jednostki. Mówi, że na początku będzie im trudno, i fizycznie, i psychicznie. Że będą tęsknić za domem, że nie będą mogli znieść trudu ćwiczeń, ale tak trzeba, żeby wyrobić w sobie odpowiednie odruchy bojowe. Krzyk jest celowy; ma podnosić poziom adrenaliny. Na ćwiczeniach muszą czuć się jak w rzeczywistym ataku. „Zrozumiano?” „Tak”. „Mówi się: tak jest”. „Tak jest, panie poruczniku!” „Kurwa” w monologu porucznika się nie pojawia.

Lubię ten serial. Wulgaryzmy nie są dyktowane agresją wobec żołnierzy; występują jako przerywnik mowy. Wcale nie gęściej stosowany niż w cywilu. Wszędzie tam, gdzie się zbierze grupka młodzieży, na podwórku, w autobusie, gdy wracają ze szkoły, „kurwy” latają równie gęsto. I tam – w otwartych miejscach publicznych – nie tyle mnie rażą, co niepokoją. Nie dlatego, że w tym stylu młodzi ze sobą rozmawiają, tylko dlatego, że nie mają słuchu na innych będących razem z nimi. Zamknęci we własnym kokonie, który jest dla nich jedynym światem. Jest to coś więcej niż brak kindersztuby. Coś niebezpiecznego. Zobaczymy, jaka roślina z tego wyrośnie.

Zaroilo się w naszej szpitalnej sali. Wszystkie łózka zajęte. Sąsiadka z prawej, półcyganka, opowiada ciekawie. Dzieci wykształcone, na stanowiskach, ona mieszka sama na odludziu, nie wyrzekłaby się tego domu i ogrodu. „Jak tuje tam pachną nocą, o, Boże...”. Niebezpiecznie, owszem jest. U sąsiadów bandziory psy wytruli, ją koleżanka bandziorów, sąsiadka-pijaczka, ostrzegła: „pani wie, oni się na panią szykują”. „To im powiedz, że jak usłyszę najmniejszy szelest, trzask gałązki – zabiję. Nie spytam, kto tam. Zarąbię siekierą. Pójdę siedzieć, ale zarąbię. Tylko im powiedz!”

– Zarąbałaby pani? – pytam.  
Patrzy zdziwiona:



– Oczywiście. Siekiera leży pod ręką, a pistolet gazowy zamówiłam w Częstochowie. Będzie czekał, jak wrócę.

Koniec gadki. Bitną koleżankę biorą na blok operacyjny. „Pryśnij pani tą swoją wodą kolońską, tak ładnie pachnie ogórkiem”, zwraca się do mnie. Prysnęłam solidnie.

W warszawskim Ratuszu kocioł potworny. Piskorski przepadł jednym głosem. Mimo koalicyjnych przysiąg, okupionych obietnicami UW, że Piskorski prezydent przygarnie jeszcze iluś tam awusiaków na ciepłe posadki. Nie dotrzymani. No i dobrze, że tak się stało. Może nasza nieuleczalna niezgoda przyczyni się, że wreszcie padnie ta chora warszawska piramida biurokratyczna i nastanie jeden komisarz. Gorzej jak teraz, być nie może. A na pewno wypadnie taniej.

Najnowszym wyczynem warszawskiej władzy była decyzja o utajnieniu obrad, podczas których oceniano rozdysponowanie przez dyrektorów służb miejskich pieniędzy publicznych. Uzasadnienie: „dziennikarze tropią sensacje i ogłaszają je w mediach”. Nie znalazł się ani jeden sprawiedliwy, który zwróciłby kolegom uwagę, że jawność działania władz samorządowych jest jednym z podstawowych kanonów demokracji.

Genialne pomysły mają nie tylko warszawscy samorządowcy. W Kielcach podjęli decyzję o budowie pomnika Chrystusa Zbawiciela Świata, który górować ma nad miastem. Statua ma mieć 71 m wysokości – żeby była wyższa od tej z Rio de Janeiro – i ma kosztować 18 mln dolarów. Argument za: „obok tej atrakcji zbuduje się trzy hotele i dwa parkingi samochodowe, co sprzyjać będzie ożywieniu gospodarczemu regionu”.

W Sejmie wymiędlili międloną od kilku lat ustawę o zakazie pornografii. Gadania było od metra. Pornografia miękka, pornografia twarda, narządy płciowe, co można, czego nie wolno. Nie dochrapano się definicji. Uchwalono ustawę zakazującą pornografii bez skonkretyzowania, co nią jest. Sprowadzać się to będzie do zakazu druku i rozprowadzania

„świerszczyków”. Idealne pole do nadużyć, przekupstw, podziemia handlowego i dodatkowe obciążenie ledwie dyszącego sądownictwa. Prewencja znikoma. Wystarczy spojrzeć na las anten satelitarnych na domach, żeby przekonać się o dostępności tego wszystkiego, co Europa nadaje, nie wspominając internetu.

Pornografię uważam za coś szalenie nudnego. Tear z tektury. Nużą mnie dozwolone sceny łóżkowe w masowych filmach swoim banałem, sztaampą i fałszem. Więc może nie powinnam zabierać głosu w tej kwestii. Szkoda mi jedynie sejmowego czasu, śmieszności i podeptania hierarchii rzeczy. Około 200 ustaw w sprawie Unii Europejskiej leży w Sejmie odłogiem a nasi reprezentanci zajmują się czymś tak pozorowanym!

Dla sprawiedliwości. W tym samym czasie powstała w Sejmie ustawa karząca srożej pijanych kierowców. Nie wiem, czy najlepiej pomyślana, ale jest rzeczą bezsporną, że coś w tej sprawie trzeba było zrobić.

*Signum temporis.* Akcjonariusze „Towarzystwa Emerytalnego Zurich-Solidarni” postanowili wykreślić z nazwy ostatnie słowo. Wedle badań marketingowych słowo „solidarni” odstręczało spodziewanych klientów.

Nie mam wyczulonego poczucia własności i poczucia miejsca. Wprost przeciwnie; mogłabym mieszkać w hotelu. Jedyнным punktem na mapie, do którego ciężę, jest podwarszawski dwór, Obory, znajdujący się w gestii Fundacji dwu związków pisarzy. Służy pisarzom i tłumaczom jako tak zwany dom pracy twórczej. Ma swoją żelazną klientelę, ludzi „uzależnionych” od Obór. Dzięki kierownikowi, Arturowi Czestyńskiemu, Obory nie potrzebują żadnych dotacji. Pracują na siebie, na renowacje i konserwacje poprzez urządzenie zjazdów i wesel.

Dwa pierwsze tygodnie sierpnia (pogoda murowana, sprawdzona na pielgrzymkach) należą do Obór. Muszę tam



być i mieć w oczach wciąż to samo: oficynę, gdzie śpimy, pałac, gdzie jadamy, ganek, gdzie plotkujemy, rosarium, skąd widok z prąctwem, no i na nas, stałych bywalców. Do niedawna – na postać Mariana Brandysa na ławce w cieniu; biała czupryna kontrastująca ze smagłą cerą; na Annę Strońską, w kapeluszu z szerokim rondem, strażniczkę miejsca, bo pilnującą włości lepiej niż stróż; na „profesórki”, panie Janion i Witkowską, no i na Artura.

Jest kierownikiem, który podniósł dworzyszczę z niebytu. Należy do pejzażu jak małe okrągłe wierzby litewskie przeglądające się w stawie. Widać go wszędzie. Dla większości stanowi niezbywalną część Obór, ich bezpieczeństwo i trwanie. I oto nagle Zarząd Fundacji dał mu wymówienie. Nie chcę wchodzić w meritum sporu, ale kilkadziesiąt osób złożyło swoje podpisy, żeby pozostał.

Ja również nie wyobrażam sobie tego siedliska bez niego. Z Obór odchodzi się tylko przez Styks.

13 marca 2000 r.

Ewa BERBERYUSZ

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

**KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

## Notatki Redaktora

W wywiadzie zatytułowanym „Ponoszę taką samą odpowiedzialność”, który ukazał się 11-go lutego w *Gazecie Wyborczej*, użyłem określenia, że „chłopa polskiego do Polski doprowadził dopiero Hitler”. Zareagował na to prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego p. Jarosław Kalinowski, przedstawiając ponadto rolę chłopów w naszych dziejach.

Przede wszystkim chcę pewne rzeczy uściślić. Mianowicie, w okresie pierwszej wojny światowej, za czasów niemieckiego gubernatora Beselera była niewątpliwie ogromna koniunktura dla polskiej wsi. Tym większa, że Niemcy grabili nie wieś, ale przede wszystkim polski przemysł. Nie było przy tym wywożenia na przymusowe roboty, jak to podaje prezes Kalinowski. Wygłodzone miasta płaciły każdą cenę za żywność i chłopci nie bawili się w filantropię. Ta koniunktura trwała przez kilka głodnych lat niepodległej Polski. Wtedy ugruntował się w miastach negatywny, jeśli nie wrogi, stosunek ludności do wsi. Tym większy, że wieś, na skutek galopującej dewaluacji pieniądza, nie przyjmowała pieniędzy i prowadziła coś w rodzaju handlu wymiennego, każąc sobie płacić przedmiotami, które jej były potrzebne, nie wyłączając przedmiotów luksusu, jak lustra czy fortepiany. Opieram to na własnych wspomnieniach a nie na jakiejś literaturze.

Teraz, co do historii. Państwo dla chłopów było synonimem Polski szlacheckiej i pańszczyzny, i trudno było mówić o jego patriotyzmie. W czasie „potopu” szwedzkiego, jeśli były przejawy oporu, to dotyczyły one obrony Kościoła przed heretykami, a nie walki z najeźdźcą. W tym czasie były pierwsze ruchy socjalne, jak chociażby rebelia Kostki Napierskiego. Co do insurekcji kościuszkowskiej to manifest połaniecki Kościuszki był tylko nieśmiałą próbą reformy. Po upadku powstania wszystkie nadania Kościuszki dla chłopskich kombatanów były drakońsko zlikwidowane. W walkach nie-



podległościowych w XIX wieku mieliśmy tylko krwawą rabację Szeli, która, jeśli była nawet prowokacją austriacką, to trafiła na dobry grunt. Po powstaniu styczniowym chłopci wydawali powstańców i byli elementem, na którym chciała oprzeć się carska Rosja. W ruchu niepodległościowym na początku XX wieku, udział chłopów w Legionach czy POW był bardzo niewielki. Niewątpliwie polscy chłopci walczyli na wszystkich frontach tej wojny, ale to nie miało nic wspólnego z walką o niepodległość. Jeśli idzie o wojnę polsko-bolszewicką to armia ochotnicza rekrutowała się głównie z elementu inteligenckiego i robotniczego i to właśnie oni wygrali bitwę warszawską. Niewątpliwie, ogromną rolę w tej wojnie i odrodzonej Polsce odegrał Wincenty Witos, który rzeczywiście był prawdziwym mężem stanu. Niestety, powstałe wtedy stronnictwa ludowe przejawiały bardzo dużą aktywność, ale nie potrafiły wypracować programu podniesienia wsi zarówno gospodarczego jak i kulturalnego. Już wtedy zaczęły występować przejawy korupcji i afer, które tak zaciążyły nad ruchem ludowym. I to było przez Witosą tolerowane. Znałem te sprawy dość dobrze, gdyż przyjaźniłem się z Henrykiem Dzendzlem, sekretarzem Witosy i najmłodszym posłem Stronnictwa „Piast”. W tym czasie bardzo żywo zajmowałem się działalnością wśród młodzieży wiejskiej, organizując imprezy kulturalne czy kursy przysposobienia rolniczego. I w tym Dzendzel, który w międzyczasie opuścił Stronnictwo, ze mną współpracował. Prezes Kalinowski, powołując się na wspomnienia Stanisława Grabskiego, pisze o spotkaniu marszałka Rydza-Śmigłego z ludowcami w Nowosielcach. Zaznacza, że spotkanie to nie miało akcentów politycznych, a było dowodem chęci walki z Niemcami. Akcenty polityczne jednak dominowały w Nowosielcach, a starania Śmigłego nawiązania współpracy z chłopami skończyły się fiaskiem. Niewątpliwie, w czasie okupacji ruch ludowy odegrał wielką i pozytywną rolę w tworzeniu Państwa Podziemnego. Ale jest nieprawdą to, co pisze p. Kalinowski, że chłopci dawali schronienie Żydom. Było, niestety, wręcz odwrotnie. Jest wystarczająco dużo świadectw dotyczących tej sprawy. Pomoc wsi dla partyzantów była stosunkowo niewielka. Ma się rozumieć wielką przeszkodą było tu stosowanie odpowiedzialności zbiorowej przez Niemców. Bataliony Chłopskie choć silnie

liczebnie nie odegrały większej roli, brakowało wyszkolenia i broni, przypominały one raczej jakieś pospolite ruszenie. O działalności ludowców na emigracji nie piszę, gdyż jest to zagadnienie osobne. Niewątpliwie, prezes Mikołajczyk odegrał ogromną i pozytywną rolę po powrocie do Polski, mobilizując do walki nie tylko wieś ale i całe społeczeństwo. No, ale wiemy, jak to się skończyło.

W zakończeniu swego listu p. prezes Kalinowski z naciskiem podkreśla, że będąc od 39 roku stale na emigracji, nie mogę miarodajnie oceniać sytuacji krajowej. Z tym zarzutem spotykam się dość często, ale nie odpowiada to rzeczywistości. Dowodem jest cała działalność *Kultury*.

W związku z listem prezesa Kalinowskiego otrzymałem jeszcze kilka listów polemizujących z moim wywiadem. Nie odpowiadam na nie osobno, gdyż zawierają one te same elementy co list p. Kalinowskiego.

W czasie swej pielgrzymki do miejsc świętych w Izraelu i w Jordanii Papież wielokrotnie podkreślał korzenie judaistyczne chrześcijaństwa, potępiając wszelkie przejawy antysemityzmu. W tym samym czasie w Łodzi dom, w którym mieszka Marek Edelman, legendarny przywódca powstania w getcie, został pokryty antysemickimi sloganami, a Edward Moskal, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej i Związku Narodowego Polskiego, zaprosił ks. prałata Henryka Jankowskiego z Gdańska na odprawienie uroczystej mszy i wygłoszenie okolicznościowego kazania w Chicago w święto 3-Maja – rocznicę uchwalenia Konstytucji. Związek Narodowy Polski bowiem od 109 lat organizuje taką uroczystość. Decyzja p. Moskala spotkała się z ostrym sprzeciwem licznej grupy czołowych działaczy polonijnych, która zaprotestowała przeciwko zaproszeniu ks. Jankowskiego, znanego z antysemickich wystąpień.

Jest się dumnym i wielbi się polskiego Papieża, ale jego wskazania są martwą literą.

Z „profesji i zamilowania” – jak sam mawiał – był histo-



Ostatni kryzys na stanowisku prezydenta Warszawy i cały szereg skandali w zarządzaniu miastem wymaga konkretnej decyzji. Moim zdaniem – które wielokrotnie w swych Notatkach podnosiłem – konieczne jest mianowanie komisarza, który by usanował sytuację. Powtarza się sytuacja z czasów dwudziestolecia. Komisaryczny prezydent miasta – Stefan Starzyński – opanował szybko chaos i doprowadził stolicę do kwitnącego stanu. W zbliżających się wyborach ta sprawa powinna być priorytetem w programach wyborczych wszystkich liczących się partii.

● Sądownictwo polskie także przeżywa głęboki kryzys. Problemem jest nie tylko powolność działania aparatu sądowego, ale również dziwna łagodność wyroków. Masy przestępstw po prostu się nie rozpatruje ze względu na „małą szkodliwość społeczną popełnionego przestępstwa”, a dotyczy to rzeczywiście spraw poważnych, związanych np. z korupcją. Odsiadujący wyroki są przedterminowo zwalniani „za dobre sprawowanie” i natychmiast popełniają nowe zbrodnie. W dużym stopniu odpowiedzialność za to ponosi p. Suchocka.

#### REDAKTOR

## Ci, co odeszli

### Andrzej Zakrzewski

Żałuję, że nie spotkałem Andrzeja wcześniej.

Poznałem Go na początku lat dziewięćdziesiątych w Kancelarii Prezydenta RP, gdzie Lech Wałęsa powierzył mu kierownictwo Biura Obsługi Politycznej. Jako wydawca, zwróciłem się do ministra Zakrzewskiego – zajętego organizacją rad prezydenckich, które stanowić miały intelektualne zaplecze głowy państwa – z prośbą o pomoc w znalezieniu funduszy na krajową reedycję kompletu *Zeszytów Historycznych*. Pomógł – *Zeszyty* dostępne są dziś w Polsce w większości bibliotek oraz w polskich ośrodkach kulturalnych w krajach byłego Związku Sowieckiego.

Byłem jednym z wielu, który pomoc od Andrzeja otrzymał. On po prostu nie potrafił odmawiać. Traktował pomaganie innym jako coś absolutnie oczywistego i naturalnego. Równie naturalnie obdarzał innych sympatią. Wszystko to powodowało, że Jemu też nie można było odmówić. Kiedy niecały rok temu poprosił mnie o pomoc w pracach ministerialnych – wyraziłem zgodę. Umówiliśmy się, że przez dwa miesiące będę społecznie pełnił rolę Jego doradcy – zostałem przy Nim do Końca.

Swoją otwartością, życzliwością i niezrównanym poczuciem humoru pozyskiwał każdego, kto miał okazję Go poznać. Chciał i potrafił rozmawiać ze wszystkimi, niezależnie od politycznej proweniencji rozmówcy. Każda rozmowa z Andrzejem była prawdziwą przyjemnością, ale i niezapomnianą lekcją. Lekcją galanterii, taktu, dowcipu a jednocześnie powagi w traktowaniu spraw państwowych.

Z „profesji i zamiłowania” – jak sam mawiał – był histo-



rykiem. Pracował w Instytucie Historii PAN, gdzie zajmował się historią ruchu ludowego. Książką „Wincenty Witos – chłopski polityk i mąż stanu” przywrócił tę postać publicznej pamięci. Opublikował też prace poświęcone odbudowie państwa polskiego („Wizje niepodległości”) oraz dziejom parlamentarizmu II Rzeczypospolitej („Prosto z Wiejskiej”). W latach 1976-1982 był Sekretarzem Generalnym Polskiego Towarzystwa Historycznego, wcześniej Sekretarzem Naukowym Komitetu Nauk Historycznych PAN.

Od pracy naukowej oderwała go działalność publiczna. W 1979 roku współtworzył opozycyjne Konserwatorium Doświadczenie i Przyszłość (DIP) i był współautorem wszystkich jego raportów, poczynając od wydanego w „drugim obiegu” „Raportu o stanie Rzeczypospolitej i drogach wiodących do jej naprawy”. W latach 1980-1982 był współtwórcą Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych i z tej racji współorganizatorem Kongresu Kultury Polskiej, przerwanej wprowadzeniem stanu wojennego.

W listopadzie 1991 roku został podsekretarzem stanu (później sekretarzem, a następnie ministrem stanu) w Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy. Był organizatorem – z ramienia Prezydenta RP – sprowadzenia do kraju zwłok gen. Władysława Sikorskiego oraz obchodów wielkich rocznic: Powstania w Getcie, zbrodni katyńskiej i wyzwolenia Oświęcimia. Jako warszawiak, syn powstańców, niezwykle wagę przykładał do pamiętnych obchodów 50-tej rocznicy Powstania Warszawskiego.

W 1997 roku wszedł z listy AWS do Sejmu, gdzie przewodniczył Komisji Łączności z Polakami za Granicą, był też wiceprzewodniczącym Zgromadzenia Poselskiego Sejmów Polski i Litwy. Na początku zeszłego roku – w trakcie służbowej podróży do środowisk polskich we Francji – odwiedził Maisons-Laffitte, aby spotkać się z Jerzym Giedroyciem. Sprawom emigracji poświęcał się z wielkim zaangażowaniem, działając równocześnie bardzo aktywnie na rzecz poprawy stosunków polsko-żydowskich.

W marcu 1999 roku przyjął nominację na ministra kultury i sztuki. Przygotował nową strukturę resortu, pracował też m.in. nad systemem pozabudżetowego finansowania kultury. Był pierwszym ministrem w III Rzeczypospolitej, który

uhonorował uczestników „podziemnego” ruchu wydawniczego, tzw. drugiego obiegu. Po dziesięciu latach od Okrągłego Stołu publicznie upomniał się o docenienie roli jaką odegrały wydawnictwa bezdebitowe (i ich twórcy) w przemianach ustrojowych i odzyskaniu niepodległości.

Na 7 lutego 2000 roku minister zwołał konferencję prasową. Dziennikarze otrzymali obszerne materiały, które opisywały całość prac Ministerstwa Kultury od chwili objęcia przez Niego urzędu. Chyba nie tego oczekiwali, ponieważ jedynym *news'em* ze spotkania w Radziejowicach było powołanie Instytutu Adama Mickiewicza, mającego koordynować promocję polskiej kultury w świecie. Nie wiedzieli, że Andrzej zegnał się tego dnia z nimi i przed nimi ze swej służby zdawał sprawę. Odszedł, po ciężkiej chorobie, 3 dni później – 10 lutego 2000 roku.

W niepodległej Rzeczypospolitej piastował wiele wysokich urzędów, choć nie był politykiem. Swoją pracę uważał za służbę Państwu, które stanowiło dla niego dobro najwyższe. Dla niego też – mimo ciężkiej choroby – pracował do ostatniej chwili. Zwykł mawiać: „ministrem się bywa”. Sam był mężem stanu.

Marek KRAWCZYK

## Ron

Rzym bez Rona? Czy to w ogóle możliwe? W ciągu wielokrotnych wizyt w Wiecznym Mieście on był dla mnie czymś stabilnym i nieodzownym, ale od 21 stycznia bieżącego roku Rona już nie ma. Umarł nagle i zupełnie nie w porę, więc właściwie nie mam już po co jeździć do Rzymu, z kim bowiem pójdę do tawerny, z kim będę obgadywać wspólnych znajomych? A teraz kiedy siadam by skreślić tych kilka słów



pożegnania nagle uświadamiam sobie jak ja mało wiem o Ronie: kim był naprawdę ten chicagowsko-rzymski przyjaciel Polaków?

Ronald Strom urodził się w Chicago, w średniozamożnej warstwie ludzi, którzy tam żyli na pograniczu *down-town* i slumsów. Wywodził się z rodziny pochodzenia szwedzkiego, ale przecież tam właśnie, na tym pograniczu warstw i nacji tworzył się wówczas ów specyficzny konglomerat, w którym coraz częściej zanikały owe kody pochodzenia, tworzyła zaś nowa formacja Amerykanów bez zamorskich korzeni. Ron zresztą niewiele na tematy rodzinne opowiadał i wiem tylko, że w jego rodzinie był też pewien Polak, o którym zresztą wyrażał się raczej kpiąco. A jednocześnie Ron miał słabość do Polaków, a także do Żydów: pamiętam jak kiedyś, wyciągając jakąś płytę ze swojej zasobnej fonoteki, pokazał jej „koszulkę”, z której na przyszłego słuchacza spoglądały uśmiechnięte twarze trzech wykonawców: znanych żydowskich muzyków uśmiechających się pocziwie: „Nie masz pojęcia jak bardzo lubię te stare, dobrotliwe twarze!”

I to dlatego u Rona spotykało się dziwne osoby: wybitnych Włochów, ale także Amerykanów, oraz osiadłych w Italii Polaków. I zawsze miał dla gościa szczególnego (a takim byłem z uwagi na nieczęste odwiedziny w Rzymie) odpowiednich partnerów do rozmów: raz była to wybitna historyczka sztuki, która zajmowała się nekropolią rodu Skaligerich w Veronie, która wyjaśniła mi, że wizerunek Cangrande I (zmarłego w 1329 r.) oddaje nie charakter, ale rzeczywisty wygląd tego condotiera, a jego rubaszny uśmiech wynika z budowy czaszki wojownika. Innym razem Ron zaprosił etnologa zajmującego się ludowymi kultami w Meksyku, który opowiadał o latawcowych zaduszkach gdzieś w jakimś grajdołku na Yukatanie.

Pytany o znajomość polskiego, Ron tłumaczył mi, że kiedy odbywał służbę wojskową, mógł skorzystać z darmowych kursów językowych, a wówczas natrafił w swej jednostce na nauczyciela („Pana Psora”), który go zachęcił do nauki polskiego. A później zachętą do dalszej kontynuacji było przeczytanie „Innego świata” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którym Ron się zachwycił. I stąd jego dalsze działania w zakresie translatorskim: jego bowiem największą zasługą dla

naszych wspólnych związków były przekłady dzieł polskich na język angielski.

Ron był doskonale zorientowany w stosunkach na emigracji, otrzymywał nie tylko wydawnictwa *Kultury*, ale także inne publikacje m. in. z Wielkiej Brytanii. Znał też bardzo wielu Polaków i miał na ich temat różnorodne opinie, wcale nie zawsze pozytywne, bo jeżeli na przykład mówił o kimś, że „jest ze strony aniołów”, nie oznaczało to wcale zachwytu, ale raczej bardzo krytyczne spojrzenie. Mnie zawsze nurtowało pytanie: dlaczego Ron tak szeroko zainteresowany w „naszych” sprawach nigdy do Polski nie przyjechał? I owszem, zawsze opowiadał, że się wybierze, że zamierza odbyć wycieczkę w takim czy innym okresie. Być może pewną rolę odegrało tu niezbyt przyjemne doświadczenie: otóż starał się on o wizę w latach 60-tych i wówczas zaproszono go do polskiego konsulatu w Rzymie, gdzie pokazano fotografię przedstawiającą Rona na spacerze z Herlingiem-Grudzińskim, a przecież wówczas jeszcze Gustaw był pisarzem zakazanym, obwołany wrogiem narodu a przede wszystkim „ludu”. Ron nie otrzymał wizy, a potem jakoś się nie układało: musiał od czasu do czasu wyjeżdżać do Chicago, gdzie mieszkała jego matka, urocza starsza pani, która była członkiem małego zespołu grającego jazz tradycyjny (później przywiózł ją do Rzymu, w którym spędziła ostatnie lata swego życia). Poza tym sądzę, że nie miał on owego ducha „Jasia-Wędrowniczka”, który mnie ganiał po świecie, że nie podejmował większych ekskursji, aby poznawać urodę naszego świata, że zaszywał się w świecie muzyki (pracował dla pewnego wydawnictwa fonograficznego), w świecie lektur.

Mieliśmy sobie jeszcze tyle do powiedzenia. Mieliśmy jeszcze tak wiele okazji, aby rozsiadłszy się w koryskańskiej knajpie na Trastevere degustować tamtejsze smakołyki. Kiedyś Ron ustąpił mi swego mieszkania w pobliżu Ponte Rotto na Trastevere i wyjechał na kilka dni do Chicago. Mieszkanie obejmowało także taras na najwyższej kondygnacji i gospodarz zalecił mi, abym codziennie podlewał pielęgnowane tam przez niego kwiaty. Czyniłem to w miarę sił i umiejętności pieczołowicie, aż tu pewnego razu stwierdzam, że na tarasie grasuje duży, tłusty kocur, który zajmuje się zjadaniem owych kwiatków. Kiedy Ron powrócił, zdałem mu



sprawę z obserwacji i zapytałem, czy nie należy wobec kocura zastosować jakichś sankcji? Ron zdziwił się ogromnie: sankcji? Przecież powszechnie wiadomo, że koty, a szczególnie rzymskie, są kwiatóżerne.

Ron miał głębokie poczucie sprawiedliwości. Nie znosił kłamstwa, a nawet „bajeru”. Jego ulubionym utworem poetyckim był wiersz Roberta Gravesa – „Persian version”, opisujący perską wersję wyprawy Dariusza do Grecji i przedstawiający otrzymane w jej wyniku łanie, jako wielki triumf militarny. Zupełnie jakby chodziło o zdobycie Groznego.

Żegnaj Ronie. Mam jednak nadzieję, że się spotkamy i to – niezwykle – ale „po stronie aniołów”.

Tadeusz CHRZANOWSKI

## Zoja Juriewa

Dnia 26 stycznia zmarła w Nowym Jorku w wieku 77 lat Zoja Juriewa (Zoya Yurieff), *professor emerita* Uniwersytetu Nowojorskiego, autorka monografii o Józefie Wittlinie oraz wielu prac o literaturze rosyjskiej i polskiej. Studentka Romana Ingardena na Uniwersytecie we Lwowie oraz Romana Jakobsona i Dmitrija Czyżewskiego na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, profesor Juriewa uzyskała doktorat na Uniwersytecie Harvarda w Cambridge w stanie Massachusetts. Była specjalistką od rosyjskiego symbolizmu, jej ostatnia książka „Kosmos Andrieja Biełego” ukaże się wkrótce w Petersburgu.

Polska literatura była również jej wielką pasją, poza książką o Wittlinie, pisała o poezji Tuwima i Wierzyńskiego, którego tom wierszy przetłumaczyła na język rosyjski. Była cenionym naukowcem i nieocenionym pedagogiem.

Anna FRAJLICH

## Kronika kulturalna

### Samotnik z Wałbrzycha

Omawiając drugi tom Mariana Jachimowicza (1906-1999) pisał Janusz Sławiński, że „zasady działające w poezji Jachimowicza są częścią składową tego systemu zasad artystycznych, jaki nosi nazwę „poetyki awangardowej” w jego ścisłym, historycznym – krakowskim – rozumieniu. Więcej nawet: w obecnej sytuacji literackiej autor „W czas chłodu” wydaje się być jedynym twórcą pozostającym konsekwentnie w tamtym kręgu. Bardziej konsekwentnie niż Przyboś, któremu by się to należało „z urzędu”. Rzecz w tym, iż młodszy od Przybosia o pięć lat, urodzony w 1906 roku, poeta debiutował bardzo późno. Pierwsze swe utwory ogłosił w prasie w roku 1946, książkę debiutancką – „Ścieżka konieczna” – wydał zaś jedenaście lat później. W chwili więc, gdy się pojawił na scenie literackiej, poetyka awangardowa zdawała się już wygasać, stawała się zjawiskiem raczej historycznoliterackim niż współczesnym. Tym bardziej, że jeden z najbardziej znaczących uczniów Awangardy, młodszy od autora „Gajów tańczących” Zbigniew Bieńkowski, dopiero szykował – po przerwie, jaka nastąpiła po publikacji „Sprawy wyobraźni” (1945) – ogłoszenie swych „Trzech poematów” (1959). Był więc Jachimowicz na swój sposób anachroniczny, lecz jednocześnie, co ważne, wyczuwał swoiste „odrodzenie” dyskursu awangardowego wyprzedzając zarówno poszukiwania poezji „lingwistycznej”, przede wszystkim Karpowicza, jak odnajdującej swe korzenie w awangardzie poezji „pokolenia ‘60” (Gąsiorowski, Waśkiewicz, Żernicki). Ale też jednocześnie warto zauważyć, że „awangardyzm” Jachimowicza niemal od początku, od debiutanckiego tomu, ma dość paradoksalny charakter z tego choćby względu, iż dzieląc np. z Przybosiem przeświadczenie o ocalającej mocy wysiłku kreacyjnego, nie dzieli zarazem awangardowego zachwyty dla osiągnięć współczesnej cywilizacji. Z pewnością też sztandarowe „trzy M” (miasto, masa, maszyna)



Peiperowskiego manifestu są dlań symbolami raczej degradacji człowieka niż jego wlotu.

Zważywszy przy tym, iż jest to poeta, który – odmawiając uczestnictwa w socrealistycznym spektaklu – po roku 1950 milknął, nie wydając niemal gotowego już zbioru debiutanckiego, jego pojawienie się po przełomie Października musiało stanowić spore zaskoczenie. Jeszcze większym zaskoczeniem było zapewne opublikowanie po latach przez Jachimowicza – wyeksponowanego w zbiorze „Jaskółki jutra” – obszernego cyklu „Mój ‘soc’-realizm”, który zaświadcza dowodnie, że naprawdę nie u wszystkich autorów „szuflady okazały się puste”, jak głosił chętnie powtarzany przez reżimową krytykę literacką slogan. Wiersze tego cyklu demonstrują nie tylko dystans autora wobec rozgrywającego się w okresie stalinowskim spektaklu literackiego, ale też ukazują jego pełen pogardy i obrzydzenia stosunek do panującego wówczas porządku politycznego, jego wyczulenie na krzywdę i pilne śledzenie realiów tego czasu, przez co stają się dowodem na to, iż jeśli się chciało wiedzieć o tym, co się wokół dzieje, wiedza ta nie była trudna do zdobycia. W datowanej na 22 VII 1950 – data to nieprzypadkowa: to wszak 22 lipca był wtedy ustanowiony „świętem narodowym” – „Kantacie stalinowskiej” przeczytamy:

*Czyje oczy patrzą ze ścian  
okrwawionych krwią twoich braci?*

*Czyje oczy szukają ran  
wielkich jak Polska głębokich jak Katyń?*

*Czyje oczy wbite w twój mózg  
w twoje serce i w twoje trzewia?*

*– Z miliona portretów patrzy szczur  
mrużąc przed światłem swoje ślepią.*

Rzecz w tym, że te właśnie wiersze nawet w popaździernikowej „odwilży” nie miały szansy na to, by ujrzeć światło dzienne. Wpisują się one natomiast w tę wizję świata, która pojawia się i w innych utworach poety: w urzeczowiony pejzaż, w przestrzeń zdegradowaną, naznaczoną kamieniejącymi miastami i oświęcimskimi piecami, wyrwaną z obszaru oddziaływania praw moralnych. Jest to jednocześnie świat zdegradowanych ludzi, społeczności tracących poczucie własnej tożsamości, jed-

nostek wyzbywających się sumień, uwikłanych w doraźne i odarte z transcendencji masowe ideologie. Tu poszukiwania Jachimowicza bez wątpienia bliskie są doświadczeniom poezji Różewicza.

W tym kontekście ocaleniem jest sztuka, poezja, kreacyjny wysiłek pozwalający odzyskać metafizyczny wymiar egzystencji. Ma więc rację Danuta Dąbrowska, gdy pisze, dokonując syntezy doświadczeń wpisanych w lirykę autora „Żelaznych studni”: „Poeta jest tu strażnikiem wartości, wyznawcą ducha i do niego należy podjęcie dzieła odnowy świata, przełamanie ludzkiej samotności i zagubienia, otwarcie człowieka na tego drugiego, Chrystusowy gest miłości i pojednania”. Ten prometeizm z pewnością da się wywieść z ducha Awangardy z tym, iż jest to już Awangarda po doświadczeniach zarówno katastrofizmu przeczwanego, jak i katastrofizmu spełnionego.

Pisząc o rozwoju liryki Jachimowicza zauważa Andrzej Waśkiewicz: „Konsekwencje opóźnionego startu dawały o sobie znać w każdym okresie. Jachimowicz usiłował niejako ‘dopędzić’, odrobić zaległości, odzyskać szansę. Jego własne poszukiwania będą się zbiegać z poszukiwaniami następców (...). Przede wszystkim z Różewiczem, z Karpowiczem (...); z chwilą gdy Jachimowicz podejmie – nawiązując do swoich wczesnych ‘katastroficznych’ wierszy – podobne motywy w wymiarach już nie metafizycznych, ale scjentystycznych, będziemy mieli do czynienia z opadnięciem fali cywilizacyjnych i atomowych łęków; gdy będzie analizował relacje człowiek-rzecz, gdy między tymi antynomicznymi bytami postawi znak równości, gdy będzie śledził reizację, uprzedmiotowienie ludzkiego bytu problemy te będą niemal własnością powszechną”. Wyłania się tu zatem obraz poety permanentnie „spóźnionego”, nie umiejącego wysforować się przed własny czas, jak to się zdarzało choćby Przybosiowi czy Bieńkowskiemu. Był niewątpliwie odnowicielem poetyki Awangardy, ale – pozostając, przynajmniej w sferze poetyckich narzędzi, w kręgu przez nią wyznaczonym – rozmijał się z tendencjami współczesności.

Czy taki obraz poezji Jachimowicza uznać należy za prawdziwy? Do pewnego stopnia zapewne tak. Lecz przecież wartość poezji nie zależy od tego czy wpisuje się ona w poszukiwania swej epoki, czy się z nimi rozmija. Ten postulat „nowatorstwa” jako odrębnej wartości sztuki Jachimowicz zdaje się od początku poddawać w wątpliwość – tu także nie jest bezkrytycznym spadkobiercą dziedzictwa awangardowego. To nie wyścig, w którym „potrząsanie nowości kwiatem” ma



decydować o randze dzieła. Samotnik z Wałbrzycha, oddalony od centrów literackiego życia kraju, uporczywie tworzył swą własną, odrębną od „nurtów” i „tendencji” wizję świata. Ten wysiłek kreacyjny stanowi bez wątpienia wartość samoistną. I godną szacunku. Sytuując się poza jazgotem aktualnych sporów, pozostając wierny własnej poetyce – choć jednocześnie pilnie śledząc to, co się w poezji współczesnej wydarzało – był i pozostał Jachimowicz wierny swej artystycznej wizji. Tym bardziej, że zakorzenianie jego dorobku w praktyce Awangardy wydaje się redukcją jej horyzontów sięgających co najmniej twórczości Norwida, co dość wyraźnie odczytać można z dialogowego zapisu, w którym podmiot liryczny podejmuje rozmowę z Poetą:

*Samą myśl zobacz  
bez słów*

*Wtedy urzeźbisz  
wszystko czego zapragnę  
i czego nawet zapragnąć  
nie potrafię  
bez ciebie*

Poeta staje się tutaj konstruktorem wyobraźni, organizatorem myśli wyprzedzającej słowo. Skazany na samotność, która jest jego stanem przyrodzonym, odwraca jednak kierunek poszukiwań awangardy: nie forma kształtuje myśl wiersza, lecz myśl formę. Postulat, by „widzieć ponad widzianym” przenosi tę poezję ze sfery konkretnego w obszar świadomości wysublimowanej, w świat wartości. One są w poezji pierwotne, są przed myślą, przed zdaniem. Można zaryzykować tezę, że Jachimowicz sytuuje się ponad sporem, jaki rozgorzał między Leśmianem a Awangardą (w tym czasie, właśnie w 1938 roku powstawały pierwsze jego utwory), w którym autor „Łąki” opowiadał się za „magią słowa”, zaś Peiper i jego krąg za „magią zdania”. Myśl jest przed słowem, przed zdaniem, jest owym tajemniczym i zarazem nieredukowalnym centrum egzystencji.

Leszek SZARUGA

## Między wierszami (II)

Świat poetycki jest dziś tak niesłychanie rozbudowany, że nie sposób niemal ogarnąć całości, co prostego recenzenta doprowadza momentami na skraj szaleństwa. Tomiki poetyckie atakują zewsząd a jednocześnie – jakby paradoksalnie – nigdzie ich nie można dostać, siłą rzeczy zatem wybory są przypadkowe. Z kolei czasopisma literackie, choć nawet decydują się na publikowanie omówień tych książek, mają również dość ograniczoną pojemność. W efekcie wydaje się, że z pola widzenia uczestników życia literackiego zginęła jakaś dotąd względnie spójna Całość, że świat poetycki rozpadł się na większe i mniejsze, czasem drobne konstelacje oddalające się od siebie w rozrastającej się bez końca przestrzeni. A do tego dochodzi jeszcze jeden, na pewno niezawiniony przez nikogo czynnik: niezdolność komentowania całości przez jednego recenzenta.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, wszakże ja przynajmniej jako ów recenzent, dążąc do wypełnienia swych obowiązków wobec literatury, a nie wobec poszczególnych redakcji czy salonów, odczuwam narastające w ostatnich latach poczucie winy wobec tych wszystkich autorów, których tomy uważam za godne uwagi, lecz na których recenzowanie po prostu nie starcza mi czasu. Poruszanie się między wierszami – różnymi wszak i często sytuującymi się na biegunowych wobec siebie pozycjach – jest zajęciem pasjonującym, lecz i nużącym: są chwile, gdy chce się z powinności sprawozdawcy z owych lirycznych podróży zrezygnować. Przyglądając się jednak rosnącej dość szybko górze książek przeczytanych, lecz z różnych powodów nie omówionych – a to dlatego, że docierały do mnie „spóźnione” i nie stanowią dla redakcji „nowości”, a to znów dlatego, że ja się z ich lekturą spóźniłem – chciałbym znaleźć jakieś wyjście z owej dla mnie niezbyt wygodnej sytuacji. Stąd pomysł felietonu, w którym owe „spóźnione” reakcje mógłbym zapisywać.

Do takich książek należy tom Aleksandry Ołędzkiej-Frybesowej „Powień tak” (Wyd. Literackie, Kraków 1998) obejmujący utwory z lat 1963-1998, ogarniający zatem trzydzieści pięć lat lirycznego doświadczenia. Już sam tytuł książki jest dwuznaczny: można go odczytywać zarówno jako demonstrację zgody, jako powiedzenie „tak” światu, ale można też odczytać w nim



zapowiedź jakiegoś dobrze przemyślanego wyznania, jako wprowadzenie w opowieść (oba znaczenia zresztą wygrane zostają w tytułowym wierszu tomu, który jest zarazem jego domknięciem). Olędzka-Frybesowa doskonale zdaje sobie sprawę ze skomplikowania owej sytuacji narracyjnej, w jakiej znalazła się współczesna literatura uwikłana w sieć przeciwstawień takich jak centrum-ubocze, tradycjonalizm-ponowoczesność, dystans-bezpośredniość itp. Napisze zresztą o tym wprost: „może gdzieś na uboczu (...)// gdzie ciężarna kotka mruczy do słońca/ i stara kobieta w furtce odczytuje w zachodnich chmurach/ słowo koniec/ może tam/ rodzi się nowy język poezji// (...) poeta – mały żuczek w trawie – widzi wszystko od dołu/ potem wzlataje – nikt nawet nie słyszał brzęczenia –/ i siedząc na liściu kasztana patrzy teraz w górę ale i teraz pod słońce”. Warto już tu zauważyć polemikę z tymi zasadami poezjowania, które każą poecie patrzeć na świat z góry: poeta w tych wierszach zawsze patrzy w górę, zawsze zatem musi patrzeć pod słońce. Owo patrzeć jest też w tej poezji swoistą opozycją wobec pisania: zmysł wzroku niejako kontroluje słowo, sprawdza jego miarodajność. Tym bardziej, że nie słowo, lecz właśnie sposób widzenia świata określa zasoby przeżycia i doświadczenia, jak w wierszu „bilans pokolenia”: „dojrzałość nadchodziła w ciągu niewielu lat/ schody urywały się nad przepaścią/ a może była to po prostu czarna dziura// to że staliśmy jest tylko złudzeniem/ co się miało okazać to się nie okazało/ ruchomy chodnik zatrzyma tylko Apokalipsa// która na szczęście znaczy tyle/ co zmierzch naszego widzenia/ i objawienie nowego”. Zwążywszy, iż mamy do czynienia z przedstawicielką pokolenia wojennego, rówieśniczką Różewicza, ta deklaracja wydaje się ważna. Owo „objawienie nowego” widzenia zapowiadane jest tu ze spokojem, bez dramatyzmu, z jakimś nawet zawierzeniem logice następstwa czasów, co jest bez wątpienia osadzone w zdystansowanej wobec współczesności poetyckiej wizji, która doraźne, historyczne doświadczenia wpisuje w przestrzeń – wykreowaną m.in. w cyklu „Idąc szybko” – bogactwa wielogłosowości kultur.

Zmysł wzroku kontroluje też słowo w poezji Bogusławy Latawiec, której najnowszy tom „Razem tu koncertujemy” (Ars Nova, Poznań 1999) kontynuuje wątki prezentowane w zbiorach wcześniejszych. Dążenie do wykreowania we wspólnym języku własnego języka, niepowtarzalnego i osobnego, jest, jak czytamy w posłowniu autorki, nawiązaniem zarówno do doświadczeń Paula Valery’ego, jak i poszukiwań Genadija Ajgiego, jednego z najbardziej interesujących poetów dnia dzisiejszego.

W tym dopowiedzeniu autorskim zatytułowanym „Głośniejsze jest to, co najcichsze” przeczytamy m.in.: „Obrazy oniryczne to azyl, w którym próbuję unieruchomić na moment wiersza to, czego boję się najbardziej, czego nie umiem nazwać, a mogę jedynie pokazać za pomocą serii prędkich, nakładających się na siebie zobaczeń, w przenikaniu, grze mroku i światła”. Dopowiedzmy: mroku i światła egzystencji. Dopowiedzenie to o tyle konieczne, że Latawiec, wierna zasadzie wstydlivości uczuć, nie wypowiada się – szczególnie w owym programowym wystąpieniu – wprost, zawsze wybiera dystans, który zdarzenia budzące emocje (choroba, umieranie – szczególnie w pierwszym cyklu zbioru) ma chronić przed prześwieceniem, jak w świetnej prozie poetyckiej „Ciemnie prywatne”: „Przed słońcem Twoich wzgórz, które idą na nas ze wszystkich stron, ocal ciemnie nasze prywatne...”. Ta wypowiedziana we śnie czy przez sen kwestia odnajduje swe echo w zamykającym tom Latawiec wierszu „My i oni”:

*Ci co kopią*

*odkrywają światła które nie potrafią zgasać*

Te światła to sygnały – tajemnicze, nigdy do końca nie czytelne – porozumienia z tymi, którzy byli przed nami pozostawiając po sobie zgubione znaki:

*Oni od stuleci gubią swoją biżuterię, zęby,*

*narzędzia*

*a my je starannie zabezpieczamy*

*aby pamiętano*

*że tędy przeszli*

Istnienie jest światłem, dotyczy to także egzystencji umarłych: ich obecność – w świetlistych znakach wydobywanych spod ziemi, odczytywanych w przestworzach, pojawiających się w snach – jest gwarantem naszej tożsamości. W takiej właśnie świetlistej wizji ludzkiej egzystencji zbliża się poezja Latawiec do poszukiwań liryki Przybosa (także w grach aliteracyjnych, jak w obrazie olśnień, lśnienia z wiersza „Planeta Ogród”: „pod liśćmi ośmiu śliw”, gdzie zgęszczenie spółgłoski „s” przynosi niemal obraz z poetyckiego w malarski), tutaj jest jej najbliższa, lecz zarazem i przekracza jej horyzont poprzez nałożenie na siebie, przemieszczenie doświadczenia jawy i snu, poprzez więc wychylenie w te obszary, jakie otwiera poetyka surrealistyczna. I zapewne nie byłoby nadużyciem poszukiwanie kontekstu dla tej poezji



w liryce z jednej strony reprezentowanej przez Mieczysława Jastruna, z drugiej przez Stanisława Piętaka.

W podobnych obszarach sytuuje się też poezja Adriany Szymańskiej, której ostatni tom „Opowieści przestrzeni” (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1999) jest próbą z jednej strony opowania doświadczenia przemijania ludzkiej egzystencji przebiegającej z nicości w nieskończoność, jak chce Pascal patronujący temu cyklowi („Prowincjałki”), z drugiej zaś sprawozdania z doświadczenia „podróży amerykańskiej” autorki (cykl „Opowieści przestrzeni”: zważmy, że to motyw w poezji polskiej powracający, czy to w wierszach Julii Hartwig, czy w poezji Grzegorza Musiała: Ameryka jako przestrzeń i jako społeczność wciąż fascynuje). W obu wypadkach światło jest podstawowym budulcem poetyckiego obrazu, jest bowiem – co oczywiste – ośrodkiem widzenia. I znów jest to – podobnie jak w omawianych tomach – bardziej poezja oka niż słowa, bardziej świadectwa niż osądu. Wszelkie znaki, jakie odczytujemy, dane są w świetle i nic dziwnego, że wiersz o znakach traktujący otwiera „słoneczny” dystych (w którym warto zwrócić przy okazji uwagę na grę głóska „ł”):

*Południe pracę w górę białym słupem światła.*

*Ze słońcem jak złoty pajak na szczycie.*

Uwagę w tym tomie przykuwa właśnie cykl tytułowy, a to dlatego, że jest zakrojony epicko, że nie tylko opowiada o przeżyciach, lecz również zarysowuje opowieść, fabułę, w dodatku zakrojoną na opis podróży pośmiertnej, w której Ameryka okazuje się jakąś monumentalną nekropolią. W otwierającym cykl „Epitafium” czytamy: „To jest może opowieść dla innej mnie – umarłej, / kiedy już całkiem przestanę być mną, / a coś w tej jasności nieść będzie dalej / ten mój ni to śmiech, ni płacz”. Owo usytuowanie „pomiędzy” – zarówno przestrzenne, jak i emocjonalne – jest znakiem rozpoznawczym tego tomu Szymańskiej, może nieco słabszego od dwóch poprzednich, ale stanowiącego chyba zapowiedź nowej poetyckiej dykcji.

„Po słowie”, jak czytamy w tytule zamykającego książkę wiersza – sytuuje swe najistotniejsze doświadczenie bohater zbioru Piotra Michałowskiego. „Za czarnym wielokropkiem” (Wyd. Kurier-Press, Szczecin 1999) to trzeci tom tego autora, którego poszukiwania wiążą się, zwłaszcza w początkach, z doświadczeniem poezji „lingwistycznej”, w szczególności tej jej odmiany, która związana jest z praktyką Barańczaka i Krynickiego. Książ-

ka, niezwykle starannie skomponowana, nie oku, lecz literze, słowu i zdaniu powierza swą prawdę. W obrazie ogrodu otwierającym zbiór Michałowskiego „wysokie żywopłoty filtrują mgłę / w ciepły szept liter”, pojawiają się „bruzdy zdań”. To, rzecz jasna, ogród nie nazbyt dobrze plewiony, w którym „plenią się cudze imperia / prawdopodobieństwa”. Lecz obcość owych „imperii” rozpoznana zostaje natychmiast. Ogród, ta klasycystyczna wyspa ładu, okazuje się pułapką, oszustwem takim samym, jak literatura, zwłaszcza poezja, która, wypełniając swe zadania, nie jest w stanie ich wypełnić, może tylko mówić o swej bezradności: „wciąż trudniej / nadążyć skurczem serca / za tętnem transmitowanej krwi / trudniej pomieścić w horyzoncie czaszki / cierpienie za miliony”.

W lustrze literatury odbija się lustro rzeczywistości – oba wzajemnie się odbijając zacierają granice między sobą, literatura staje się nierzeczywista, rzeczywistość coraz bardziej literacka. By ująć z tego cało i z godnością, bohater wciąż powtarza od nowa pointę wiersza „Ogród” otwierającego tom: „znikam / w swą minus nieskończoność / nadziei”. Tak też się dzieje w poemacie „Godzina zero”, w którym wyjściem z chaosu jest dążenie do tego by „odzyskać mowę / nie gubiąc pamięci / zachować wiarę / bez utraty twardego horyzontu / papieru // ociekać wytrwale świetlistym pyłem / jak atramentem sympatycznym / aż tajny szyfr wybuchnie zdaniem / w przekładzie doskonałym”. W pomieszaniu języków współczesności, ale i w oniemienu wobec tego, co niesie doświadczenie, odzyskanie mowy to postulat minimum, jeśli coś się naprawdę chce o świecie powiedzieć. Jeśli nie – można się schronić w mikroświatach odwzorowujących wysepki ładu: w ogrodzie poetyckim budowanym z cykli haiku, w sztucznych rajach słowa, w których „świat się toczy / kuleczką długopisu”.

Michałowski poszukuje wyjścia z sytuacji, w której poezja zaniemówiła czy oniemiała (lub mówi rzeczy nieistotne), gdy jej światy i świat, w którym żyje stają się tylko fantomami, a poszukiwanie prawdy czynnością podejrzaną. Kompromitując literaturę upomina się o literaturę czyli o rzeczywistość. Poezja to rozpaczliwa „destylacja słów / w poszukiwaniu formuły / czystego światła”. Jest w tym widoczny dramat starcia kreacyjnych możliwości poetyckich z poczuciem – mimo wszystko – jakichś wykraczających poza „literackość” powinności literatury. Te wykoncypowane, świadome swych możliwości wiersze wcale nie są zatem świadectwem bezwzględnej wiary w poezję.



## Maruda polska

Pierwszą marudą polską była ta osoba, którą wyręczył bohater słów: „Dać, ac ja pobruczę a ty poczujaj”. Były to pierwsze słowa zapisane w języku polskim w 1270 roku w „Księdze henrykowskiej”. Wypowiedział je czeski osadnik, zapisał niemiecki mnich, a w transkrypcji łacińskiej wyglądały tak: *day ut ia pobrusa, a ti poziwai*. Oznaczały mniej więcej tyle, co: „Przestań zrzędzić, teraz ja pomieję a ty odpocznij (lub) zjedź” (zdania badaczy są tu podzielone).

Uwagę tę, zapisaną w średniowiecznej kronice klasztoru cystersów, wypowiedział mąż do żony, a dokładnie pierwszy właściciel Henrykowa nad Oławą, Czech imieniem Boguchwał, do swej ponoć niezdarnej lub leniwej żony, która stała przy żarnach i mełła zboże. Słowo *pobrusa*, czytane jako „pobruczę”, wzięło się od „bruczenia” pracujących żaren. A może oznaczało „mienie ozorem”?

Nie wiadomo, czy Boguchwał zastąpił swoją marudę, czyli żeńską połowę, w pracy czy w marudzeniu. I czy był to odruch wynikający z solidarności czy ze zniecierpliwienia. Owa przejściowa sytuacja (zastępowania marudy) stała się, jak to u nas, tradycją. Przez to nie sposób dziś dociec, czy maruda jest kobietą, czy mężczyzną i czy pracuje, czy tylko zrzędzi. Wiele wskazuje jednak na to, że cechy klasycznej marudy polskiej bardziej zdecydowanie i bezwzględnie (mężnie?) przejawiają Polacy niż Polki.

Maruda polska wzarła się w naszą historię od samego jej zarań. Tak, że nie wiadomo już, co było pierwsze: maruda czy powód do marudzenia. Wersja obrazoburcza mówi, że im bardziej byliśmy zdradzani, najeżdżani i rozgrabiani przez samych tylko złych sąsiadów – tym bardziej uwznioślały się i kwitły nasze najwymowniejsze marudy. A i tak w końcu wychodziliśmy na swoje. Aby... dalej marudzić. Choć – bez cienia wielkich klęsk – z mniejszym talentem.

Obowiązkiem marud narodowych było odmalowywanie żałobnych landszaftów i klepsydr z aniołami w roli głównej. Im który bardziej nabajdurzył i oderwał nas od rzeczywistości – tym większy zdobywał laur i spiz. A życie płynęło gdzieś swoim nurtem, zamknięte w szarej strefie. Z owego niedowierzania sobie

stało się narodowe cierpiętnictwo tylko sztuką dla sztuki, językiem na wyrost i bez pokrycia.

Język nasz ukształtowany (poddany hibernacji) przez takie marudy, stał się obowiązującym wzorem. Dlatego w co drugim polskim słowie istnieje pokusa stosowania cudzysłowa. To stało się powodem, że najżywiej brzmi po polsku satyra i ironia.

Owo wykrzywienie spowodowało, że w większości przypadków w naszym języku daje się słyszeć jojczenie mazgaja, babski jazgot, protekcyjnalna połajanka i nadęty spicz. Mówimy tak, aby nic nie powiedzieć, a raczej odwrócić uwagę.

Język nasz jest gdzie indziej niż my. Język marudy stał się narzędziem handlu (czytaj: propagandy i polityki), pobożnych lub złych życzeń. Jest twierdzą polskiego zabobonu. Któż by nie znał dziś marudy polskiej: owego gładzenia o ciągłych trudnościach przejściowych, biadolenia nad wyjątkowo ciężkim losem, gorzkiego uzalania się, obnoszenia listy klęsk niczym orderów, teatralnego rozrywania szat.

W fazie wstępnej, gdy maruda owija nas sobie wokół palca, uzyskujemy wszystko to, co chcemy, każdą obietnicę, nie wyłączając gruszek na wierzbie. Jakiś czas potem słuchamy o tym, że mamy do czynienia z osobistym lub spowinowaconym i niedocenionym bohaterem, jedynym i wykorzystywanym żywicielem rodziny, że prześladowają ją: wyjątkowy kac, pech, plagi, choroby, trudne dzieciństwo, niesprawiedliwości i ubóstwa wszystkiego – z brakiem czasu włącznie. Maruda właściwie nie może, ale robi dla nas wyjątek i zobaczy co da się zrobić. Będzie nas potem zwodzić w nieskończoność.

Znamy wstępne problemy, aby z marudą się dogadać, umówić i cokolwiek potem wyegzekwować. Maruda polska podbija w ten sposób swoją cenę. Uzyskuje ją dzięki swej nieuchwytności. Mknie przez rzeczywistość niczym kombajn przez dorodne zboże. Dziwne jak maruda z pozycji jęczącej przeistacza się w jednej chwili w lichwiarza, egzekutora, buchaltera i szefa, który dyktuje trudne warunki i snuje plany wielkich przekrętów.

Maruda jak nikt inny potrafi prześlizgnąć się przez kłopoty, wyzebrać łaskę, wymękolić protekcję, by potem w innym otoczeniu barwnie opowiadać o swoim cwaniactwie i heroizmie. Takie też marudy wybieramy na urzędy, a one wnoszą tam kapitał swoich popleczników, znajomków i geszefciarskich umiejętności.

Maruda łączy w sobie wszystkie jak popadnie polskie cechy, od chłopskich, żydowskich i sarmackich poczynając. Jest to umiejętność grania wielkiej ofiary, rżnięcia głupa i wyciągania



żebraczej ręki, połączone z bizantyjskim talentem do handlowania, racjonalistycznym dobijaniem targu i wysokim poczuciem dumy, godności, honoru i wiary w Boga. To wszystko tylko po to, aby wyjść na swoje. Z większym lub mniejszym zyskiem.

Jednym z charakterystycznych synonimów marudy polskiej w epoce komunizmu był fachowiec. Owo połączenie niekompetentnego aroganta, z czymś fatalnie nieuchronnym i niezastąpionym. Fachowiec mógł z nami zrobić co chciał. W razie czego podnosił larum, usprawiedliwiał się jak uczeń, kajał i bił w piersi, zwał winę na nieobecnych, obiecywał poprawę lub naprzemiennie groził, że odejdzie, obrażał się, dąsał, podbijał cenę – i dalej robił swoje.

Dzisiaj, jak wiemy, mamy wokół samych fachowców. Aby jakoś przeżyć, wszyscy musimy udawać, że nimi jesteśmy.

Musimy też udawać, że jest gorzej niż jest, bo to nam się opłaca. Ciągle brakuje nam powodów, aby uwierzyć w to, że nasza władza stoi po naszej stronie. Jest to raczej pojedynek dwóch marud. I my, i oni udajemy, że nic nie mamy. Aby pokątnie handlować tym, czego nie ma.

Władza w Polsce nie jest po to, aby służyć państwu i społeczeństwu, lecz jest rodzajem marudy, który służy tylko sobie.

Maruda polska potrafi być męcząca. Robi sobie wrogów, budzi agresję, a tymczasem jej marzeniem jest, aby ją lubić, pogłaskać po głowie, wziąć za rękę, a do ręki włożyć odpowiednią zaliczkę.

Marudę polską podczas pracy najczęściej boli głowa lub brzuch. Mimo to pracuje, robiąc dla nas heroiczną grzeczność. Jest to tzw. cierpiętnictwo za miliony.

Maruda polska jest niebezpieczna, fałszywa i przebiegła, dlatego wszyscy wolimy ją mieć po swojej stronie. Może odwdzięczy się jakąś fuchą. Tolerujemy ją, podejmujemy, gramy narzuconą rolę, ułatwiamy bezkarność, obserwujemy i czekamy na moment, aby w końcu pod jakimiś sztandarami przejąć jej miejsce. Owo historyczno-kabaretowe zawołanie „Oj, niedobrze, niedobrze...” – łączy polskie marudy na śmierć i życie.

Strzeżmy się marudy polskiej, strzeżmy się nas samych.

*Jarosław KAJDAŃSKI*

## DZIEKUJĄC ZA OSKARA ANDRZEJ WAJDA POWIEDZIAŁ:

Będę mówił po polsku, bo chcę powiedzieć co myślę, a myślę zawsze po polsku.

Przyjmuję tę zaszczytną nagrodę jako wyraz uznania nie tylko dla mnie, lecz dla całego polskiego kina.

Tematem wielu naszych filmów była wojna, okrucieństwa nazizmu i nieszczęścia, jakie niósł ze sobą komunizm.

Dlatego dziś chcę podziękować tym wszystkim amerykańskim przyjaciołom Polski i tym moim rodakom, którzy doprowadzili nasz kraj do wielkiej rodziny demokratycznych narodów zachodniej cywilizacji, do jej instytucji i struktur bezpieczeństwa.

Gorąco pragnę aby jedynym ogniem, którego doświadcza człowiek był ogień wielkich uczuć – miłości, wdzięczności i solidarności.

## KOMUNIKAT O STYPENDIACH

FUNDACJI BANKOWEJ im. LEOPOLDA  
KRONENBERGA (Warszawa) i FUNDUSZU POMOCY  
NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ  
(Paryż)

Stypendia przyznawane są pisarzom, artystom oraz badaczom w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych, ze szczególnym uwzględnieniem historii. Stypendia służą pokrywaniu kosztów pobytu w zagranicznych (w przypadku osób zamieszkałych w Polsce) oraz – w odniesieniu do osób zamieszkałych za granicą – w polskich ośrodkach naukowych i kulturalnych.

Osobą uprawnioną do otrzymania stypendium jest każda osoba, która nie przekroczyła wieku 35 lat.



Podanie powinno zawierać :

- życiorys;
- informacje o dorobku twórczym oraz
- program pobytu za granicą wraz z informacją na temat przewidywanego czasu jego realizacji.

Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Stypendiści będą mieli prawo do wykorzystania stypendium w terminie nie przekraczającym 6-u miesięcy od daty wysłania zawiadomienia o jego przyznaniu.

Organizowanie podróży, ubezpieczenia i mieszkania nie leży w gestii fundatorów.

Najbliższy termin nadsyłania podań upływa z dniem 30 czerwca 2000 r.

Podania prosimy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, Fundusz,  
31, rue de Garlande,  
77-220 Tournan-en-Brie  
Francja

Na ostatnim zebraniu Zarządu Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej w dn. 28 stycznia 2000 roku przyznano w ramach projektu realizowanego wraz z Fundacją Kronenberga kolejnych 17 stypendiów, łącznie na sumę 68.300 zł.

W roku 1999 ze stypendiów Funduszu skorzystało 39 osób, wśród nich historycy (23), filolodzy (6), historycy sztuki (4), archeolodzy (2), malarka (1), tłumacz (1), pisarz (1) i dziennikarz (1). Większość stypendiów została zrealizowana we Francji, ale także w Anglii, w Czechach, w Polsce, w Niemczech, w Rosji, na Ukrainie i we Włoszech. Obok naukowców polskich ze stypendiów skorzystały dwie osoby z Litwy, dwie z Ukrainy, po jednej osobie z Albanii, z Białorusi i z Węgier.

Łącznie w roku 1999 na stypendia Fundusz wyasygnował 154.000 zł.

Działalność Funduszu była możliwa dzięki dotacjom:

- Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga;
- Fundacji Kultury;
- Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych.

## WYRÓŻNIENIA POLCUL FOUNDATION

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 27 lutego 2000 r. Dyrekcja Fundacji przyznała dalszych 28 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Adam BARTOSZ – za pracę kulturalną na terenie Tarnowa; Antoni BARTOSZ – za pracę edukacyjno-kulturalną na terenie Krakowa; Jolanta BIELECKA – za pracę z dziećmi i młodzieżą niepełnosprawną w Gdyni; Teresa BRUŻEWICZ – za działalność opiekuńczą na rzecz dzieci i młodzieży na terenie Wilna; Maria CZYŻKOWSKA-KARCZEWSKA – za pracę z dziećmi i młodzieżą na terenie Skierniewic; ks. Jan HAUSE – za działalność ekumeniczną; Waldemar JANDA – za twórczość filmową i telewizyjną poświęconą mniejszościom narodowym i etnicznym; Stanisław KOGUT – za działalność na rzecz osób niepełnosprawnych; Krzysztof KRZYŻANOWSKI – za twórczość filmową i telewizyjną poświęconą mniejszościom narodowym i etnicznym; Siostra Joanna LOSSOW – za działalność ekumeniczną; Jan MADER – za pracę wychowawczo-opiekuńczą z dziećmi na terenie Krakowa; Krystyna MADER – za pracę wychowawczo-opiekuńczą z dziećmi na terenie Krakowa; Janusz MARSZAŁEK – za prowadzenie wioski dziecięcej im. Janusza Korczaka w Rajsku k/Oświęcimia; Marek MICHALAK – za pracę w Stowarzyszeniu Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce” w Świdnicy; Irena OBUCHOWSKA – za działalność i publicystykę wychowawczą; Zbigniew PAKUŁA – za pracę dziennikarską i opracowania historyczne na temat Żydów w Poznaniu i Wielkopolsce; ks. Henryk PAPROCKI – za działalność ekumeniczną; Maria PAWLUKIEWICZ – za działalność na rzecz opuszczonych i bezdomnych na terenie Gdańska; Andrzej PAWLUKIEWICZ – za działalność na rzecz opuszczonych i bezdomnych na terenie Gdańska; Sławomir PAWŁOWSKI – za działalność opiekuńczą na rzecz bezdomnych mężczyzn w Gdyni; Eugenia PROKOP-JANIEC – za pracę w dziedzinie historii literatury polsko-żydowskiej; Ryszard STRYJECKI – za pracę w dziedzinie twórczości rzeźbiarskiej wśród głuchoniemych; Robert SZUCHTA – za działalność edukacyjną wśród młodzieży; bp Zdzisław TRANDA – za działalność ekumeniczną; Andrzej TARCZYŃSKI – za pracę z dziećmi i mło-



dzieżą na terenie miasta Łodzi; Władysław TOMCZYK – za pracę na rzecz dzieci niepełnosprawnych w Trzebinii; Janina WEHRSTEIN – za pracę w dziedzinie pomocy, opieki i resocjalizacji więźniów w okręgu gdańskim; Marzena ZDUŃCZYK – za działalność opiekuńczą na rzecz bezdomnych mężczyzn w Gdyni.

Z wymienionych osób:

6 – otrzymuje wyróżnienia im. Ireny i Karola Dowoyna-Sylwestrowicz; 4 – otrzymuje wyróżnienia im. Krystyny i Bolesława Singler; 4 – otrzymuje wyróżnienia im. Eudoksji Rakowskiej; 4 – otrzymuje wyróżnienia im. Staszki Kuratczyk i Zochy Nawojowskiej.

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce. Są to:

Jan HANASZ

ul. Krasieńskiego 57 m. 10, Toruń, tel. (056) 282 06 oraz

Anna KONDRACKA

ul. Bogusławskiego 20 m. 80, Warszawa, tel. (022) 663 26 39

lub też zwracając się wprost do:

POLCUL FOUNDATION

P.O. Box 193

Rose Bay, 2029, Australia

tel. (61-2) 9326 2863

Fax: (61-2) 9331 5697

UWAGA: Fundacja wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne. Wysuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

## Książki

### „Lista Sugihary”

*Czytane w Brukseli*

Jak jest „exodus” po japońsku? Chyba... Jakub Goldberg. Jest straszna wiosna 1941 roku. W Tokio urządza, jak gdyby nigdy nic, Tadeusz Romer, ambasador rządu polskiego na wygnaniu w Londynie (do zamknięcia placówki w tym samym roku), późniejszy, 1943-44, minister spraw zagranicznych RP. Pewnego dnia został wezwany do japońskiego MSZ, gdzie mu w ostry sposób zarzucono, że trzydziestu obywateli polskich usiłowało w nielegalny sposób wjechać do Japonii. Ambasador się oficjalnie i dyplomatycznie, ale... szczerze zdziwił. Skąd taka zmiana? Japończycy wszak od dawna wpuszczali obywateli polskich, w większości zresztą Żydów. Tych mianowicie, którym udało się, dzięki japońskim wizom tranzytowym wydawanym przez konsulat w Kownie i, na ogół, holenderskim wizom docelowym do ... Curaçao, ratować życie opuszczając tereny okupowane przez Hitlera i docierając, poprzez jedenaście stref sowieckiego czasu, do Tokio.

Sprawa w MSZ się szybko wyjaśniła: okazało się mianowicie, że pewnego dnia z promu z Nachodki, na najdalszym sowieckim wschodzie, wysiadło w japońskim porcie Tsuruga, 30... Jakubów Goldbergów. Japończycy doszli, bez większego trudu, do wniosku, że wizy były podrobione. W istocie wizy były nie tyle podrobione co skopiiowane trzydzieści razy. Konsul japoński, który wystawił tę jedną oryginalną wizę, musiał bowiem nagle opuścić Kowno, ale w trosce o zagrożonych „Jakubów Goldbergów”, zostawił im ostatnią postawioną przez siebie pieczętkę. Na nazwisko... Jakub Goldberg.



W ten sposób narodziły się dwie sagi i jedna książka. Pierwsza saga, to los „Jakubów”. Tak jak *toute proportion gardée*, „Exodus”, statek z Żydami uciekającymi z Niemiec, przed którymi zamykały się kolejne porty państw demokratycznych, tak i „Jakuby Goldbergi” zostali odesłani do Nachodki, ale ponieważ już nie mieli sowieckich wiz, nie zostali wpuszczeni na ląd i kursowali, przez kilka tygodni, między Nachodką a Tsurugą... Ostatecznie Amb. Romer wyjednał japońską zgodę na wjazd „Goldbergów” do Japonii, pod warunkiem, że w ciągu trzech tygodni opuszczą wyspę. Całość zakończyła się wesołym oberkiem, kiedy przy pomocy Holendrów, Amerykanów i... Japończyków, Romer zdrowo wyprawił „Goldbergów” w bardziej przychylny świat.

Druga saga, to dzieje dyplomaty japońskiego Sugihary Chiune. Jako japoński konsul w Kownie, Pradze i Królewcu w latach 1939-1942, Sugihara, mimo, że Polska i Japonia były w przeciwnych obozach politycznych i wojskowych, nie tylko współpracował bardzo wydajnie i lojalnie z wywiadem Polski podziemnej i nawet londyńskiej (co w tym wypadku wychodziło na jedno), ale to on właśnie, bez zgody, a nawet przy sprzeciwie Tokio, wystawiał wizy japońskie, na podstawie których Moskwa zezwalała na tranzyt przez Syberię. Sugihara uratował w ten sposób kilka tysięcy obywateli polskich, głównie Żydów, którym inaczej groziła śmierć pod Hitlerem, albo Katyń czy zesłanie pod Stalinem.

No a książka? To wszystko, i jeszcze wiele rzeczy, z detalami, dokumentami i zdjęciami, jest opisane w książce pod tytułem „Historia stosunków polsko-japońskich 1904-1945” (wydawnictwo „Bellona”). Tytuł mało zachęcający (szkoda), ale odpowiadający treści i ambicji autorów.

Dr Ewa Pałasz-Rutkowska jest bowiem japonistką, zna naturalnie język, jest adiunktem na Uniwersytecie Warszawskim, specjalistką nowożytnej historii Japonii, autorką wielu prac naukowych. Jej nazwisko i współautorstwo jest więc zrozumiałe, na swoim miejscu. No, a co robi w tym towarzystwie i czego szuka w Japonii Andrzej Romer, Polak urodzony na Litwie, obywatel amerykański, specjalista od przemysłu stalowego, były wieloletni bliski współpracownik Tadeusza Sędzimira, polsko-amerykańskiego magnata przemysłowego? Otóż Romer też jest na swoim miejscu: intere-

suje się Japonią od chwili kiedy zaczął z nią robić... interesy. Bywał tam wiele razy, za każdym razem odkrywał coś nowego. Korzystał ze swoich kontaktów służbowych, ale także rodzinnych: ambasador Romer był bowiem jego stryjem.

Duet, a właściwie trio, się udał. Trio, albowiem jest jeszcze prof. Jolanta Tubielewicz, także specjalistka od Japonii, która napisała w postwowie: „Podziwem napawa obiektywizm autorów oraz ich umiejętność dokonywania wyboru źródeł... Jest to świetny warsztat naukowy... który, na szczęście nie czyni z monografii niestrawnego zakalca. Rzecz się po prostu czyta...”

Pani profesor ma rację. Autorzy zaczynają, to normalne, od pierwszych wzmianek o Japonii w Polsce (Piotr Skarga w 1579 roku) i o Polsce w Japonii (list chana mongolskiego Kubilaja w 1273 roku). Idą dalej śledząc, to zrozumiałe, rolę Wacława Sieroszewskiego i Bronisława Piłsudskiego (brata Józefa) oraz wielu polskich naukowców w pierwszych latach XX wieku. Dłużej zatrzymują się na dwudziestoleciu międzywojennym, podkreślając rozwój bliższych niż banalnie dyplomatycznych stosunków polsko-japońskich. Kończą na latach drugiej wojny światowej i na wyjątkowo ścisłej i owocnej także w płaszczyźnie ludzkiej (pasjonująca historia przyjaźni gen. Onodera i majora Rybikowskiego), współpracy obu wywiadów.

Trzy uwagi na koniec. Pierwsza, co do metody. Wszystko to opowiedziane jest mianowicie jakby dwoma torami: naukowej precyzji dat i źródeł, ale także, i dzięki temu właśnie książkę „się czyta”, anegdot i nawet zabawnych epizodów. Np. historia gen. Fukushima, który jako pierwszy Japończyk odwiedził tereny Polski. Nie był to banał ani rutyna. Rzecz działa się w roku 1892, ówczesny major Fukushima jechał... na koniu z Berlina do, bagatela... Władywostoku, przez tereny polskie, Ural, Syberię, Mongolię i Mandżurię. 14000 km w ciągu 488 dni! Stał się, i słusznie, bohaterem. Był prekursorem szpiegostwa japońskiego na terenie Europy, ale także doprowadził, dzięki swoim raportom z podróży, do świadomości japońskiej tragedii ówczesnej Polski. Albo spotkanie Dmowskiego z Józefem Piłsudskim, na ulicy w Tokio, w czasie wzajemnie ukrywanych... tajnych misji politycznych. Oraz historia pożegnalnego przyjęcia wydanego przez Piłsudskiego w Tokio, z koniecznością, na jego ostre polecenie, czysto japońskim menu. Przyszły marszałek Polski podejmo-



wał m.in. przyszłego premiera Japonii, co nie przeszkodziło Polakowi zachnąć się na widok miejscowego delikatesa: żywej ciągle rybki machającej ogonkiem i podanej na żywo do natychmiastowej konsumpcji... smacznego!

Druuga uwaga, polityczna. Nic tak nie dzieli, powiadają mędrcy, jak wspólna granica. Nic tak nie łączy, można dodać, jak wspólny przeciwnik. Fakt, że Polacy i Japończycy mogli znaleźć wspólny język nawet w tak delikatnej branży jak wywiad i to w czasie kiedy ich rządy były po przeciwnych stronach wojny, wynika po prostu ze wspólnego interesu i wspólnego przeciwnika jakim przez cały omawiany przez autorów okres, była Rosja.

No i trzecia uwaga. Człowiecza. Sugihara został, na zasadzie powojennej czystki, ale także, rzekomo, za nieposłuszeństwo w sprawie wiz, zwolniony z pracy w MSZ, przeszedł na lata do handlu zagranicznego. Dopiero w 1968 roku Sugiharę odnaleźli niektórzy z uratowanych przez niego Żydów, został odznaczony, uhonorowany przez instytut Yad Vashem tytułem Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata, przyznawanym cudzoziemcom, którzy narażali się ratując Żydów. Oficjalnie, przez... swoich, Sugihara został zrehabilitowany dopiero w 1991 roku. Pośmiertnie.

Ale sprawa sięga dalej. Epopeja „Listy Sugihary” przypomina innych dyplomatów, czy urzędników, którzy działali zgodnie z ich sumieniem, często wbrew instrukcjom ich cynicznych rządów, tych, jak wiadomo, „zimnych monstrów”. Lista jest dłuższa niż mogłoby się wydawać. Zacząć chyba należy od Anglika Franka Foley’a, wicekonsula w Berlinie w 1938 roku, ratującego Żydów od Hitlera i Raula Wallenberga, Szweda, który uratował kilkadziesiąt tysięcy Żydów węgierskich od śmierci w obozach, zanim, jako amerykański szpieg, nie został zamordowany przez KGB w jakimś więzieniu sowieckim. Paul Grueninger, komendant policji w kantonie Sankt-Gallen, odmówił posłuchu wobec rozkazów władz z Berna i wpuścił do Szwajcarii 3000 szaszczutych Żydów niemieckich. Miał proces, został zdegradowany, skazany na wysoką grzywnę. Trzeba było czekać ponad 50 lat aby, tak jak Sugihara, Grueninger został zrehabilitowany, uzyskał anulowanie wyroku, „wstąpił” do Yad Vashem. Jest na tej liście nawet Niemiec, Georg Ferdinand Duckwitz, konsul Rzeszy

w Kopenhadze, jest także Portugalczyk (rządził jego krajem wtedy dyktator) Aristides de Sousa Mendes. De Sousa, jako konsul w Bordeaux w zwyciężonej Francji, wydał zagrożonym holokaustem Żydom, wbrew swym władzom... 30000 wiz wjazdowych. Został usunięty i ukarany utratą praw emerytalnych. Do śmierci, w biedzie i zapomnieniu, w 1954 roku, de Sousa nie zmienił zdania. „Jeżeli tylu Żydów, powiedział Portugalczyk, cierpiało z powodu jednego człowieka (Hitlera), jeden chrześcijanin może nieco pocierpieć w imię pomocy tylu Żydom”.

W książce o stosunkach polsko-japońskich, sprawa Sugihary to naturalnie tylko epizod, a aspekt żydowski, to tylko epizod epizodu. Ale nie jest źle jeśli z książki historycznej można wysnuć wnioski i refleksje szerszej natury. I pomyśleć nad związkiem między obowiązkiem urzędnika i ludzkim sumieniem.

Historia Sugihary to coś w rodzaju „Listy Schindlera”. Teraz, jak pisze prof. Tubielewicz w postłowie, Sugihara czeka na swojego Spilberga. Nie tylko Sugihara...

*Leopold UNGER*

## Don Pedro Calderon w polskim kontuszu

W bieżącym roku obchodzimy czterysta lat od urodzin jednego z największych dramaturgów, Hiszpana Pedra Calderona de la Barca (1604-1681). Urodzony w Madrycie uczęszczał do szkół jezuitów a następnie na uniwersytet w Salamance. Wcześniej zasłynął jako poeta i autor sztuk teatralnych publikując w 1636 roku pierwszy zbiór dramatów wśród których znajdowało się „Życie snem”, dla wielu jego najważniejsze dzieło. Pisał dla teatru królewskiego, wziął udział w uśmierzeniu



rebelii Katalończyków, a w 1651 roku przyjął święcenia kapłańskie pisząc do końca życia dramaty mitologiczne i alegoryczne moralitety.

Jego puścizna obejmuje bez mała dwieście pozycji, z czego ponad połowa to komedie i dramaty historyczne, legendarne, religijne i filozoficzne, mitologiczne, komedie intryg i dramaty ilustrujące tragiczne konflikty z surowym kodeksem honoru. Calderon udratyzował też katolickie koncepty teologiczne i w formie *autos sacramentales*, jednoaktówek alegorycznych, propagował je w przedstawieniach w święto Bożego Ciała. Ten niezwykły teatr poetycki cieszył się wielkim powodzeniem a i nadal potrafi wywołać zachwyty.

Jeszcze za życia cieszył się famą, która wnet przekroczyła granice Hiszpanii. Sztuki jego grali często wędrowni aktorzy. Trupa niemieckich ludzi teatru wystawiła jedną z nich w Gdańsku w roku 1669. Świadectwa tych wczesnych inscenizacji są niestety skąpe. Możemy tylko przypuszczać, że trupy aktorów, choćby zespół elektora Saksonii, późniejszego króla Polski, Augusta II, który w nazwie swojej miał przymiotniki „Königliche, polnische...” jeździł po polskich miastach wystawiając m.in. „Życie snem”, bo miał ten dramat w swoim repertuarze jako „Prinz Sigismund von Pohlen”. Nieco później w Warszawie w 1748 roku artyści włoscy wystawili w ramach przedstawień *commedia dell'arte* włoską adaptację sztuki Calderona „*Ante todo es mi dama*” pod polskim tytułem „Omyłki w kochaniu”, bo zachował się jej polski sumaryusz. Trochę może dziwić, że publiczność potrafiła zrozumieć sztukę o bardzo zawiłej intrydze graną w obcym języku. Pewnie elementy pantomimy decydowały o możliwości recepcji.

Na pięćdziesięciolecie urodzin króla Stanisława Augusta i rocznicę jego koronacji warszawski teatr wystawił dramat pt. „Alkada z Zalamei” Calderona. Sztuka nosiła tytuł „Burmistrz poznański” a przełożyć ją miał Jan Baudoin z francuskiej przeróbki Collota d'Herbois. Sztuka krążyła już po Europie w wersjach francuskich i niemieckich. Była powiewem ducha republikańskiego, a jej dramatyczne wartości modyfikowano lokalnymi aluzjami i zmianą epoki.

Polska inscenizacja miała znakomitej publiczności przedstawic ni mniej ni więcej tylko sposób na sanację kraju chyłatego się ku upadkowi. Już tytuł polski jest znaczący. Dramat zlokalizowano w mieście na zachodzie Polski. Sztuka jest wołaniem o pilne rozwiązanie problemu równouprawnienia mieszczaństwa a przynajmniej nadania mu praw do przywilejów

i urzędów dotąd dla szlachty tylko zastrzeżonych. Burmistrz, do tego noszący obce, niemieckie nazwisko w przybranej ojczyźnie jest traktowany źle, lekceważony i niedoceniany, pomimo tego, że jest zamożnym kupcem respektowanym za granicą. Jego *casus* wskazywał na korzyści, jakie by wyniknęły z emancypowania klas społecznych umożliwiając osobom tak praktycznym i przedsiębiorczym jak on, współpracę nad naprawą państwa. Małżeństwo głównych postaci dramatu, połączenie szlacheckiej fantazji z rozważą ekonomiczną wrożyło lepszą przyszłość. Bohater Calderona przebrany tu za statecznego i wpływowego na Zachodzie kupca, pokazuje właściwą drogę do wyjścia z marazmu.

O popularności hiszpańskiego autora może też świadczyć fakt, że w Łazienkowskim Parku wśród szesnastu popiersi starożytnych i późniejszych dramaturgów znajdowało się również popiersie Calderona.

Trzecim miastem po Gdańsku i Warszawie, które zainteresowało się Calderonem był Lwów. Nastąpiło to po upadku Polski, kiedy Lwów związał się z Wiedniem nie tylko politycznie ale z czasem również i kulturalnie. W krajach niemieckich tymczasem nastąpił nagły renesans teatru Calderona. Znani krytycy jak G.E. Lessing, L. Tieck, a szczególnie A.W. Schlegel przyczynili się do odnowienia popularności a nawet stworzyli kult hiszpańskiego dramaturga. Szczególnie Schlegel mistrzowskimi przekładami na niemiecki i wykładami o sztuce dramatycznej i literaturze wzbudził entuzjazm międzynarodowego audytorium. Także Goethe dołączył do tych, którzy celebrowali osiągnięcia wielkiego katolickiego pisarza, wizjonera, arystokraty, szampiona ducha rycerskości, honoru i miłości.

Wiedeńskie teatry zaczęły wystawiać sztuki Calderona, którego tłumaczy przybywało z dnia na dzień. Publiczność wymagała jednak pewnych zmian i korektury, bo obca jej była orientalna ostentacja, subtelność scholastycznego dowcipu i retoryka cechująca hiszpański barok. Niemniej przeto zdumiewano się, że sztuki tak znakomite pozostały tak długo nieznane.

W Polsce dopiero czterdzieści lat po inscenizacji „Burmistrza poznańskiego” pokazano w roku 1824 kolejną sztukę Calderona „Otwartą tajemnicę” wystawioną później pod zmienionym tytułem „Miłostki dworskie czyli Głośna tajemnica”. Prawdopodobnym tłumaczem był Jan Kamiński.

W tym samym czasie zaczęto przekładać „Życie snem”, dla wielu najgłośniejszą sztukę Calderona a do tego umiejscowioną w Polsce. Z manuskryptu przekładu dowiadujemy się, że prze-



kład powstał w 1825 roku a jego wystawienie nastąpiło w styczniu 1826. Pierwowzór tej wersji najwidoczniej musiał uwzględnić wymogi ówczesnej cenzury austriackiej, bo nosi ślady przekreśleń i ma wstawione słowa zastępcze. Zatytułowany był najpierw „Bolesław Xiążę Siedmiogrodzki”. Słowo ‘Polska’ jest przekreślone a wpisany wyraz ‘Siedmiogród’, ‘Wasale Polski Świętej’ stali się wasalami ‘tego kraju’. Książę Moskwy jest władcą Bułgarii a król Polski zmieniony został na Emerica, króla Transylwanii.

Kiedy dramat wszedł na scenę, zwał się już inaczej: „Życie snem albo Władysław, Królewicz polski”. Tłumacz uwolnił go z restrykcji sam z kolei dał upust swojej fantazji usiłując stworzyć dramat historyczno-fantastyczny przez dodanie polskich tropów. Król nazywa się Kazimierz, jego siostra – Jadwiga, książę Moskwy to Jarosław. Więzieniem zarządza Zawisza. Te daleko idące spolszczenia skrytykowano, ale poza tym cisza zapadła nad tym przekładem aż do pojawienia się następnych.

We Lwowie entuzjastą Calderona był Jan Nepomucen Kamiński (1777-1855), aktor, tłumacz i dyrektor. To on wystawił „Burmistrza poznańskiego” w 1817 i 1819 roku. Pilny obserwator sceny wiedeńskiej zauważył powodzenie sztuki „Don Gutierre” zmodyfikowanej i przełożonej przez dyrektora Burgtheater. Kamiński przetłumaczył ją z kolei na język polski i wystawił w 1827, 1829 i 1931 roku pod tytułem oryginału Calderona: „Lekarz swojego honoru”.

Podobnie jak u Austriaka sztuka ma pięć zamiast trzech aktów. Przekład rymowanym jedenastozgłoskowcem wypadł gładko i wdzięcznie. Kamiński przystał również na zmianę zakończenia dokonaną dla austriackiej widowni. Przypominając finał Szekspirowskiego „Otella”, Don Gutierre, sprawca śmierci niewinnej żony Mencii, odbiera sobie życie, hardy i nieużyty do końca.

W odróżnieniu od lekkich komedii, których we Lwowie kilka wystawiono, „Lekarz swojego honoru” ukazał innego, nieznanego Calderona, precyzyjnego tkacza dramatów honoru. Krytycy przyjęli sztukę przychylnie, powędrowała ona nawet w 1828 roku do Krakowa.

Tak więc obok dramatów F. Schillera i Szekspira pojawił się we Lwowie hiszpański dramaturg. Panujący dotąd francuski teatr neoklasycystyczny, nagle miał rywala: teatr romantyczny. Wydawało się przez czas jakiś, że nowe zwycięży. Odezwały się nawet głosy, że to właśnie Calderon znalazł klucz do złożoności świata i ludzkiej egzystencji. Mochnacki żądał radykalnego

zwrotu w teatrze polskim. Wybuchła kontrowersja wygrana jednak przez zwolenników teatru francuskiego, którzy ogłosili, że to nowe nie przemieniało się w życiodajną krew potrzebną narodowi. Do zwycięstwa nowego teatru przyczyniłyby się wybitne rodzime dzieła, ale one powstawały na emigracji a cenzura zadbała, że nie miały dostępu do scen polskich na długie lata. Niemniej przeto Calderon zainstalował się w literaturze polskiej i jaźni polskiego widza na dobre, kiedy Juliusz Słowacki w 1844 roku stworzył genialny przekład „Księcia niezłomnego”. Próbowano przekład kwestionować i dezawuować wysokie noty Edwarda Porębowicza, który kazał Calderonowi pocałować rękę Słowackiego za tak przednią robotę poetycką, ale coś jednak jest w tym na rzeczy. Świadczy o tym nieustająca popularność sztuki na scenie polskiej i nieświadomość wielu widzów, że ogląda sztukę hiszpańską.

Baliński, Budziński, Chłopicki i Szujski brali sztuki Calderona na swój warsztat przekładowy w dziewiętnastym wieku. Edward Porębowicz spolszczył ich sześc. Edward Boye dał dobry przekład „Życia snem” grany z powodzeniem między wojnami i po drugiej wojnie światowej. Wzięciem cieszyła się udana wersja „Alkada z Zalamei” L.H.Morstina. Jarosław Iwaskiewicz we wstępie do drukowanego przekładu przeciwstawił szlacheckiego Księcia niezłomnego rezolutnemu andaluzyjskiemu chłopu, w którego twardych rękach ugięła się duma feudała...

I nagle wśród szarości socrealizmu i zaleceń jego katonów pojawiły się świeże przekłady dramatów Calderona Jarosława Marka Rymkiewicza, który spróbował pióra na poezji hiszpańskiej, wziął się za teatr. Jego „Życie snem”, które nazwał imitacją, aby podkreślić niemożność pokazania oryginału w innym czasie, zafundowało sceną i wyparło inne przekłady. Cenzura bała się jednak polskiego kolorytu sztuki i nalegała, by np. zachować hiszpańskie brzmienie imion bohaterów (Segismundo). Publiczności podobały się inne komedie („Księżniczka na opak wywrócona”, „Niewidzialna kochanka”), natomiast dowolność adaptacji „El mágico prodigioso” została ostro skrytykowana i nie przyjęto tłumaczenia, że protagonista zmienił się przez trzysta lat do tego stopnia, że nie mógłby już dziś wypowiedzieć tych samych kwestii. Niemniej teatr polski w trudnym dla siebie momencie otrzymał zastrzyk cennych wartości i nie godził się na ‘brak dobra’ w otaczającym świecie. Leszek Biały w 1990 roku wydał swój przekład „Księcia niezłomnego” stwarzając możliwość porównania z uświęconą



wersją Słowackiego. Przełożył też „El mágico prodigioso”. Bardzo cenne są jego przekłady *autos sacramentales* Calderona, alegorycznych moralitetów „Wielki teatr świata”, „Życie snem” (nie mylić z dramatem o tym samym tytule) i „Magia grzechu”. Choć były wcześniejsze próby przyswojenia polskiej scenie tego teatru dogmatycznego i poetyckiego zarazem, teraz dopiero posiadamy w pięknej polskiej szacie owe, w jakimś sensie egzotyczne, jednoaktówki tak ongiś w Hiszpanii popularne. Teksty wydane przez Ossolineum udostępniła je ambitnym reżyserom, aczkolwiek doszły mnie wiadomości o próbach trawestacji jednego z *autos*, co nie wydaje mi się właściwym podejściem do tego tak specyficznego gatunku teatru.

Odejście naukowców, którzy zajmowali się Calderonem (M. Strzałkova, Zofia Karczewska-Markiewicz) i brak kandydatów na studia klasyki hiszpańskiej za czasów PRL-u, także atrakcyjność bujnej powieści latynoskiej, sprawiły, że rocznicę urodzin Wielkiego Hiszpana obchodzić będziemy skromniutko. Szykuje się dwudniowa sesja naukowa w Katowicach oraz publikacja jej materiałów przez Instytut Cervantesa w Warszawie. Niewielka to pociecha, że w Ossolineum ukaże się na nowo „Życie snem” w przekładzie E. Boyégo. Trzeba będzie niezwłocznie odrobić zaniechania poprzedniego okresu i powrócić do korzeni kultury Półwyspu Iberyjskiego po jałowym okresie efemerydalnych nowinek, często bardziej ideologicznych niż estetycznych.

Florian ŚMIEJA

## POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

### 5.1.

Uniwersytet Columbia ustanowił Fundusz Adama Mickiewicza dla stworzenia polskiej katedry na tym uniwersytecie. Pierwsze pieniądze dała Fundacja Jurzykowskiego i Fundacja Kościuszkowska. W Komitecie założycielskim bierze udział m.in. Zbigniew Brzeziński i Czesław Miłosz. Pieniądze na ten cel należy wysłać na adres: Adam Mickiewicz Endowment for Polish Studies, Columbia University, 420 West 118 Street, room 1227, New York, NY 10027, USA.

### 10.1.

Zmarł w Łodzi Jerzy Marendziak, adwokat, publicysta, w latach 1991-1994 był ambasadorem RP w Portugalii. Jerzy Marendziak w czasach PRL-u był znanym obrońcą w procesach politycznych. W tym okresie również współpracował z *Kulturą*.

### 29.1.

Od 23 maja do 10 czerwca br. w gminach: Warszawa-Wilanów, Daleszyce, Pyskowice, Sejny, Stryków, Ustka, Działdowo odbędzie się spis próbny przed narodowym spisem ludności i mieszkań, zaplanowanym na przełom maja i czerwca 2001 r.

### 1.2.

Rektorzy szkół wyższych Lublina ogłosili list intencyjny w sprawie powołania uniwersytetu polsko-ukraińskiego w Lublinie. Rektorzy uważają, że powołanie tego uniwersytetu przyczyni się do ugruntowania współpracy pomiędzy Polską i Ukrainą, zwłaszcza w dziedzinie nauki i społecznego dialogu. Jednocześnie rektorzy upoważnili prof. Jerzego Kłoczowskiego, dyrektora Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie, do koordynowania prac zespołu rektorów nad powołaniem uniwersytetu oraz reprezentowania kolegium rektorów w wymienionej kwestii.

### 2.2.

W Warszawie w wieku 85 lat zmarł prof. Jan Nielubowicz, jeden z najwybitniejszych chirurgów, twórca polskiej transplantologii. Wykładał na wielu uniwersytetach na świecie w języku angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Opublikował 576 prac naukowych.

### 20.2.

W Swietłogorsku (45 km na północ od Kaliningradu) zmarł w wieku 63 lat Anatoli Sobczak, b. mer Sankt Petersburga, jeden z najwybitniejszych rosyjskich demokratów.

### 21.2.

Zmarła w Warszawie w wieku 96 lat Halina Auderska, pisarka i dramaturg. W czasie wojny polsko-bolszewickiej była frontową sa-



nitariuszką. Jako żołnierz AK uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim. W latach 1968-72 była prezesem oddziału warszawskiego Związku Literatów Polskich. Była też prezesem oficjalnego ZLP po wprowadzeniu stanu wojennego. Przez dwie kadencje była bezpartyjnym posłem do Sejmu.

## 25.2.

W Kijowie ukazało się tłumaczenie „Dzienników” Witolda Gombrowicza w przekładzie Roksany Harczuk. Prezentacja wydania ukraińskiego miała miejsce w Domu Architekta w Kijowie. „Dzienniki” wzbudziły wielkie zainteresowanie.

## 2.3.

Gminy zdecydowały o zlikwidowaniu 900 szkół podstawowych i 34 gimnazjów. Zlikwidowane mają być bardzo małe i w związku z tym drogie w utrzymaniu szkoły. Ta decyzja spowodowała liczne protesty. Wskazuje się m.in. na to, że nie jest zupełnie zorganizowany transport dzieci do szkół mimo zapewnień Ministerstwa Edukacji.

## 6.3.

Zmarła w Łodzi Zofia Libiszowska, emerytowany profesor zwyczajny Uniwersytetu Łódzkiego, historyk z zakresu dziejów powszechnych z XVII i XVIII wieku, autorka ponad 300 prac naukowych. Była członkiem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

## 7.3.

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Stanisław Alexandrowicz z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu wygłosił odczyt o udziale polskich kartografów w rozwoju kartografii w Europie Centralnej i Wschodniej w w. XVI i XVII. ■ Papież Jan Paweł II beatyfikował 44 męczenników, w tym 11 siostr nazaretanek z Nowogródka. Były one rozstrzelane przez Niemców 1-go sierpnia 1943 r. Ofiarowały swe życie w zamian za uwolnienie 120 aresztowanych mieszkańców Nowogródka oraz kapelana ks. Aleksandra Zienkiewicza.

## 10.3.

Nagrodę Polskiej Fundacji Kulturalnej im. Prezydenta Edwarda Raczynskiego za najlepszą książkę historyczno-polityczną w 1998 r. przyznano Tadeuszowi Wyrwie za „Bezdroża dziejów Polski: kraj i emigracja po 1 września 1939 r.” (Wydawnictwo Norbertinum) oraz Marii Nowak-Kielbikowej za „Konstanty Skirmunt. Polityk i dyplomata” (Wydawnictwo Neriton i Instytut Historyczny PAN). ■ Profesor historii na uniwersytecie w Buffalo, Włodzimierz Drzewieniecki, został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. ■ Muzeum Narodowe we Wrocławiu otworzyło stałą wystawę „Sztuka polska XX wieku”.

## 26.3.

W Oliwie została otwarta wystawa „Józef Czapski – widzenie życia” zorganizowana przez Muzeum Narodowe w Gdańsku.

## 31.3.

Towarzystwo Jana Gotliba-Blocha zorganizowało konferencję poświęconą setnej rocznicy I Konferencji Haskiej i znaczącemu udziałowi Polaków w jej dorobku. Odbyła się ona pod patronatem ministra spraw zagranicznych, prof. Bronisława Geremka w Pałacyku MSZ przy ulicy Foksal w Warszawie.

## ZACHÓD

## 11.3.

Zmarł w Paryżu w wieku 83 lat Kazimierz Brandys.

## 15.3.

W Instytucie Polskim w Paryżu została otwarta wystawa prac Olgi Boznańskiej zorganizowana przez Muzeum Narodowe w Krakowie z pomocą Musée d'Orsay w Paryżu.

## 17.3.

Na Uniwersytecie Paris IV-Sorbonne staraniem Centre de Civilisation Polonaise i Instytutu Polskiego miało miejsce spotkanie z Andrzejem Wajdą z okazji wejścia na ekrany kin we Francji jego filmu „Pan Tadeusz”.

## 28.3.

Na Uniwersytecie Paris IV-Sorbonne staraniem Centre de Civilisation Polonaise miał miejsce wieczór na temat „Norwid wraca do Paryża” z udziałem Tomasza Łubieńskiego oraz tłumaczy Roberta Legrasa, Krzysztofa Potockiego i Krzysztofa Jeżewskiego. Wieczór był zorganizowany z okazji wydania „Poematów” C.K. Norwida w przekładzie R. Legrasa.

## 31.3.

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Michał Tymowski wygłosił odczyt „Jak się Polska w swych dziejach modernizowała”. Poprzednio, 10-go marca, Alexandra Viateau mówiła na temat „Czy globalizm może prowadzić do demokracji totalitarnej”.

## 13.4.

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce odczyt prof. Wojciecha Skalmowskiego na temat „Iranistyka – jej zakres i zadania”. Poprzednio, 4 kwietnia miały miejsce wykłady prof. Adama Masalskiego „Tradycje szkolnictwa wyższego w Kielcach” oraz prof. Wiesława Cabana „Polacy w Rosji w XIX i XX wieku. Stan badań”.

## 19.4.

W Stacji Naukowej PAN w Rzymie p. Monika Woźniak z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wygłosiła odczyt „La Polonia dei fratelli Camillo (1836-1914) e Arrigo (1842-1918) Boito”. Poprzednio, 5 kwietnia, prof. Gheorghe Măndrescu mówił na temat „Architekt Petrus Litalus di Lugano i jego działalność w Polsce i Transylwanii w drugiej połowie XVI wieku”.



## List do Redakcji

Cooma, 27 lutego 2000

Drogi Panie Redaktorze,

W noworocznym numerze *Kultury* (2000), w felietonie „Kartki ze skażonej strefy” (str. 106) pani Ewa Berberyusz wspomina, że Józef Kuśmierk „podróżował na własny szczt”. Dlaczego nie na własny rachunek?

Do każdego języka żywego – a więc także do polskiego – wpadają z biegiem czasu obce słowa, przeważnie spolszczone, jak abdykacja, pomidor, szwadron, szyba i tysiące innych – bądź też nie przyswojone jak happening czy week-end.

Ten zakaźny fenomen leksykologiczny można zaobserwować we wszystkich językach od Albanii do Zululand – od prymitywnych do wysoko rozwiniętych. Np. niemiecki Bürgermeister lub francuski bourgmestre, angielski burgomaster i nasz burmistrz.

Filologia to moje hobby. Wiem, że inwazja wyrazów obcych jest szczególnie ostra we współczesnej Polsce. Jednak w dość kompletnej bibliotece nie znalazłem potwierdzenia, że rosyjski wyraz szczt jest częścią tego obcojęzycznego potopu.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2<sup>ème</sup> trimestre 2000.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,  
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

e-mail: [kultura@club-internet.fr](mailto:kultura@club-internet.fr)

## PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna      roczna

### Ceny na rok 2000

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: W. Luterek (adres w Szwecji). Konto w BG-Bank A/S nr1-687-7179	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)  
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)



## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

### BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 510 – ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT

### STO TRZYDZIESTY PIERWSZY

zawiera opracowania: A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej w walce z sanatorami 1939-41*; J. W. Solecki: *Sen o spadochronach*; G. Mazur: *Rozmowy polsko-ukraińskie w Rumunii 1940 r.*; D. Rogoyski: *List Domana Rogoyskiego do Władysława Poboga-Malinowskiego z 31.03.45*; M. K. Dziewanowski: *Jak szkolono oficerów kawalerii w Polsce przedwojennej*; T. Mianowicz: *Ku pokrzepieniu umysłów*; Cz. Karkowski: „*Holender*”; T. Wyrwa: *Przewrotna działalność gen. Tatara*; Z.S. Siemaszko: *Polacy i Żydzi w ujęciu Sarnera*; A.F. Baran: *W stulecie urodzin Adama Bienia*; Z. Ponarski: *Za kulisami wielkiej polityki*; J. Szymański: *Polsko-ukraiński batalion sił pokojowych ONZ*; *Postępowa Organizacja Polska POP*; Krzysztof Muszkowski: *Angielski parasol*; A. Tyszkiewicz: *Nieznane listy Henryka Sienkiewicza do Adama Stefana Sapiehy*; oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

**Cena 55 F**